

ZBIORY OŚRODKA KARTA

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/495

1988

Wydanie krajowe

MWSL



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	3
—	<i>Papież o ostatnich wydarzeniach w Polsce</i>	6
—	<i>Oświadczenie sekretariatu Episkopatu Polski</i>	6
—	<i>Wywiad Prymasa Glempa dla agencji „Nowosti”</i>	8
—	<i>Trzy wolności, czyli o progach kompromisu</i>	12
Marek Zieliński:	<i>Nazywajmy rzeczy po imieniu</i>	40



Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	46
----------------------------	-----------------------------------	----

WIERSZE

Tadeusz Chabrowski:	<i>Mówią, że. — Psalm 84</i>	60
Rafał Grupański:	<i>Poeci końca wieku</i>	61
Ewa Lipska:	<i>Tu pracuje. — Młody Niemiec na spotkaniu autorskim. — Zwierzenia racjonalisty. — Tej nocy byłam mordcą. — Życiorys...</i>	62

ARCHIWUM POLITYCZNE

Robert Kostrzewa:	<i>Rozmowa z Robertem Conquestem</i> ...	64
-------------------	--	----

WYWIADY „KULTURY”

Marek Korab:	<i>Rozmowa z dr. Stanisławem Gomułką</i>	73
--------------	--	----

K R A J

Maria Wiernikowska:	<i>Mafia im. 50-lecia PRL</i>	93
---------------------	-------------------------------------	----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Maciej Feldhuzen:	<i>Biskup na ławie oskarżonych</i>	98
-------------------	--	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	108
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	114
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	117
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	120

CI, CO ODESZLI

Krystyna Marek:	<i>Na odejście Zygmunta Kallenbacha</i> ..	123
Wacław Iwaniuk:	<i>Józef Łobodowski</i>	127

KRONIKA KULTURALNA

Mikołaj Ruzzkowski:	<i>„Jedna, wielka opowieść” (Rozmowa z Kornelem Filipowiczem)</i>	130
---------------------	---	-----

KSIĄŻKI

Krzysztof Rutkowski:	<i>Kolekcjoner na granicy światów</i> ...	141
Renata Gorczyńska:	<i>Niebo Josepha Rotha</i>	144
Janina Katz Hewetson:	<i>Rafał Marceli Blüth</i>	150
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	154



—	<i>Wydarzenia „miesiąca i Kronika austriacka</i>	155
---	--	-----



M. Dobrowolski, J. Kowalewski, A. Nasielski:	<i>Listy do Redakcji</i>	160
--	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks Autorów i tematów „Kultury” za rok 1968</i>	163
---	---	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1988

wydanie krajowe

MYŚL

INSTYTUT



LITERACKI

**REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

Z powodu trzytygodniowego strajku pocztowego we Francji listopadowa „Kultura” mogła zostać nadana dopiero 18 listopada br. i nie wiadomo, czy od razu została posłana adresatom. W związku z tym strajkiem nastąpiło również opóźnienie w omówieniu naszej ankiety „Dlaczego jestem na Zachodzie”. Ukaże się ono dopiero w numerze 3/498 (marzec 1989).

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Bronisław Baczko, Genewa — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Kallenbacha	F. 200,00
Karol Jabłoński, Toronto ON (Kanada), po raz 19-ty — \$ c. 51,00	F. 245,00
Inż. Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 15-ty — Frs 50,00	F. 200,00
Kaz. J. Logay, Sarasota, FL (USA), sunę zebraną wśród przyjaciół kol. Janusza Horodeckiego, który obchodził swoje 80-lecie — \$ 85,00	F. 472,00
M. Piaskowski, Caulfield North, Vic., (Australia), po raz 8-my	F. 537,70
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 34-ty — \$ 100,00	F. 590,00
François Prause, Chiangmai (Thailand), po raz 30-ty	F. 200,00
Janusz i Maria Rakowscy, Zurych — dla uczczenia pamięci naszego przyjaciela Zygmunta Kallenbacha, zmarłego 2 listopada 1988 roku w Genewie	F. 1.000,00
A. Wiśniewski, Seaford, 3198 (Australia)	F. 234,00
Anonimowo z Uppsali (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób Norberta Pietrzaka — Krs 100,00	F. 95,00
Bezimienne z Paryża — dla uczczenia pamięci Romana Jurysia w 10-tą rocznicę Jego śmierci	F. 300,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ”

Anonimowo z Osnabrück (RFN) — DM 150,00	F. 510,00
R. Czaban i A. Antoszewski, Zwiesel (RFN), złożyli w Redakcji <i>Listów do Polaków</i> — \$ US 5,17	F. 30,50
Karol Jabłoński, Toronto, ON (Kanada) — \$ c. 51,00	F. 245,00
Małgorzata i Paweł Nassalscy, New York, NY — \$ 30,00	F. 177,00

WPLATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A., New York, NY — \$ 30,00	F. 177,00
C. i S. Szulczewscy, Meran (Włochy) — dla uczczenia pamięci przyjaciół Z. Kallenbacha i K. Wierzbiańskiego	F. 300,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 176)

Obserwatorium

Decyzja premiera Rakowskiego o zamknięciu Stoczni Gdańskiej stworzyła w Polsce nową sytuację polityczną. Przekreśliła mocno już zwietrzały skądinąd efekt spotkań Lecha Wałęsy z gen. Kiszczakiem. Pokazała, że Solidarność nie odniosła w sierpniu nawet symbolicznego zwycięstwa i że rząd nie zamierza się z nią liczyć. Zademontrowała siłę, którą unaocznili następnie wyczyny ZOMO podczas rozpędzania pochodów zorganizowanych przez KPN dla uczczenia siedemdziesięciolecia niepodległości. Słowem, powiedziała zarówno społeczeństwu, jak aparatowi, że do władzy doszedł wreszcie dziarski chłopiec, który wie, czego chce, nie boi się strajków ani manifestacji i nie zamierza hamletyzować. Gen. Jaruzelski zaczął chyba myśleć o nowej posadzie. Podejmując z jego błogosławieństwem decyzję o likwidacji Stoczni, dr Rakowski zgłosił bowiem swą kandydaturę na stanowisko pierwszego sekretarza KC.

Reakcje opinii zachodniej na tę decyzję są jednoznaczne. Nikt nie uwierzył w twierdzenie propagandy, jakoby dyktowało ją wyłącznie dążenie do naprawy gospodarki. Wszyscy komentatorzy podkreślali jej wymowę symboliczną i jej sens doraźnie polityczny. Dobitne i jasne stanowisko zajął w tej sprawie Papież, który wezwał do solidarności z Solidarnością. Inaczej prymas Glemp. W wyjątkowo niefortunnym wywiadzie dla agencji *Nowosti* pochwalił nowego premiera za to, że „odważnie podejmuje się trudnych zadań”. Na szczęście sekretariat Episkopatu Polski ogłosił w związku z decyzją o likwidacji Stoczni oświadczenie* stanowcze i rozważne zarazem, które raz jeszcze podkreśla niezbywalne prawo ludzi pracy do pluralizmu związkowego, o czym ani generał, ani jego premier nie chcą słyszeć.

* Teksty te zamieszczamy poniżej.

Perspektywa „okrągłego stołu” oddaliła się w całkiem już nieokreśloną przyszłość, choć w pierwszych dniach po ogłoszeniu decyzji nie było to oczywiste dla niektórych przywódców Solidarności, w tym — dla Lecha Wałęsy, którego przeczące sobie nawzajem wypowiedzi świadczyły o zaskoczeniu i dezorientacji. A przecież jakiegos posunięcia wymierzonego przeciw Solidarności można było oczekiwać od chwili, gdy nowy premier objął swój urząd; zapowiadały je uchwały plenum KC oraz wypowiedzi gen. Jaruzelskiego wykluczające kategorycznie samą możliwość uznania pluralizmu związkowego. Nie warto by może tego przypominać, gdyby nie konieczność wyciągnięcia wniosków z perypetii ostatnich miesięcy.

W tej chwili powinno być już chyba jasne dla wszystkich, że jak długo Rakowski pozostanie premierem, czy będzie wywierał na innym stanowisku wpływ na linię kierownictwa PZPR, tak długo rozmowy z Solidarnością nie wejdą na porządek dzienny. Jeśli zaś prawdą jest, że 39 sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR opowiedziało się w liście do Biura Politycznego przeciwko takim rozmowom, to Rakowski, znany jako osobisty wróg Solidarności, dysponuje w tej sprawie istic betonowym poparciem. Zapewne, tylko głupi polityk nie umie zmieniać stanowiska, a historia zna większe wolty niż ta, jaką byłoby dla Rakowskiego i kierownictwa PZPR podjęcie negocjacji z Solidarnością. Ale ewentualność taką należy uwzględniać tylko w ogólnych rozważaniach o możliwej przyszłości. Nie sposób wszelako budować na niej polityki.

Od wiosny 1982, a już całkiem wyraźnie od jesieni 1986 strategia Solidarności zmierzała do jednego tylko celu, którym było doprowadzenie do legalizacji związku w trybie rozmów z przedstawicielami kierownictwa PZPR, tzn. powtórzenie z możliwie niewielkimi odmianami scenariusza porozumień gdańskich. Zakładano, że gdy tylko Moskwa przestanie zgłaszać swe veto, będzie musiało wreszcie dojść do rozmów Polaków z Polakami, i że tym razem wszystko skończy się dobrze. Otóż Moskwa nie zgłasza weta i nie wywiera presji na kierownictwo PZPR, by uniemożliwić legalizację Solidarności. Nie chcą tego w pierwszym rządzie Jaruzelski z Rakowskim. To oni jako mandatariusze aparatu PZPR podjęli samodzielnie decyzję o likwidacji Stoczni, wierni polityce, jaką zapoczątkowali 13 grudnia 1981 i której przedłużeniem była haniebna uchwała Sejmu z 18 października 1982 o postawieniu Solidarności poza prawem.

Decyzja o likwidacji Stoczni przypieczętowała załamanie się dotychczasowej strategii Solidarności, której nie zastąpiła na razie żadna inna. Toteż ciągle czeka się rozmów — wszystko jedno jakich, byle rozmów. Ledwo Rakowski zrobił swoje, gdy w Try-

bunie Ludu ukazał się artykuł Miodowicza proponujący Lechowi Wałęsę dyskusję telewizyjną. I ledwo artykuł się ukazał, a już Wałęsa propozycję przyjął, nie czekając nawet na oficjalny list w tej sprawie i nie dyskutując jej ze swymi doradcami. Nie wiadomo na razie, co z tego wyniknie i czy do dyskusji w ogóle dojdzie. Ale pośpiech, z jakim propozycja Miodowicza została przyjęta, jest znamienity i niepokojący. Miodowicz występuje wprawdzie w roli związkowca, ale jest przecież członkiem Biura Politycznego PZPR, które ponosi odpowiedzialność za prowadzoną obecnie politykę rządu: za represje wobec robotników, którzy brali udział w strajkach sierpniowych i za bicie pałkami w pięty i w genitalia tych, którzy manifestowali 11 listopada — przy czym wszystko to idzie w parze z deklaracjami gotowości do rozmów z każdym i o wszystkim, byle nie z kierownictwem Solidarności na temat legalizacji związku. Ten popis dwulicowości nie wystarczył, Wałęsa znów przyjął zaproszenie gen. Kiszczaka na rozmowę, z której nic nie wyszło.

Solidarność i opozycja muszą teraz wyciągnąć wnioski z klęski dotychczasowej strategii i znaleźć odpowiedź na politykę, jaką zamierza prowadzić Rakowski. Potrzebne są przede wszystkim wiarygodne kontr-propozycje dotyczące gospodarki i spraw społecznych; ostatnie oświadczenie Krajowej Komisji Wykonawczej na ten temat niczego takiego nie zawiera. Potrzebne jest też jasne stanowisko wobec przyszłych wyborów do Sejmu, które posłużą zapewne rządowi do ponownego podjęcia prób włączenia części opozycji do struktur kontrolowanych przez aparat PZPR. Potrzebne jest, słowem, zarysowanie nowej linii politycznej na najbliższy okres: wskazanie celów, których osiągnięcie uważa się za realne, określenie środków, jakich zamierza się używać, nade wszystko zaś — organizacyjne i finansowe uporządkowanie Solidarności, bez czego jej możliwości działania pozostaną równie ograniczone, jak w ostatnich latach.

7 listopada 1988

REDAKCJA

Papież o ostatnich wydarzeniach w Polsce

...Pozdrawiam serdecznie wszystkich rodaków w tym dniu dla mnie uroczystym. Pozdrawiam w sposób szczególny środowisko gdańskie. Mamy znowu powody, ażeby się o to środowisko gdańskie, zwłaszcza o stocznię gdańską, niepokoić. Zawsze staraliśmy się być solidarni z „Solidarnością”. I w tym momencie także tę solidarność wyrażamy. Za słowem wypowiedzianym tutaj idzie codzienna modlitwa. Niech o tym wiedzą wszyscy moi rodacy w ojczyźnie.

(*Osservatore Romano* z 6 listopada 1988 r. — tekst po polsku i włosku).

Oświadczenie sekretariatu Episkopatu Polski

W związku z aktualną sytuacją zaistniałą w kraju sekretariat Episkopatu Polski wydał następujące oświadczenie: biskupi polscy wielokrotnie podkreślali w swych publicznych wypowiedziach, zwłaszcza w ostatnich latach, że przedmiotem ich troski jest sytuacja społeczna, gospodarcza i polityczna w naszym kraju, rzutuująca na warunki życia i pracy całego społeczeństwa, jak również stan państwa, które jest wspólnym dobrem Polaków. Biskupi są zarówno pasterzami Kościoła jak i synami narodu polskiego, stąd nie może być im obojętne dobro Polski. Państwo nasze, które odzyskało swą niepodległość przed siedemdziesięcioma laty, po zakończeniu II wojny światowej, wstrząsane było wielokrotnie niepokojami społecznymi. Historia jednoznacznie nas poucza, że rządzący obóz polityczny nie potrafi rozwiązać palących problemów kraju bez szerokiego udziału społeczeństwa. Wynika stąd konieczność dogłębnych reform społeczno-politycznych i gospodarczych. Muszą się one mieścić w granicach porządku moralnego, który zapewnia uszanowanie praw jednostki, rodziny i całych grup społecznych. W kwietniu, maju, sierpniu i wrześniu bieżącego roku przez kraj przeszła fala strajków, świadcząca o niezadowo-

leniu ludzi pracy zarówno ze stanu gospodarczego kraju, jak ze sposobu zarządzania państwem. Po sierpniowych strajkach wielkie nadzieje wzbudziła inicjatywa szerokiego otwarcia politycznego związku z koncepcją obrad „okrągłego stołu”. Kroki zmierzające do zabezpieczenia pokoju wewnętrznego spotkały się z poparciem szerokich grup społecznych, a także Kościoła czego dowodem jest między innymi komunikat z 230-ej konferencji plenarnej Episkopatu 5-6 października 1988 roku. Biskupi dali wówczas wyraz przekonaniu, że prawa pracownicze, zwłaszcza robotników i rolników, do właściwych im związków zawodowych, według ich własnego wyboru będą zagwarantowane. Dalej stwierdzono, że porozumienie w zakresie podstawowych wartości powinno stanowić fundament zasadniczej reformy państwa, jego struktur i gospodarki narodowej. Rysująca się szansa rychłego podjęcia rozmów przy „okrągłym stole” między przedstawicielami strony społecznej i władz państwowych w ostatnich tygodniach napotyka na trudności. Kampania propagandowa przeciwko pluralizmowi społecznemu, zwłaszcza pluralizmowi związków zawodowych, jakiej byliśmy świadkami, nie stworzyła sprzyjającego klimatu do tych rozmów. Podobnie oceniać należy niewykonanie porozumienia w sprawie zaniechania represji wobec uczestników tegorocznych strajków, zwłaszcza na Śląsku w sprawie przywrócenia ich do pracy. Podważa to wiarygodność władz państwowych, a także autorytet ludzi Kościoła, wobec których poręczono niestosowanie represji osobistych i pracowniczych. Nie jest rzeczą Kościoła wkraczanie w sferę spraw czysto gospodarczych, natomiast dziedzina ta nie może być wolna od ocen moralnych. Z tego punktu widzenia trzeba także spojrzeć na decyzję rządu o zamknięciu Stoczni Gdańskiej. Stanowi ona akt polityczny nie sprzyjający idei porozumienia. Godzi się tu odwołać do konstytucji Soboru Watykańskiego II, Gaudium et Spes 68, gdzie między innymi czytamy, że uwzględniając zadania właścicieli, najemców, dyrektorów, robotników, a równocześnie nie naruszając koniecznej jednności w kierowaniu całością, należy popierać odpowiednio obmyślonymi sposobami czynny udział wszystkich w pieczy nad przedsiębiorstwem. Ponieważ zaś często nie w samym przedsiębiorstwie, lecz ponad nim, w instytucjach wyższego rzędu rozstrzyga się o sprawach gospodarczych i społecznych, od których zależy przyszły los pracowników i ich dzieci, trzeba, żeby już przy ustalaniu mieli oni głos, albo sami, albo przez swobodnie obranych przedstawicieli. Decyzja rządu nie uwzględniła takiego sposobu postępowania. Stocznia jest zakładem, w którym od lat walczone o podmiotowość robotników, o podmiotowość społeczeństwa, o solidarność i działanie w obliczu narastającego kryzysu. Decyzja rządu jest przykładem nieuznawania tej podmiotowości. Doprowadziła ona także do wstrzymania rozmów przy

„okrągłym stole” i do zablokowania rysującego się porozumienia Polaków w obliczu różnych zagrożeń. Kościół wzywa władze państwowe, by reformy ekonomiczne realizowały równolegle z reformami politycznymi, aby w ten sposób zachęcić świat pracy do udziału w ich realizacji. Siedemdziesiąta rocznica odzyskania niepodległości powinna być wezwaniem do jedności wszystkich Polaków. Z tego względu konieczne są dalsze rozmowy i unikanie działań, które utrudniają dialog ze społeczeństwem.

Warszawa, 12 listopada 1988 r.

Wywiad Prymasa Glempa dla agencji "Nowosti"

Prymas kardynał Polski Józef Glemp udzielił 7 bm. wywiadu red. Trojancowskiemu z agencji „Nowosti”.

PYTANIE: — *Jaką rolę może odegrać Kościół rzymskokatolicki w Polsce w uzdrawianiu obecnej sytuacji kraju?*

J. GLEMP: — Kościół rzymskokatolicki w Polsce czuje się integralną częścią polskiego narodu, toteż w trudnych dla ojczyzny chwilach pragnie ją wspomóc. Trudności mogą być natury ekonomicznej lub społecznej — Kościół odczuwa je i na swój sposób pragnie im zaradzić. Tym sposobem Kościoła jest przede wszystkim modlitwa, która pozwala znaleźć pewien dystans do rzeczy, do rozgrywających się spraw i widzieć je spokojnie. Kościół ma wielkie doświadczenie w różnych systemach społecznych, bo jest pośród ludzkości 2000 lat i dzięki tym doświadczeniom może przekazać swoją naukę, swoje spojrzenie na sprawy. Myślę, że to jest cenne dla społeczeństwa.

PYT.: — *Jak odbyło się spotkanie waszej eminencji z premierem? Czy Kościół weźmie bezpośredni udział w sprawach państwa?*

J.G.: — Przede wszystkim nowy premier odważnie podejmuje się trudnych zadań. A ponieważ wiemy, że sytuacja jest niełatwa, nie możemy — niezależnie od sentymentów — utrudniać nowemu premierowi, ale raczej stwarzać takie warunki, które umożliwią krajowi pójście naprzód.

Bezpośrednio Kościół nie bierze udziału w polityce państwowej, ale katolicy świeccy mogą się w nią zaangażować, jeżeli uważają, że są kompetentni.

PYT.: — *Jakie nadzieje wiąże Kościół z „okrągłym stołem”, który rozpocznie swoją pracę w połowie października?*

J.G.: — Całe społeczeństwo wiąże nadzieje z „okrągłym stołem” i Kościół także. Jest to wielka szansa na przyszłość. To nasze domaganie się pluralizmu ma w „okrągłym stole” już zaczątek realizacji. Ludzie różnych zapatrywań mogą wymieniać swoje poglądy, mogą ustalić plan działania. I to — myślę — jest bardzo ważne, z tego może tworzyć się lepszą przyszłość. Im więcej ludzi otwartych, kochających kraj wejdzie w strefę odpowiedzialności za dzieje państwa, tym szersze powinno być współdziałanie.

PYT.: — *W czym leży istota przygotowywanych obecnie nowych dokumentów o wzajemnych stosunkach Kościoła i państwa?*

J.G.: — Te dokumenty pragną utwierdzić to, co już jest rzeczywistością osiągnięte. Stosunki między państwem a Kościołem w wielu punktach się wyjaśniły. Kościół rzymskokatolicki ma swoją pozycję. A ponieważ do istoty Kościoła katolickiego należy łączność ze Stolicą Apostolską, dlatego też niektóre dokumenty będą dotyczyły spraw Kościoła wewnątrz państwa, niektóre zaś — katolików w aspekcie ponadnarodowym — i tu potrzebny jest dokument uzgodniony przez PRL i Watykan. Te prace są już dość daleko posunięte i mogą przynieść pomyślny rozwój tak państwu, jak i Kościołowi.

PYT.: — *W tym roku ksiądz prymas dwa razy odwiedził Związek Radziecki. Jakie są wrażenia eminencji? Co eminencja sądzi o przebudowie, o zmianach zachodzących w życiu Cerkwi?*

J.G.: — Tak z pierwszego, jak i z drugiego pobytu wyniosłem jak najlepsze wrażenia. Pierwszy pobyt w Moskwie i w Kijowie otworzył mi oczy na siłę duchową Kościoła prawosławnego, na jego łączność z narodem, a także na wolę rozwoju i wkładu w rozwój państwa radzieckiego.

Drugi pobyt na Białorusi pokazał bardziej z bliska ludzi konkretnych, którzy wierzą, którzy gromadzą się w kościołach, którzy dbają o te kościoły, a te kościoły są pięknymi świadectwami kultury. To dotyczy tak Kościoła rzymskokatolickiego, jak i prawosławnego. W prawosławnych cerkwiach, wypełnionych wiernymi, modliliśmy się razem z duchownymi prawosławnymi. Podziwiałem zabytki kultury, piękne ikonostazy. Wszędzie ujmowała grzeczność i życzliwość.

PYT.: — *Wizyta waszej eminencji na Białorusi była ogromnym sukcesem. Szerokie zainteresowanie społeczeństwa radzieckiego wzbudziło kazanie waszej eminencji w kościele farnym w Grodnie i zawarte w nim nowe podejście do szeregu wydarzeń historycznych. Wasza eminencja zauważył w szczególności, że wiele postu-*

latów Unii Florenckiej i Brzeskiej pozostało tylko na papierze. Czy eminencja może dokładniej naświetlić ten problem?

J.G.: — W kazaniu w Grodnie chciałem zwrócić uwagę na historyczne etapy rozwoju idei zblżenia się ludzi i wyznań.

Najpierw — przed wieluset laty była faza metod krzyżackich, kiedy to jedna strona narzucała drugiej swoją wolę siłą — tak robili Krzyżacy w Lidzie, w Nowogrodku, w Grodnie, podobnie jak w miastach Polski centralnej.

Później przyszała faza umów prawnych, jak Unia Florencka i Unia Brzeska. To także dzisiaj nie wystarcza. Dzisiaj nie wystarczy wydać dekret, że ma być przyjaźń. Dzisiaj trzeba mieć w sercu bliskość i zrozumienie drugiego człowieka. Myślę, że stajemy przed nowym okresem, który już nie liczy na moc umów, tylko na kontakt człowieka z człowiekiem, naturalnie nie lekceważąc porządku prawnego, który powinien sprzyjać otwarciu się ludzi między sobą.

PYT.: — *Kiedy granice państwa polskiego będą się pokrywać z granicami diecezji? Jakie powstają trudności z powodu tego, że nie ma tej zgodności?*

J.G.: — Dojrzewają czasy, żeby te sprawy omówić. Naturalnie, że z punktu widzenia Kościoła katolickiego w załatwieniu tych spraw musi mieć udział Stolica Apostolska. Ale jesteśmy jak najbardziej za tym, żeby ludzie wierzący, katolicy, żyjący w Związku Radzieckim, mieli swoją strukturę kościelną, tj. własne diecezje. Tego im życzymy, i w tym chcemy pomagać.

PYT.: — *Jak wasza eminencja widzi perspektywy rozwoju stosunków z rosyjską Cerkwią prawosławną na niwie utrwalenia ogólnoludzkich norm moralnych, działalności charytatywnej, zachowania pokoju, wkładu w budowę wspólnego domu, jakim jest Europa?*

J.G.: — Początek dialogu naszego Kościoła z Kościołem prawosławnym jest bardzo dobry. Można powiedzieć, rozumiemy się z metropolitą Filaretem Mińskim. Bardzo bym chciał zaprosić do Polski metropolitę Filareta Kijowskiego, byśmy mogli częściej ze sobą rozmawiać, częściej razem się modlić — myślę, że jest to na dzisiejsze czasy bardzo dobra metoda. Nasi bracia prawosławni tak samo nas rozumieją, oni chcą tego samego, co i my: dobra społeczeństwa przez posługę Kościoła. Praca dla Ewangelii przynosi owoce wrażliwego sumienia na dobro i potrzeby drugiego człowieka, czyli miłosierdzie.

PYT.: — *Jaki jest wspólny wkład Kościoła i Cerkwi w rozwiązywanie problemów ogólnoeuropejskich?*

J.G.: — Jeżeli potrafimy współpracować i wzajemnie się rozumieć, to nie tworzymy barier między Europą Środkową i Europą Wscho-

dnia. Dzisiaj świat a Europa szczególnie, potrzebują większej jedności. Na przykład, jeżeli granica polsko-radziecka będzie naprawdę granicą przyjaźni, to znajdzie to silne reperkusje i w innych krajach.

PYT.: — *Zbliża się rok dwutysięczny, będzie to wielki jubileusz dla chrześcijaństwa. Co w związku z tym zamierza Kościół rzymskokatolicki w Polsce?*

J.G.: — Przygotowujemy się do tego jubileuszu. Przede wszystkim pragniemy, żeby życie ludzi stało się bardziej moralne. Mamy dużo pod tym względem braków: -alkoholizm, rozbicie rodziny, chuligaństwo, agresywność. Chrześcijaństwo ma za zadanie przez wiarę wchodzić w społeczeństwo z tym co jest altruizmem, co jest miłością, zaczerpniętą od stwórcy. Taki mamy właśnie program odnowienia społeczeństwa — od strony duchowej, od strony serca. W Polsce chcemy przygotować synod plenarny, który będzie trwał kilka lat, a podczas którego ludzie z różnych środowisk będą mogli jako chrześcijanie przeprowadzić refleksję nad swoim życiem, czy żyją zgodnie z zasadami wiary. To powinno być poważnym wkładem Kościoła w przełom tysiącleci.

PYT.: — *Czy będzie kontynuowana budowa nowych kościołów, seminariów?*

J.G.: — Budownictwo nie będzie już tak intensywne, jak teraz, bo najważniejsze potrzeby mamy zaspokojone, ale tam, gdzie powstają nowe dzielnice i osiedla, trzeba będzie budować nowe kościoły. Niektóre seminaria mamy wystarczająco obszerne, niektóre są w trakcie budowy lub rozbudowy na miarę potrzeb. Baza materialna Kościoła nie jest naszym pierwszym celem.

PYT.: — *Czy ksiądz prymas mógłby powiedzieć kilka słów o sobie, swoich osobistych zainteresowaniach itp.*

J.G.: — Teraz mam tak dużo pracy kościelnej, że nie mam czasu na inne zainteresowania. Bardzo lubiłem sport. Lubiałem grać w koszykówkę, uprawiałem lekkoatletykę — gdy byłem jeszcze młodym człowiekiem świeckim. Lubię muzykę, lubię literaturę piękną, poezję, sam pisałem wiersze. Właściwie to wszystko.

PYT.: — *Czy ksiądz prymas czyta coś radzieckich autorów, czy może jakieś czasopisma?*

J.G.: — Prenumerowałem *Literaturę radziecką*, miesięcznik wydawany na dobrym papierze, po polsku, więc czytałem. Teraz już, niestety, nie mam na to czasu. Nawet nie wiem, czy ten miesięcznik jeszcze wychodzi.

(PAP)

Trzy wolności, czyli o progach kompromisu

W rozmowie udział wzięli: MIECZYŚLAW GIL, WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI, TOMASZ GROCHOWSKI (pseudonim), STANISŁAW HANDZLIK, FRANCISZEK MILWID (pseudonim), PIOTR ANDRZEJEWSKI (pseudonim), JERZY ZDRADA i MACIEJ SZUMOWSKI, który rozmowę prowadził.

REDAKCJA: — Punktem wyjścia naszej dyskusji chcemy uczynić dwa teksty opublikowane w letnich numerach *Kultury* paryskiej, z których jeden, artykuł redakcyjny, przedrukowaliśmy w 21-yim numerze *Miesięcznika*. Ale tylko punktem wyjścia, bowiem historia poszła gwałtownie do przodu. Ta nowa sytuacja polityczna, która pierwszy raz od stanu wojennego wzbudza, jak sądzimy, realne nadzieje na prawnie usankcjonowany udział Solidarności w przebudowie ustrojowej państwa, pilnie wymaga oceny i zastanowienia nad przyszłością opozycji w PRL, jej szansami i ograniczeniami.

Witamy serdecznie zaproszonych gości, przedstawiciela jawnie już od niedawna działającego Regionalnego Komitetu „Solidarności” Małopolska, przedstawicieli Komitetu Organizacyjnego Nowej Huty, dziennikarzy z Warszawy i Krakowa, no i Macieja Szumowskiego, którego prosimy o poprowadzenie rozmowy.

Czy Solidarność ma i czy powinna mieć program?

MACIEJ SZUMOWSKI: — Myślę, że temat naszej dyskusji został dość precyzyjnie zakresłony. Chciałbym jednak na początek zaproponować skoncentrowanie się na takich oto problemach. Znajdujemy się w przededniu ważkiego wydarzenia: Solidarność ma zasiąść do okrągłego stołu. Rodzi się w związku z tym pytanie: czy Solidarność posiada jakiś zwarty, wyraźny program, z którym mogłaby do tego stołu sięść? Czy taki program istnieje, czy możemy go tutaj, przy naszym stole, przedstawić i sformułować?

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI: — Pytanie jest dobrze postawione, ale ja je od razu odrzucam, bowiem kwestia programu wydaje mi się teraz rzeczą poboczną i nieistotną. To, co jest programem

Solidarności, każdy robotnik i każdy inteligent może mniej więcej określić, choć nie każdy tego samego oczekuje. Programu komp. tego Solidarność mieć nie może i nie powinna. Programy zawsze są rzeczą wtórną, chodzi natomiast o to, by Solidarność powróciła jako podmiot społeczny, żeby stała się znowu realną siłą. Więc nie myślenie o programie, lecz myślenie o realizacji „punktu pierwszego” — używam celowo tej stereotypowej terminologii — jest istotą sprawy. Ale domyślam się, dlaczego takie pytanie postawiłeś. Otóż w kręgach inteligenckich, w kręgach tych ludzi, których nazywa się „Mazowszanką”, a w Krakowie może „Krakowianką”, przywiązuje się nadmierną wagę do sformułowania kompletnego programu uzdrowienia gospodarki, stosunków społecznych itd. Obecnie jednak sprawą kardynalną jest mobilizacja społeczeństwa wokół programu odbudowy, relegalizacji Solidarności, przy czym należy sobie zdawać sprawę, że po ośmiu latach nie może to być identyczna, jak kiedyś, Solidarność, nie tylko dlatego, że władza takiej nie zaakceptuje, ale przede wszystkim dlatego, że działa już nowa generacja, że powstały nowe problemy. Powiedzmy to jasno: młodych robotników, tych, którzy brali teraz udział w strajkach, interesuje Solidarność jako związek zawodowy, który będzie ich bronił przed arogancją, chamstwem, brutalnością nadzoru, przed dzwiewiętnastowiecznymi warunkami pracy, jakie panują u nas w przemyśle. Sprawy płac były na dalszym planie w tych strajkach. Zatem robotnicy ci będą o swój związek walczyć do upadłego i jeszcze pięć razy pójdą do strajku. Oni są przywiązani do nazwy Solidarność, ale i tak, jak rząd się nie zgodzi na przywrócenie tej nazwy, to oni sobie napiszą na drzwiach „Solidarność” i w ten sposób będą siebie nazywali. Myślenie więc, że na posiedzenie okrągłego stołu Solidarność musi posiadać program, jest myśleniem typowo inteligenckim. Bo sprawą pierwszoplanową jest odtworzenie Solidarności.

M.S.: — Czy mogę Ci na chwilę przerwać?

W.G.: — Oczywiście, nawet powinieneś...

M.S.: — Wydaje mi się, że zbyt dużo energii zużywasz na to, by przekonać nas, że pierwszym postulatem jest zalegalizowanie Solidarności. Ta sprawa dla nas wszystkich, jak tu siedzimy, jest oczywista. Pytanie natomiast, co potem, co należy czynić, jak postępować, gdy Solidarność zostanie zalegalizowana.

W.G.: — To jest zupełnie inne pytanie. Rzecz jasna, że samo przywrócenie Solidarności nie załatwi żadnego z problemów,

nazwijmy to, ogólnonarodowych, ale stworzy tylko szansę ich załatwienia.

MIECZYŚLAW GIL: — Myślenie programowe ciąży na stosunku inteligencji do rzeczywistości politycznej. Zgadzam się z tym wszystkim, co powiedział redaktor Giełżyński. Na dzień dzisiejszy hasłem taktycznym powinna być „Solidarność”, natomiast powinniśmy się już zastanawiać, jaki pogląd ma mieć Solidarność na podstawowe kwestie nowego ustroju w Polsce.

W.G.: — Szalenie bym się bał tego w obecnej chwili.

M.G.: — Dlaczego?

W.G.: — Dlatego, że wyniknie np. taka sprawa — czy Solidarność ma bronić podstawowych interesów robotniczych, a zatem może się okazać, że będzie przeciwko wielu wymogom reformy gospodarczej. Czy Solidarność ma dalej lansować ideę samorządnej Rzeczypospolitej, która wydaje się obecnie ideą absurdalną w takim kształcie, w jakim była formułowana w roku 1981. Uważam zatem za jeszcze przedwczesny moment, by wdrażać się w te szczegółowe sprawy.

M.G.: — Ale społeczeństwo pytania stawia, zwłaszcza ta część, nie włączona bezpośrednio w obieg działalności. Dzisiaj mamy już bowiem do czynienia z innym niż przed laty społeczeństwem, bardziej uświadomionym. To społeczeństwo nie identyfikuje nas wyłącznie ze związkiem zawodowym, dlatego oczekuje od Solidarności odpowiedzi, jak rozwiązywać problemy dnia dzisiejszego. Więc chyba powinniśmy takie odpowiedzi przygotowywać, jest bardzo mało czasu, to nie gołosłowny slogan z innej epoki.

M.S.: — Czy zatem, Mietku, w kontekście zarzutów postawionych ostro i wyraźnie przez *Kulturę*, nadal uważasz, że od 1982 roku po dzień dzisiejszy też było mało czasu?

M.G.: — Czasu było bardzo dużo. Ale trzeba pamiętać o jednym: my cały czas samoograniczamy się, nie nazywamy rzeczy po imieniu, bo stale musimy dbać o zasady taktyki, gry z władzą, żeby nie nazywano nas siłami antysocjalistycznymi i nie stawiano pod ścianą jako wrogów kraju. Niby wiemy o co chodzi, a jednak boimy się, czy raczej baliśmy się, bo obecnie nastąpiło takie pomieszanie pojęć, że już nawet władza mówi o innym socjalizmie i sama dobrze nie wie, o jaki jej chodzi, no więc baliśmy się np. w związku z ustawą o samorządzie w zakładzie pracy stwierdzać wprost, że dążymy do złamania nomenklatury. Teraz mówimy wprost...

M.S.: — Co mówicie wprost?

M.G.: — ... że trzeba likwidować nomenklaturę. W pewnym sensie mówi o tym już też partia, a dawniej to było słowo tabu. Dlatego należy wyjść, powtarzam, naprzeciw oczekiwaniom społecznym.

M.S.: — Mietek użył przed chwilą słowa „taktycznie” w związku z potrzebą legalizacji Solidarności. Czyż byśmy chcieli pozostać w sferze taktyki, czy jest to godne naszego ruchu?

W.G.: — To nie jest taktyka, to jest stworzenie realnej siły naporu.

M.S.: — Czy więc możemy to słowo usunąć?

M.G.: — Zgadzam się, że należy słowa dokładnie ważyć i precyzować. Legalizacja Solidarności to jest warunek *sine qua non* naszego społecznego bytu.

M.S.: — Dobrze, co do tego zgadzamy się wszyscy, jak tu jesteśmy.

W.G.: — Ale czy jako związku zawodowego?

M.S.: — Właśnie, i to jest istotne pytanie.

Związek zawodowy, nie ruch społeczny

W.G.: — I zaraz odpowiadam. Otóż uważam, że tak, jako związku zawodowego, a nie ruchu społecznego, bo wtedy Solidarność będzie miała oparcie wśród młodych robotników, a zresztą chyba w ogóle wśród większości robotników. A że nawet jako związek zawodowy Solidarność będzie realną siłą polityczną, to jest to dla mnie zupełnie oczywiste. Najpierw trzeba mieć siłę, a potem należy wypracowywać programy. Bez tej siły żaden program nie będzie mógł być zrealizowany.

M.G.: — Słusznie, słusznie...

M.S.: — Czy nie wydaje się Państwu dziwne, że przewodniczący wielkiego związku zasiada do wspólnego stołu z ministrem spraw wewnętrznych, który nie chce uchodzić za policjanta, ale tak

potocznie Polak uważa, i zwykli członkowie Solidarności poza powtarzaniem przez Wałęsę hasłem nie wiedzą, o jakich sferach niezależności będzie przy tym stole mowa, czego konkretnie będzie domagał się nasz przywódca? Czy aby już w tej chwili nie zaczyna działać pewien mechanizm antydemokratyczny? Że Wałęsa otrzymał wszelkie uprawnienia do negocjacji, których strategii nie znamy. Stąd mój niepokój, stąd pytania o program, a jeżeli to pojęcie Państwu nie odpowiada, to zmienmy je na słowo „strategia”.

W.G.: — Pozwolę sobie raz jeszcze zabrać głos w tej sprawie. „Czy dobrze, że Wałęsa siada z policmajstrem”? Siada z ministrem spraw wewnętrznych desygnowanym do rozmów. Na całym świecie i w Polsce przedwojennej także, kiedy istnieje sytuacja masowych strajków, rozmawia minister spraw wewnętrznych, który występuje nie tylko jako szef bezpieczeństwa, ale również jako minister od spraw wewnętrznych właśnie. I nie widzę w tym nic wstydliwego, chociaż oczywiście takie resentmenty są wśród naszego społeczeństwa. To jest odpowiedź na pierwsze Twoje, Maćku, pytanie. Drugie jest istotniejsze. Rzeczywiście nie wiemy, jaka była treść ustaleń między Wałęsą a Kiszczakiem. Ale jeżeli uważały się za dojrzały ruch, prawda, że związkowy, ale i polityczny, to musimy zrozumieć, że nie można od razu wyklądać kart na stół. Trzeba mieć zaufanie do ludzi, którzy naszą organizację prowadzą od lat, i prowadzą bez większych błędów, jak do tej pory. Wałęsa ma określoną linię polityczną i mimo takich czy innych potknięć prowadzi ją zgodnie z naczelnym interesem narodowym. Uszanujmy więc jego lapidarność, bo być może Kiszczak rozmawiał z nim o kłopotach, jakie ma część najwyższej władzy ze swoim aparatem. Odrzucam bowiem tezę, która głosi, że wszystko, co się dzieje po stronie władzy jest tylko manipulacją. W tej chwili władza jest rozbita, jest w rozkładzie. I nie może nie brać pod uwagę możliwości konfliktu grożącego ze strony tzw. betonu, powtarzania, że część władzy, która uznaje autentyczną potrzebę reform. Wiadomo, kto jest tym „betonem”, wiadomo, jakie siły się grupują na pozycji, nazwijmy to, antysolidarnościowej, mniej natomiast wiadomo, jakie są te siły reformatorskie. W normalnie prowadzonej polityce przez pewien czas niektóre sprawy muszą być zastrzeżone, nie można ich zbyt szybko ujawniać. Jednym z błędów Solidarności, bo była ruchem młodym i naiwnym było to, że wszystko w obrębie jej działania odbywało się jawnie i publicznie. Niestety polityka nie może się rozgrywać wyłącznie publicznie. To jest złudzenie demokracji, to okazuje się nieskuteczne.

M.S.: — Polityka czy negocjacje, Wojtku?

W.G.: — Negocjacje są elementem polityki, tak samo jak strajki są jej elementem. Polityka jest pojęciem bardzo złożonym. Więc Wałęsa słusznie zrobił, że nie ujawnił na razie treści rozmów, bo mógłby zaszkodzić sprawie, chociaż mieli rację robotnicy ze Stoczni, że powinni jednak coś im powiedzieć. I Wałęsa przyznał się do błędu.

M.S.: — Pozostawmy więc już sprawę techniki prowadzenia negocjacji — to oczywiście jest kwestia kultury politycznej — i powróćmy do zasadniczej sprawy, postawionej przez Wojtkę: czy ma to być legalizacja Solidarności jako czystego związku zawodowego?

REDAKCJA: — Nastroje wśród robotników, szczególnie wśród młodych, jak to już mówiono, wskazują na to, że Solidarność powinna być tym razem tylko związkiem zawodowym. Ale trzeba pamiętać, że towarzyszyć temu musi pluralizm polityczny...

M.S.: — ... bo żeby Solidarność nie była znów jak ten wielbłąd, dźwigając wszelkie wątki i wszelkie różnice polskiej opozycji.

JERZY ZDRADA: — Tak, Solidarność nie powinna wyřęcać innych ruchów, zwłaszcza politycznych. Ale pamiętać musimy, w jakiej konkretnie sytuacji znajduje się społeczeństwo polskie. Rzeczywistość jest taka, że jeśli nie będzie w pełni niezależnego ruchu związkowego przez Solidarność uosobianego, to nie będzie również ruchu politycznego, na tę nazwę zasługującego. Myślę, że wielu działaczy Solidarności i wielu doradców jasno to sobie teraz uświadamia. Dano temu wyraz na spotkaniu w kościele św. Brygidy, gdzie mówiono, że legalizacja Solidarności jest tym minimum, poniżej którego nie wolno nam zejść. Ten fakt dopiero stworzy ramy dla tych wszystkich ugrupowań politycznych, które już się pojawiły na scenie, a w przyszłości zapewne przybędą nowe.

M.S.: — Czy wobec tego Wałęsa bierze na siebie odpowiedzialność, że przy okrągłym stole będzie reprezentował również potrzebę pluralizmu politycznego, będzie reprezentował PPS i inne partie?

W.G.: — Wałęsa wyraźnie powiedział: pluralizm społeczny i pluralizm ekonomiczny tak, natomiast polityczny może jeszcze trochę poczekać. To jest właśnie strategia!

PIOTR ANDRZEJEWSKI: — Ja zrozumiałem, że się wyraźnie

od innych spraw odżegnał, że podkreślił: interesują nas wyłącznie sprawy związku.

W.G.: — Tak, ale jedno drugiemu nie przeczy.

J.Z.: — On przecież nie może w rozmowach występować jako rzecznik PPS-u, rzecznik WiP-u, Młodej Polski itd. Przedstawiciele wszystkich tych ugrupowań byli na sali u św. Brygidy i z tym się zgodzili. Wałęsa musi reprezentować Związek, którego jest przewodniczącym. Zrozumiano bowiem, że jeśli ten pierwszy etap nam się powiedzie, jego konsekwencje polityczne będą daleko idące. Musimy sobie obecnie zdawać sprawę, że nie mamy jeszcze Solidarności, że dopiero o nią walczymy. W różny sposób: tymi spotkaniami, tworzeniem komitetów organizacyjnych, założycielskich, jak również listami popierającymi stanowisko Wałęsy, które dają mu mandat, by w imieniu różnych grup zawodowych domagał się przywrócenia prawa Solidarności do jawnej i legalnej działalności. To są tysiące imiennie podpisywanych deklaracji, stanowiące konkretne argumenty przy negocjacjach.

M.S.: — Dotychczasowy przebieg dyskusji sugeruje, że wszyscy jesteśmy przekonani o reprezentatywności Lecha Wałęsy, który ma za nas wszystko załatwić przy okrągłym stole. Ale odwróćmy sytuację. Czy nie można powiedzieć, że od pewnego czasu ta Solidarność, która ma być dopiero wynegocjowana, działa, istnieje. Biorę tu na świadków dwóch kolegów z Nowej Huty. Więc jeżeli ta Solidarność istnieje od lat, w różnych formach i różnym napięciu, to czy można zadać pytanie: jaki Wy, tu zwracam się do Mietka i Staszka, macie program działania, czy jesteście przygotowani na taką ewentualność, że z negocjacji może nic nie wyjść i co wtedy, czy nie będzie tak, jak kiedyś, gdy decyzja o powszechnej amnestii zaskoczyła całą opozycję, łącznie z doradcami Solidarności, którzy wydawałoby się zjedli żęby na polityce, choć to analogia może zbyt odległa w czasie. I nastąpił wówczas etap kompletnego chaosu wewnątrz opozycji, kłótni i niezdecydowania, etap, paradoksalnie, dezintegracji opozycji. Czy więc nie za wiele teraz oczekujemy od rozmów? Czy jesteśmy przygotowani na różne ewentualności? Znamy ten system, wiemy, że nie możemy polegać na żadnych obietnicach i tu Kiszczał postąpił nawet uczciwie, gdy powiedział, że nie może dać żadnych gwarancji, bo nie wie, czy będzie ministrem. Czy wtedy, gdy z okrągłego stołu nic nie wyjdzie, dalej mamy działać bez programu, bez założeń?

W.G.: — Programem na teraz będzie w dalszym ciągu relegalizacja Solidarności...

M.S.: — Wojtku, nie zrozumiałeś mojego pytania.

W.G.: — Zrozumiałem, doskonale...

M.S.: — Jeszcze raz przypominam sytuację: jesteśmy nielegalni, ale działamy, w Nowej Hucie już zupełnie jawnie, otwarcie...

W.G.: — Tak, ten ruch społeczny jest ważniejszy niż rozmowy przy okrągłym stole...

STANISŁAW HANDZLIK: — Rozumiem, że zostałem wywołany do tablicy.

REDAKCJA: — Czekamy z niecierpliwością.

J.Z.: — Pozwólcie jednak, że jeszcze wtrączę jedno zdanie. To nie Wałęsa za nas załatwia. To my działamy i dajemy Wałęsie argumenty do ręki.

Trzy wolności

S.H.: — Zanim przejdę do konkluzji, chciałbym cofnąć się do roku 1981. Solidarność była ruchem społecznym, ale Solidarność nie chciała być ruchem społecznym. Ewoluowała w kierunku wyodrębnienia trzech prądów, trzech wątków. Po pierwsze — związku zawodowego, po drugie — różnych formacji politycznych, mieszczących się w przestrzeni solidarnościowych ideałów, po trzecie — formacji gospodarczej, bo przecież zainicjowaliśmy działalność samorządową itd. I to był jakby taki model ruchu społecznego nazwanego Solidarnością, który miał być realizowany w realiach polskich. Jak wiadomo, nie pozwolono nam na to. I obecnie sytuacja wydaje się podobna. Powstaje pytanie: czy zaczynać znów od tego szerokiego ruchu, który wyodrębniłby swoje formacje, czy też przyjąć, że pluralizm polityczny rozwinię się później. Myślę, że powstanie Solidarności powinno stworzyć sytuację sprzyjającą reformom, nie tylko oczywiście gospodarczym, ale również politycznym i społecznym. Bowiem cały program Solidarności na dzisiaj, który nie jest programem spisanim, bo ogromnie trudno byłoby teraz spisać to wszystko, co pojawiło się przez kilka lat od stanu wojennego, te różne propozycje i przemyślenia, sprowadza się do trzech podstawowych wolności: wolny rynek, wolne związki, społeczne i polityczne, i wolne słowo. Te trzy wolności wyrażają chyba najdobitniej ideały Solidarności, które chcemy realizować w momencie, gdy

zaistnieje Solidarność jako związek zawodowy. Jestem bowiem przeciwnikiem tworzenia, formułowania programu dla organizacji, która pozostaje nielegalna. Jeśli jesteśmy legalni, możemy ten program realizować poprzez rozmaite instytucje, w sytuacji natomiast nielegalności cały nasz wysiłek powinien skupić się na walce o legalizację, a jednocześnie, żeby nie tracić bazy społecznej, musimy pracować dla ludzi. I to w tej chwili chcemy robić organizując przede wszystkim związki na terenie zakładów pracy, realizując podstawowe ich potrzeby. Staramy się nie włączać w działania polityczne, nie mówimy na temat sytuacji kraju, zdając sobie sprawę, że obecnie jest to sfera zastrzeżona dla przewodniczącego, który siada do negocjacji. Porozumiewamy się oczywiście na terenie Komisji Krajowej, ustalamy, co Wałęsie wolno, a czego nie wolno. Zrozumieli to też intelektualści zgromadzeni u św. Brygidy: że warunkiem wejścia Polski na drogę reform jest uznanie przez władze Solidarności. Bo jest to sposób przełamania oporu władzy przed rzeczywistymi, niezbędnymi reformami, o których mówiliśmy już wcześniej.

Pozwólcie Państwo, że jeśli już jestem przy głosie, powrócę jeszcze do strajku w Nowej Hucie, wokół którego narosło sporo mitów i nieporozumień, czego w pewnym stopniu dowodem jest wspomniany artykuł w *Kulturze*. To był strajk bardzo trudny. Myśmy bardzo chcieli, żeby to był strajk typowo solidarnościowy, niemniej nie mogliśmy tego od razu przeprowadzić, bowiem strajk został zainicjowany przez grupę robotników zaniepokojonych pogarszającą się sytuacją bytową. Im chodziło w pierwszym rzędzie o płace, chcieli się poczuć bezpieczniejsi wobec galopującej inflacji. Tak że bardzo łatwo było sformułować postulat indeksacji płac. Ale w miarę upływu czasu, w sytuacji blokowania rozmów, dojrzewała w ludziach świadomość, że nawet uzyskanie podwyżek niewiele załatwi, ponieważ zostaną oni dalej niezorganizowaną masą, którą łatwo oszukać i wymanewrować. Zaczęły się gorączkowe dyskusje, w jaki sposób zakończyć strajk tak, by pozostawić instytucję dopominającą się o realizację wysuniętych postulatów. Więc czy komitet strajkowy powinien działać do czasu, gdy postulaty zostaną zrealizowane, ale to wydało się nierealne. Czy instytucją tą ma być związek zawodowy, i w tym celu wystarczy tylko odblokować ustawę o związkach zawodowych, czy wreszcie ma to być Solidarność. I wówczas, zaznaczam, jeszcze przed pacyfikacją, w tych realiach kwietniowych doszliśmy do wniosku, że to powinien być związek zawodowy, że nie będziemy upierać się przy nazwie Solidarność, do której prędzej czy później będzie można wrócić. Ale pacyfikacja i jej konsekwencje spowodowały radykalizację nastrojów i przekonanie, że tylko Solidarność jest w stanie przeciwstawić się władzy w prowadzeniu kraju do ruiny gospodarczej. Związek zawodo-

wy ograniczony do działań czysto związkowych nie udźwignąłby nabrzmiewających dzisiaj problemów. A zatem decyzja nasza i naszych młodszych kolegów była jednoznaczna: tworzymy Solidarność, która będzie realizować postulaty strajkowe i będzie inicjować prawdziwe reformy w Polsce. To myślenie robotników, którzy dojrżeli politycznie podczas strajku w Nowej Hucie, znalazło potwierdzenie w strajkach sierpniowych, w których często postulat legalizacji Solidarności stawiany był na pierwszym miejscu, nawet ze szkodą dla roszczeń płacowych. Ale na pierwszym miejscu stawiany był też nie od razu, ludzie podobnie jak koledzy z Nowej Huty dojrzewiali dość szybko do tej myśli.

Kierownictwo Solidarności — instytucją szczytkową

M.S.: — W tym miejscu chciałem Was zapytać, co myślicie o takim stwierdzeniu *Kultury* paryskiej: „Kierownictwo Solidarności w jego obecnym składzie stało się instytucją szczytkową, pozostałością z innej epoki, nie zwróconą w przyszłość. Nic więc dziwnego, że straciło kontakt z robotnikami, zwłaszcza młodymi, i z tymi wszystkimi, którzy od Solidarności oczekują w pierwszym rzędzie, by była niezależnym i samorządnym związkiem zawodowym”. Chodzi o to, co ci ludzie z „byłej” Solidarności mają dzisiaj do zaoferowania młodym robotnikom, o co dokładnie chcą walczyć. Bo że o legalizację, to wiemy, ale o co jeszcze, spre- czujemy...

J.Z.: — Dobrze, nawiążmy do tego artykułu. W moim przekonananiu zawiera on sporo stwierdzeń, które nie tyle opisują, co kreują rzeczywistość. Zresztą takich „kreujących” wypowiedzi było wiele i w krajowej prasie niezależnej. Dlatego cieszę się bardzo z tego, co przed chwilą powiedział Staszek. *Kultura* sugeruje, że strajki kwietniowe miały od początku charakter polityczny i że nie zostało to wykorzystane. To jest uproszczenie: strajki kwietniowo-majowe stopniowo nabierały charakteru politycznego w tym sensie, że sami strajkujący ewoluowali w kierunku postulatów odczytywanych jako polityczne. Staszek opowiedział, jak to się działo w dużym zakładzie pracy, jakim jest HiL, gdzie strajk trwał pełne dziewięć dni. Przez większość dni panowała wstrzemięźliwość przed wysuwaniem żądań, które mogłyby być zakwalifikowane do społeczno-politycznych. Takie były warunki i rozumieli to przywódcy strajku. Inna zupełnie sprawa, jak strajk kwietniowy odbierali mieszkańcy Krakowa. Przez różne środowiska pracy, przez szerokie kręgi inteligencji odbierany był jako strajk solidarnościowy. Od początku tak też urabiały opinię ogniwa związku od zakładowych po RKS Małopolska. I choć w

żadnym z zakładów pracy nie doszło do strajku (solidarnościowo strajkowali tylko hutnicy w Bochni), to przecież ludzie nie pozostawali bezczynni i przełom kwietniowo-majowy wycisnął znaczące piętno na nastrojach i postawach mieszkańców Krakowa. I ma to niemałe znaczenie dzisiaj. Bo jeśli nawet uznamy, że strajki, wiece i protesty studentów krakowskich, trwające równoległe i w związku ze strajkiem w HiL należy wyodrębnić z uwagi na specyfikę tego środowiska, to i tak pozostaje jeszcze duża fala poparcia udzielanego hutnikom przez krakowskie środowiska intelektualne i szerzej — pracownicze. Wyrażało się to w niemałej pomocy materialnej na rzecz strajkujących, a po złamaniu strajku siłą na rzecz represjonowanych. To był wyraz solidarności, którego lekceważyć nie można. Oczywiście spotęgowała te nastroje brutalna pacyfikacja Huty. Ta pacyfikacja właśnie nadała strajkowi wybitnie polityczny charakter, tym bardziej że wrażenie, jakie wywołała, daleko przekroczyło ramy lokalne czy nawet krajowe. Fala oburzenia i presji ze strony różnych grup społecznych, Kościoła i różnorodnych czynników międzynarodowych stała się niezwykle ważnym faktem politycznym, który, jak się wydaje, zaskoczył władze. W tydzień po pacyfikacji władze zaczęły wyciszać aferę, zwalniając stopniowo aresztowanych. A jednocześnie działał już fakt znamieny: strajkujący stoczniowcy w początkach maja zrezygnowali z postulatów płacowych i wysunęli jako jedyne żądanie przywrócenie pełni praw dla NSZZ Solidarność. To od razu nadało wiosennemu ruchowi strajkowemu jednoznaczny wymiar i stało się niejako wskazówką na przyszłość, dobrze pojętą przez załogi strajkujące w sierpniu. Doczekaliśmy się więc drugiej fali strajkowej, znacznie szerszej, od początku o wyraźnym charakterze związkowym, a wreszcie o większej skuteczności niż wszystkie poprzednie akcje protestacyjno-réwindykacyjne.

M.S.: — Ale to; co zostało tu powiedziane, wcale nie zaprzecza tezie *Kultury* o słabości kierownictwa Solidarności. Słaba władza, ale i słaba Solidarność! Jeżeli błąd władzy wzmocnił czy dopomógł odrodzeniu się Solidarności, to po raz któryś sprawdza się teza, że łatwiej mieć program na nie, kontrprogram, a trudniej mieć program wymierzony w przyszłość, którego brak *Kultura* nam zarzuca.

J.Z.: — Nie zgadzam się z twierdzeniem, że Solidarność pojawiła się jako odpowiedź na błąd władzy, ona istniała w taki czy inny sposób już wcześniej. Nie byłoby takiej odpowiedzi, gdyby idee Solidarności i stałe dążenie do jej odrodzenia nie były kontynuowane od 13 grudnia, m.in. dzięki kierownictwu Solidarności.

M.S.: — Ale sprecyzujmy i odpowiedzmy szczerze. Czy to jest przywiązanie starszych i młodszych ludzi do ideałów Solidarności, czy też obecna sytuacja jest wynikiem zwartości koncepcji i sprawności kierownictwa?

W.G.: — „Nie ma wolności bez Solidarności”. To hasło strajków, może i slogan, akurat teraz precyzyjnie określa sytuację. Na wysuniętą przez Maćka wątpliwość chciałbym odpowiedzieć słowami bardzo mądrego, według mnie, doradcy Lecha Wałęsy, Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził, że Solidarność istnieje nie tylko jako mit, lecz jako prefiguracja. Każdy kolejny konflikt społeczny będzie nawiązywał do tej prefiguracji, jaką jest kształt Solidarności sprzed stanu wojennego. I tak się również i teraz dokładnie stało. W Stoczni w maju też nie było od razu tak jasne, że chodzi o Solidarność, też z początku robotnicy krzyczeli o podwyżki, ci młodzi nie mieli naprawdę większego pojęcia o Solidarności, poza Wałęsą nie słyszeli żadnego innego nazwiska. Kiedy wychodzili w tym sławnym milczącym pochodzie, to było tysiąc zagorzałych zwolenników Solidarności, którzy się potem sprawdzili w strajku sierpniowym. Gdyby nie było strajków kwietniowo-majowych, które zostały olane, mówiąc brutalnie i slangowo, przez inteligencję jako nonsens, przykładem tego może być dyskusja w KOS-ie z Dawidem Warszawskim, strajki sierpniowe może by były, ale znacznie słabsze, mniej dojrzałe politycznie.

M.S.: — Ja przepraszam, ale mówiąc o inteligencji nie zapominajmy o środowisku *Tygodnika Powszechnego* oraz byłym Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, które od razu poparły strajk w Nowej Hucie...

REDAKCJA: — No i o wielu innych środowiskach inteligentnych, czego dowód znajdziemy w specjalnych wydaniach *Hutnika*, drukującego listy, adresy i deklaracje różnych grup inteligencji, słusznie przypomniał Jurek Zdrada.

M.S.: — Ale to dygresja, mów dalej, Wojtku.

W.G.: — Natomiast odpowiedź na drugą część pytania: czy Solidarność jako struktura zdała egzamin, nie może być jednoznaczna. Ja myślę, że po prostu jedne struktury zdały egzamin, np. gdańska czy małopolska, a inne egzaminu nie zdały, np. ta, na którą najbardziej liczone, tzn. wrocławska, dlatego, to inna sprawa, długo by o tym mówić, na warszawską już nikt nie liczył, Warszawę możemy skreślić, jako organizację i w tej chwili,

oczywiście, bo są to obecnie grupki inteligencji na ogół skłócone ze sobą. „Mazowszanka” nie istnieje, jest to zdanie Wałęsy zresztą. Opowiem w tym miejscu zabawną anegdotę. Mogę?

REDAKCJA: — Ależ tak, bardzo prosimy...

W.G.: — Kiedy w niedzielę 28 sierpnia Wałęsa wrócił z domu i przeskoczył przez płot w Stoczni, radosny jak ptaszek, bo udało mu się urwać obstawie, wtedy z Torzańską podeszliśmy do niego i mówimy: — No, Panie Przewodniczący, gratulujemy tego skoku, ale wie Pan, słyszeliśmy, że podobno Bujak też uciekł na motocyklu esbeckiej obstawie? Wówczas Wałęsa na nas spojrział i powiedział: — Tak, tak i ucieka dalej!

(*Gromki śmiech.*)

W.G. — Wałęsa ma niesłychaną łatwość dowcipnej riposty mimo tej głątwy, jaką często są jego przemówienia; w tym gadaniu, w którym czasem trudno doszukać się sensu, są perełki, są przebłycki geniuszu w momencie, gdy daje jakąś celną ripostę.

Rozpraszanie szturm

W.G.: — Ale *ad rem*. Chciałem w tym momencie rozwinąć temat trochę poboczny, niemniej istotny. Otóż nawiązując do artykułu Orlińskiego w nrze 7/8 *Kultury*, w którym *expressis verbis* został dokonany podział na niepodległościowców i ewolucjonistów, stanowczo stwierdzam, że podział taki jest bezsensowny i fałszujący rzeczywistość. Niepodległościowcami jesteśmy wszyscy od lewicy do prawicy, zgromadzeni wokół czy w Solidarności. Tylko że jedni o tej niepodległości gadają, gadają i nic z tego nie wychodzi, inni natomiast myślą o niej w kategoriach ewolucjonistycznych. Więc już raczej zamiast o niepodległościowcach mówmy o radykałach. Druga sprawa jest jeszcze bardziej niebezpieczną, jest to realna groźba rozmydlenia całej sprawy, o której tu od początku mówimy. Mianowicie w sytuacji, gdy przy okrągłym stole nie dojdzie do legalizacji Solidarności, mogą w kołach inteligentnych wystąpić tendencje do załatwienia sobie przynajmniej własnych spraw. Klasycznym tego przykładem jest wywiad z Mićcewskim w *Polityce*, ale nie tylko. Skoro się nie uda Solidarności odtworzyć od razu, no to załatwmy chociaż a to stowarzyszenie, a to towarzystwo gospodarcze, a to jakieś pismo, np. reaktywowanie *Po prostu*. To wszystko są sprawy ważne i potrzebne, realizujące rzeczywiste interesy społeczne...

REDAKCJA: — Ale nie zamiast...

W.G.: — ...właśnie, nie zamiast Solidarności. Rozdrobnienie szturm na tego rodzaju drobne cele jest największym niebezpieczeństwem. Już są tego przejawy. Jest to realne niebezpieczeństwo, ale istnieje jakby większa obecnie świadomość tego niebezpieczeństwa wśród inteligencji. Dowodem przywoływana podczas naszej dyskusji parokrotnie konferencja u św. Brygidy. Nawet Stomma wypowiedział znamienne słowa, że chociaż nie zgadza się z żadnym zdaniem, które na konferencji padło, to i tak podpisuje się pod końcowym dokumentem. A więc w obecnej sytuacji zarysowuje się zadziwiająca i chwalebna zgodność poglądów. Nawet prawica, której nie lubię, a dlaczego, to mógłbym długo uzasadniać, hallowcy, „Dziekania” itd., podporządkowała się idei naczelnej, co jest bardzo optymistycznym objawem, ale jak długo to potrwa, nie wiem. Obawiam się, że jak się przy okrągłym stole znacznie sypać sprawa Solidarności, powróci tendencja do załatwiania własnych interesów kosztem zasadniczego problemu. I to jest, moim zdaniem, największe niebezpieczeństwo. Większe nawet od zerwania rozmów. Bo wówczas pozostanie ruch społeczny, pozostanie dalej ofensywa robotników w zakładach pracy.

TOMASZ GROCHOWSKI: — To będzie w ogóle taktyka władzy, żeby całą kwestię społecznej podmiotowości zepchnąć na boczny tor.

J.Z.: — To wszystko prawda, co powiedział pan Giełżyński. Pozostaje tylko kwestia, czy wytrwamy w postanowieniu, że nie pójdziemy do okrągłego stołu póki nie będzie Solidarności.

M.G.: — Z tego, co obserwuję, wynika, że na pewno nie wszyscy wytrwają. Bowiemy już teraz różne ugrupowania zgłaszają akces do rozmów przy okrągłym stole. Na przykład nowopowstała partia ekologiczna, licząca kilkunastu członków, zgłasza dwóch kandydatów...

REDAKCJA: — Podano nazwiska?

M.G.: — Tak, Fura i Konarski...

Starzy i młodzi?

M.G.: — Jestem przeciwnikiem zbyt łatwo formułowanych podziatów, na przykład na wspomnianych już tu niepodległościowców i ewolucjonistów, ale przede wszystkim na starych i młodych, bo ten podział mitologizuje obecną sytuację. Otóż niewątpliwym

sukcesem, jaki udało się naszemu społeczeństwu osiągnąć w roku 1980, było wyłonienie niezależnej reprezentacji. I tego nie wolno niszczyć, bo właśnie ta nasza reprezentacja jest przedmiotem rozmaitych manipulacji i zabiegów władzy. Więc nie pomagajmy jej w tym! Taką dezintegracyjną funkcję spełnia też, moim zdaniem, podział na starych i młodych. Starzy to już wysłużeni kombataneci, powinni zejść ze sceny politycznej, wpuśćmy na nią młodych, zobaczymy, co pokażą. Takie myślenie jest szkodliwe, bo jest ono, czy chcemy tego, czy nie chcemy, na rękę władzy. A poza tym niezgodne z rzeczywistością. Weźmy choćby strajk w Nowej Hucie, o którym mówił już Staszek. Trzeba jednak mocniej zaakcentować jedną podstawową sprawę: że nasza trójka, Janek Ciesielski, Staszek i ja, zdobyła zaufanie wśród młodszych, wiekiem czy stażem, robotników i dzięki temu zaufaniu mogliśmy pomóc w ewoluowaniu strajku jako solidarnościowego. Oczywiście, że strajkować będą przede wszystkim młodzi, bo taka, buntownicza, jest natura młodości, wojsko też się nie składa z czterdziestolatków i pięćdziesięciolatków, a my przecież jesteśmy jakąś taką pokojową armią. Tylko nie rozdzielajmy włos na czworo, tak jak to ma skłonność czynić inteligencja, nie spekulujmy z nadto, tzn. nie przykrawajmy rzeczywistości do naszych spekulacji...

M.S.: — Doświadczenia Mietka, jak sądzę, nie są dość typowe, bo w Nowej Hucie rzeczywiście nie ma za wielu młodych robotników. Inaczej np. w Stoczni. Ale oddajmy teraz głos panu Franciszkowi, autorowi bardzo rzetelnej analizy robotniczych nastrojów i oczekiwań.

FRANCISZEK MILWID: — Chciałbym powrócić do podstawowych pytań Macieja Szumowskiego, które wymagają, jak sądzę, jeszcze odpowiedzi. Otóż jak z moich dyskusji w różnych środowiskach, w różnych strukturach międzyzakładowych wynika, można postawić taką hipotezę podziału. Zetknąłem się z dwiema postawami, które dają się jakoś wyodrębnić. Pierwsza jest charakterystyczna głównie dla działaczy należących jeszcze do dawnych, sprzed stanu wojennego, struktur. Uważają oni, że Wałęsie powinno się udać załatwić sprawę relegalizacji Solidarności przy okrągłym stole, przy czynnym poparciu członków Solidarności, i dlatego bardzo aktywnie włączyli się w zbieranie podpisów pod licznymi listami poparcie to wyrażającymi. Zdecydowanie jednak opowiadają się za Solidarnością jako związkiem zawodowym, uważając, że pluralizm polityczny będzie pochodną sytuacji, w której Solidarność zostanie zalegalizowana. Wówczas samej władzy powinno zależeć na tym, żeby polityka „przeniosła się” do różnych stowarzyszeń, klubów dyskusyjnych itd. To stanowisko

formułują czasem w sposób dość przykry: my chcemy być związkowcami, niech się ci różni politycy odcepia od nas! Pojawiają się wśród nich głosy, że upadek Solidarności był spowodowany nadmiernym jej upolitycznieniem, dochodzą w ich wypowiedziach do głosu akcenty antyinteligencje. I w tych właśnie środowiskach najczęściej dyskutuje się o programie, rozumianym dość schematycznie, jako rodzaj broszury napisanej ładnymi, okrągłymi zdaniami, dużo mówiącymi o przyszłości, ale dość ogólnikowo. Wynika to chyba stąd, że w gruncie rzeczy ci działacze, wierząc w negocjacje, jednocześnie obawiają się ich, nie potrafią w konkretny sposób zwerbalizować prognozy kompromisu dla Wałęsy, uciekają więc w wielki program.

Drugie stanowisko, druga postawa cechuje ludzi związanych z komitetami organizacyjnymi czy założycielskimi, odrzucającymi sprawę rejestracji. Mamy tu jakby do czynienia z inną już mentalnością, z innym sposobem myślenia, z większą na pewno determinacją. Kładą oni nacisk na fakty dokonane i są one, ta sfera działań, utożsamiane z walką o niepodległość. Więc o ile dla działaczy-weteranów niepodległość stanowi jakby słowo tabu, to dla tych drugich, nowych działaczy robienie Solidarności w zakładzie jest tworzeniem przestrzeni niepodległości, jej poszerzeniem.

M.S.: — Czy te dwie postawy można łączyć z różnicą pokoleniową?

F.M.: — Myślę, że w pewnym stopniu tak. Działacze, których nazwałem weteranami, widzą obecną sytuację poprzez perspektywę '80 roku, rzadko rozumiejąc, że Solidarność obecna jest już inna nie tylko dlatego, że inne są realia polityczne, ale że jest to żywy, ludzki przecież organizm.

M.G.: — Trzeba jednak pamiętać o tożsamości naszego związku.

F.M.: — Tożsamość jest zachowana, ale modyfikacje idą dość daleko. Tak więc bierze się pod uwagę poszerzenie przestrzeni politycznej, mówi się o stworzeniu wspólnego frontu opozycji i liczy się na współdziałanie ugrupowań politycznych, bo celem blisko widzianym jest niepodległość. W tej zatem optyce podział: starzy — młodzi okazuje się dość istotny.

M.S.: — Czyli ci młodzi, przede wszystkim ze względu na staż działalności, innymi słowy ludzie nowi, są bardziej radykalni. Bo to, co dla nas, z mozołem poszerzających kiedyś zakres niezależności, wydaje się sukcesem, to dla nich albo są sprawy normalne, albo też wręcz nie do przyjęcia, bowiem inaczej rozu-

mieją kompromis, dalej przesuwają jego próg. I z tej różnicy, wynikającej m.in. z widocznego dla tych młodych ludzi braku perspektyw w tym ustroju, musimy sobie zdawać sprawę, żeby ich rozumieć i móc z nimi współpracować, nie pogłębiając pokoleniowych różnic, które mogą przerodzić się w konflikty.

M.G.: — Zgoda, te różnice istnieją, młode pokolenie dorasta do zmiany warty, ale ta zmiana jeszcze nie nastąpiła, nie ma jeszcze autentycznych, liczących się przywódców z tego pokolenia, i o tym myślałem, mówiąc o mitologizowaniu pokoleniowych podziałów. Wróćmy jednak do akcentowanego przez Maćka problemu programu. Dobrze sobie zdajemy sprawę, że prawdziwe, trudne do rozstrzygnięcia problemy zaczną się w momencie zalegalizowania naszego związku. Weźmy chociaż Nową Hutę. Już teraz mówi się w Krakowie o jej likwidacji, o zaoraniu...

W.G.: — A Stoczni Gdańskiej to nie?

M.G.: — Solidarność nie ucieknie od tego zagadnienia: co zrobić ze swoimi członkami w przypadku zamknięcia np. kilku wydziałów? Musimy być przygotowani na taką ewentualność, żebyśmy znaleźli kompromisowe wyjście między społecznym interesem a interesem naszych członków. Będą wyłaniać się sprzeczności. Powstanie Solidarność, ale warunki życia mogą się pogarszać, i co wtedy, z czym wyjdziemy do ludzi? Musimy mieć więc jakiś program, konkretny, dotyczący spraw lokalnych, i dopiero z tych programów cząstkowych złoży się może program ogólny.

M.S.: — Cieszę się bardzo, że poruszyłeś, Mietku, problem Nowej Huty, bo znakomicie uprzytamnia nam on, że legalizacja Solidarności jest tylko punktem wyjścia do pokonywania szeregu niezwykle trudnych i istotnych dla życia społecznego i ekonomicznego problemów. Możemy więc przejść do drugiego etapu dyskusji. Wyobraźmy sobie taką sytuację. Władza godzi się na powstanie Solidarności, legalizuje jej działalność i zarazem na wyższym etapie gry ze społeczeństwem zaczyna tak manewrować, by skompromitować Solidarność w opinii publicznej. Czy więc nie kryje się tu pułapka, czy już teraz nie musimy myśleć o przyszłości, i stąd moje nekające pytania o koncepcję, a tymczasem mówimy, nawet przy naszym stole, że program to potem i nie zastanawiamy się specjalnie nad wytyczeniem przy negocjacjach progu kompromisu, a to już bardzo ryzykowne. W końcu negocjuje się zawsze posiadając określone uprawnienia. Jakie, jakiego typu uprawnienia daliśmy naszemu przewodniczącemu? Przypomnijmy sobie, co mówił kiedyś, w czasach 16 miesięcy, Gwiazda o negocjacjach ze stroną rządową, której przedstawiciele w pew-

nym momencie przerywali rozmowy, ogłaszając, że nie mają uprawnień do dalszych negocjacji. Natomiast ludzie Solidarności przyspowalali do negocjacji z jakby nieograniczonymi uprawnieniami. Ale to tylko dygresja. Dlatego pytanie o progi kompromisu z tą władzą dalej jest zasadne i bardzo ważne. Tu nie wystarczy zdać się na intuicję i na korzystny rozwój wydarzeń, tu trzeba przewidywać różne wersje rozwoju wypadków i na każdą z nich być przygotowanym. No i przede wszystkim należy zakreślić choćby kontury uprawnień dla Wałęsy, jakiego progu kompromisu nie może przekroczyć, bo nikogo nie możemy w kategoriach zbiorowości obdarzać bezgranicznym zaufaniem.

To jest wariant pesymistyczny. A wariant optymistyczny? Jaki jest, czy mamy obecnie jego wizję?

Zadanie na przyszłość

M.G.: — To są bardzo istotne pytania, o wiele ważniejsze niż problem podziału na ewolucjonistów i radykałów, czy starych i młodych. Z chwilą legalizacji stracimy nagle sprzed oczu mur, w który waliliśmy, i co się nam ukaże? Smutna polska rzeczywistość...

REDAKCJA: — I rodzi się pytanie, czy ten obraz widziany już bez żadnych dotychczasowych zasłon nie zniechęci niektórych z nas do dalszego działania, nie sparaliżuje naszych dobrych intencji.

M.G.: — Właśnie, może nastąpić coś takiego, jak ostatnio w Nowej Hucie w dniu pierwszego maja. Wyszliśmy z wydziałów, odbyła się manifestacja, wykrzyczeliśmy się, naśpiewaliśmy, nażykaliśmy wolności, wróciliśmy do poszczególnych zakładów, nadal nic, dyrekcja milczy...

REDAKCJA: — ...rzeczywistość skrzeczy...

M.G.: — ...i wiara pęka. Wtedy na gwałt trzeba było wymyślać jakieś zadania. I tak samo w przyszłości w skali całego kraju. Opozycja musi wypracować skuteczne metody przeciwstawiania się manipulacjom władzy.

REDAKCJA: — Nie dać jej zwyciężyć w grze o opinię publiczną.

W.G.: — Ukonkretnijmy postawiony problem. Dla mnie podstawowym pytaniem w sytuacji działania legalnej Solidarności będzie: czy Solidarność ma współdziałać z reformą typu rynkowego,

która doprowadzi do zamykania fabryk, do wzrostu bezrobocia, do poszerzenia marginesu nędzy, czy też Solidarność ma bronić swych członków przed skutkami reformy gospodarczej? Ten niewralgiczny problem musi doprowadzić do rozłamu w obrębie Solidarności, o ile partie polityczne i stowarzyszenia społeczne nie sformułują racjonalnej odpowiedzi. Co nazywam racjonalną odpowiedzią?

Racjonalną odpowiedzią nazywam taką, która odrzuca obie skrajności: odrzuca filozofię „albo, albo” — odrzuca doktrynę wolnorynkową, lansowaną przez kilku liberałów krakowskich i parę innych ugrupowań, oraz doktrynę kontynuacji systemu nakazowo-rozdzielczego. Istnieje wiele możliwości znalezienia złotego środka, wypróbowanych w różnych krajach świata. Nie jest bowiem tak, jak się powszechnie sądzi, że świat dzieli się na kraje o gospodarce centralistyczno-planistycznej i na kraje wolnorynkowe. To absurd. W większości bowiem krajów gospodarka godzi tendencje wolnorynkowe z zaletami interwencji państwowej — mówię oczywiście w wielkim uproszczeniu — poczynając od Japonii i krajów „Czterech Tygrysów”, które mają najbardziej dynamiczny okres rozwoju. Czyli istnieje możliwość — i to jest zadanie dla partii politycznych czy innych gremiów społecznych — wypracowania przez Solidarność kilku wariantowych modeli takiej gospodarki, która będzie polegała na zasadzie wolnego rynku, z zagwarantowaniem szerokiej opieki społecznej i istnieniem różnych instrumentów interwencji państwowej, przyjmując nawet dotowanie niektórych dziedzin gospodarki państwowej, ściślej mówiąc skarbu państwa, bo pojęcie własności państwowej nic nie znaczy. Sądzę jednak, że jest to inny temat, nie na naszą dzisiejszą dyskusję, i tak się przeciągająca, Ty zaś, Maćku, dążysz do rozwinięcia tego wątku, który jest wątkiem przyszłych rozważań.

M.S.: — Nie sądzisz jednak, że potem może być za późno?

P.A.: — Ja też myślę, że lepsze jest formułowanie idei niż oczekiwanie. Może po prostu trzeba dać Wałęsie do ręki taki materiał, który posłużyłby mu później w negocjacjach?

W.G.: — Ale kto ma to robić?

M.S.: — Przecież Wałęsa ma wielu doradców.

W.G.: — W tym sek, że za wielu. — Ja mam dziesięć już doradców — twierdzi Wałęsa — każdy mi mówi do ucha co innego, dlatego i tak robię to, co sam wymyślę. — Jest w tym żarcie

trochę racji. Nie wykształciło się bowiem, gdyż wykształcić się nie mogło, żadne ciało doradczo-projektodawcze, którego początki obserwowaliśmy w roku 1981.

F.M.: — Zastanawiamy się tu od dłuższego czasu nad tym, w jakim kierunku powinna zmierzać Solidarność, by pomóc w strukturalnym przekształcaniu systemu gospodarczego, i nie tylko. Tymczasem robotnicy pytani o to, jak sobie wyobrażają swoją rolę w przyszłości, odpowiadają zdecydowanie i jednoznacznie: tak jak dotychczas. Będziemy bronić interesów ludzi pracy.

M.G.: — Słusznie. Robotnik z Solidarności na szczeblu zakładu nie będzie myślał o tym, co robić na szczeblu centralnym. Od tego powinna być grupa polityków. Co nie znaczy, żeby z tej masy robotników nie wyrastali potem również i politycy.

M.S.: — Żeby się to tylko nie działo w myśl starej, komunistycznej zasady: za mnie pomyśli KC, w tym wypadku Wałęsa czy inny polityk.

W.G.: — W jakimś stopniu będzie się tak działo, i to wydaje się nieuchronne.

M.G.: — To tak, jak legionieści mawiali, że od polityki mamy Piłsudskiego.

T.G.: — Kwestionuję wysunięty w naszej dyskusji wariant rozwoju wydarzeń, przewidujący zalegalizowanie Solidarności z dobrej woli czy też w celu gry politycznej ze społeczeństwem. Jest to może wyraz pesymizmu, ale uważam w sposób prostacki, że ani ta ekipa, ani żadna inna ekipa komunistyczna (mimo że ekipę Jaruzelskiego nazywa *Kultura* najprzebieglejszą, i ma w tym jakąś rację) nie zgodzi się na przywrócenie Solidarności, która miałaby walczyć o te trzy wolności, tak ładnie przez pana Handzlika nazwane, nie zgodzi się na żadne autentyczne partie polityczne, no, może najwyżej na kluby dyskusyjne, pozostające bez wpływu na decyzje władzy. Żaden komunista — jeśli słowo „komunizm” jeszcze cokolwiek znaczy — nie zgodzi się na bezprzymiotnikowy pluralizm polityczny. Chciałbym się mylić, bo chyba wszyscy, może nawet niektórzy ludzie po stronie władzy, zdajemy sobie sprawę, że niezrealizowanie przedstawionych tu aspiracji zniszczy doszczętnie Polskę. Chyba warto się zastanowić, co wtedy robić, gdy przedstawiciele Solidarności i innych ugrupowań opozycyjnych będą musieli wstać z niczym od „okrągłego stołu” albo zostaną odwiezieni do „internatu”.

M.S.: — Nie sędzę, żeby był to wariant gorszy niż ten, który przedstawiłem: wykorzystanie przez władzę Solidarności przeciw niej samej.

T.G.: — Może i tak. W tej czy tamtej sytuacji Solidarność i partie polityczne będą musiały rozwiązać takie same lub podobne problemy.

M.G.: — Taki pesymizm też jest cenny, bo nie dopuszcza rozczarowania. Ale nie zapominajmy, że pierwszy fakt polityczny już został dokonany. Po sześciu latach Wałęsa musiał zostać przez tę samą władzę, która wprowadziła stan wojenny, uznany *de facto* jako przywódca związkowy.

J.Z.: — Tak się zawsze zaczyna proces historyczny. Kiedy Piłsudski zaczynał swoją robotę jako socjalista, potem jako bojowiec, potem jako szef organizacji strzeleckiej i wychodził z kompanią strzelecką, miał cel określony. Ale po drodze spotykały go niepowodzenia, były meandry, odwroty...

T.G.: — ... niektórzy mówią: same kłęski...

W.G.: — ... same kłęski mu Garlicki przypisuje, i mimo tych kłesk wygrał bitwę zasadniczą!

J.Z.: — To był tylko znany przykład świadczący o tym, że proces historyczny może trwać długo. My byśmy chcieli, by trwał jak najkrócej. Ale może ta walka będzie trwała jeszcze czterdzieści lat? I mimo takiej pesymistycznej świadomości trzeba ją dalej prowadzić! Optymistyczne natomiast jest to, co się teraz dzieje: poszerzanie przestrzeni niepodległości, tworzenie komitetów założycielskich, półjawne wydawnictwa. A przecież początek tego procesu sięga jeszcze stanu wojennego, gdy powstawało to, co nazywaliśmy w dokumencie programowym TTK z lipca 1982 roku „społeczeństwem podziemnym”, a nieco później „niezależnym”. Wtedy było jeszcze trudniej, jeszcze mniej nadziei nam przyświecało. I działaliśmy. Teraz już mamy lepiej rozumujące społeczeństwo. Dlatego dla najbliższej przyszłości tak ważne są stwarzane przez nas fakty dokonane. Bo inni będą się na nie orientowali. Chodzi o to, żeby momentu nie przegapić.

S.H.: — Całkowicie się zgadzam. Była tu mowa o uprawnieniach dla Wałęsy. Otóż został on zobligowany do tego, żeby w momencie, gdy dyskusja na temat Solidarności przy okrągłym

stołe okaże się bezprzedmiotowa, natychmiast od stołu wstać. A gdyby sprawa ruszyła do przodu, to Solidarność byłaby, tak sądzę, zdecydowanie ruchem proreformatorskim.

M.S.: — To nie najszcześliwsze określenie, wzięte z repertuaru środków masowego przekazu.

S.H.: — Tak, ale ja to rozumiem konkretnie, jako działanie zmierzające do realizacji tych trzech wspomnianych przeze mnie wolności. Natomiast może ma być ruchem hamującym, jeżeli będziemy trzymać się ściśle podstawowych, związkowych założeń Solidarności, sprowadzających się głównie do rewindykacji płacowych.

F.M.: — Chciałbym jeszcze jedno dopowiedzieć. Nikt z moich rozmówców nie uważał za nieszczęście reaktywowania Solidarności w formie kalekiej. Istotnym natomiast nieszczęściem byłoby, gdyby do żadnego reaktywowania nie doszło. Bo tak naprawdę nie bardzo wiadomo, co wtedy robić. Polska Partia Niepodległościowa proponuje powstanie — no, to jest perspektywa w obecnych warunkach bez sensu...

W.G.: — Wtedy nastąpi po prostu fala strajków...

F.M.: — Ale opozycja ma w związku z taką perspektywą zdania podzielone. Zasadniczy podział przebiega tu na linii stosunku do okrągłego stołu. KPN na przykład nie wyklucza możliwości negocjacji. To samo PPS...

M.S.: — ...która?

F.M.: — Lipskiego. To jest jedno stanowisko. Drugie odrzuca w ogóle okrągły stół traktując go jako narzędzie manipulacji władzy, które może przynieść dla nas więcej szkód niż pożytku. Charakteryzuje ono np. wspomnianą PPN, Ruch Polityczny „Wyzwolenie” czy drugi odłam PPS, nastawiony bardziej radykalnie.

W.G.: — To drugie stanowisko reprezentowane jest jednak przez znikomą część opozycji, większość opowiada się, choć z różnymi zastrzeżeniami, za okrągłym stołem — na przykład orientacja, nazwijmy ją, przykościelna, czyli Mazowieckiego, orientacja post-korowska itd.

M.S.: — Padło tu bardzo ważne sformułowanie: że my wszyscy, jak tu jesteśmy, i większość ludzi reprezentujących opozycję,

jesteśmy za okrągłym stołem, a nawet więcej. Że siedzący w tym pokoju godzą się z możliwością powstania Solidarności w formie okrojonej, kalekiej. Czy tak? Chciałbym, żeby była jasność!

J.Z.: — W formie okrojonej, czyli w oparciu o ustawę z 1982 roku mówiącą o tworzeniu związku na terenie zakładów pracy. Byłby to punkt wyjścia do walki o resztę. Gdyby natomiast rozmowy okazały się fiaskiem, co jak niektórzy twierdzą grozi utratą przez Wałęsę autorytetu, nie można dopuścić do sytuacji, w której zaczniemy głosić: no tak, a nie mówiliśmy, a nie przestrzegaliśmy, to się musiało tak skończyć itp. To byłoby najgorsze.

F.M.: — Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że okrągły stół to nie jest, jak niektórzy sądzą, wstęp do kompromisu, rozumiejąc to pojęcie tak jak Anglicy. Nie, to tylko kolejny etap nacisku na władzę...

REDAKCJA: — ... która z dobrej woli nie uczyni żadnego kroku w kierunku porozumienia!

F.M.: — Dlatego nie należy, moim zdaniem, lekceważyć owych małych grup politycznych przeciwnych tego typu negocjacom. Argumentując swoje stanowisko wskazują na niebezpieczeństwo sytuacji zapalnej w momencie, gdy negocjacje zostaną zerwane, czy też gdy okażą się bezpłodne.

T.G.: — Owszem. W ogóle obecna sytuacja przypomina tę sprzed powstania warszawskiego, kiedy społeczeństwo wiedziało, czym ono grozi, a jednak podjęło taką decyzję, bo innej podjąć nie można było w ówczesnych warunkach. Teraz też nie ma alternatywy.

F.M.: — Chciałbym też, żebyśmy nie mieli złudzeń co do reformatorskiego skrzydła w partii. Takiego skrzydła po prostu nie ma! Władza jeżeli nawet dąży do reformy, to jest to wymuszone przez konieczność. Władza komunistyczna się nie zmienia, ona doznaje tylko destrukcji i nie rodzi się z tego nowa jakość, tylko różne nerwowe ruchy grożące wybuchem i my w taką sytuację wchodzimy...

Władza w rozpadzie

M.S.: — Dyskutowaliśmy o dwóch głównie wariantach rozwoju wypadków. Proponuję zastanowić się jeszcze nad jednym. Za-

łóżmy, że jednak władza chce wyciągnąć autentyczne korzyści, dla siebie, dla społeczeństwa, z zalegalizowania Solidarności, z poszerzenia granicy swobód i niezależności. Pragnie po prostu usprawnić system, szczególnie w dziedzinie gospodarki. Czy więc nie popełnimy błędu, odrzucając zdecydowanie taką możliwość, że władza jest zainteresowana w zreformowaniu systemu? Powiem jeszcze, że w kręgach władzy istnieją pewne *lobby*. Jakie one są, nikomu jeszcze z nas, dziennikarzy nie udało się do końca zidentyfikować. Ale że są — to fakt bezsporny. Kiedyś, w 1981 roku w krakowskiej *Kuźnicy*, Barcikowski przypierany w dyskusji do muru odsonił się i powiedział mniej więcej coś takiego: czy wy myślicie, że rządzi Biuro Polityczne? Rządzą różne *lobby*...

T.G.: — Ale to jest ten wariant, który Pan już przedstawił — to jest ten wyszyty stopień manipulacji władzy...

MS.: — Właśnie nie, proponuję, powtarzam, przyjąć, że władza zdobywa się na autentyzm, że przestaje działać jedynie w sposób manipulatorski.

T.G.: — Ja jednak trwam przy swoim. Uważam bowiem, że jeśli władza zgodzi się na relegalizację Solidarności, to w jakimś stopniu pozbawi się władzy, to znaczy przyłoży się do zreformowania socjalizmu...

W.G.: — ...jakiego socjalizmu? Komunizmu!...

T.G.: — ...słusznie — komunizmu, i *de facto* go zlikwiduje.

W.G.: — Nie zgadzam się z powyższym stwierdzeniem. Zaczę od nawiązania do wspomnianego artykułu Orlińskiego, który stwierdza, że ekipa Jaruzelskiego odniosła sukcesy polityczne. Ta władza poniosła same klęski polityczne, aczkolwiek nie neguję, że ma ona szalone zdolności manipulatorskie. Doprowadziła nie tylko kraj do ruiny, ale doprowadziła również siebie do ruiny, do rozpadu. Oczywiście, że władza nie jest jednolita, że jest podzielona, istnieją w niej przynajmniej trzy formacje. Jedna grupa to ten tzw. beton, wiadomo, który tę grupę tworzy.

REDAKCJA: — Chyba jednak nie wszystkim wiadomo. Myślę, że czytelnicy nasi byłiby ciekawi nazwisk.

W.G.: — Proszę bardzo. To jest Komitet Warszawski przede wszystkim, to jest Kubasiewicz, aparat rządowy z Szafajdą na czele, to większość sekretarzy wojewódzkich, Miodowicz wysunięty jako pozorny liberał. Druga grupa to ludzie z kierownic-

two partyjnego, którzy rozumieją, że coś trzeba odpuścić, by coś zachować, którzy mają prawdopodobnie manipulatorskie skłonności i którzy sprawowanie władzy rozumieją w kategorii „krótkofalowej gry politycznej”. Należą do niej takie osoby z politycznego kierownictwa, które dały się już poznać z wcześniejszych kontaktów z Solidarnością, jak Ciosek, Czyrek, Kiszczałak, Rakowski cierpiący na ewidentne rozdwojenie jaźni, grający od dawna na dwie strony. Istnieje też trzecia formacja złożona m.in. z ludzi, grupujących się wokół Centrum Badania Opinii Światowej, a nawet Akademii Nauk Społecznych. Zaskakująca jest ewolucja stosunku tych ludzi do naszej rzeczywistości politycznej. Otóż z początku, tuż po stanie wojennym, oni triumfowali twierdząc, że nie ma powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia, że Solidarność to historia. Ale od trzech lat mniej więcej więcej częstsze były w ich wypowiedziach krytyczne akcenty a ostatnio w katastrofizmie prześcignęli opozycję. W tym kontekście my, głoszący ciągle (mówiąc w umownym skrócie) że „Nie ma wolności bez Solidarności” okazujemy się miękuszami, bo oni przelicytowali nas w totalnej krytyce systemu, łącznie z krytyką Jaruzelskiego, który miał, jak twierdzą, dobre intencje, ale nic mu nie wyszło! Wśród tych ludzi prawdopodobnie jakaś część prowadzi grę manipulatorską, ale inni uważają, i dają temu wyraz również w publikacjach, że system się przeżył, że nomenklaturę trzeba zniszczyć, i że trzeba się podzielić władzą z opozycją. Znaczna część tych ludzi uważa, że nastąpił koniec komunizmu, i trzeba szukać jakiegoś nowego ustroju, zachowując pewne atrybuty władzy w rękach tych, którzy z uwagi na uwarunkowania geopolityczne muszą ją nadal dzierżyć; wojsko, policja, muszą być przez nich nadal kontrolowane. Sięgają zatem wyłącznie do geopolitycznych argumentów, a nie do ideologicznych. Formacja ta nie ma chyba jeszcze swojego lidera. Oni są zadowoleni z powstawania partii politycznych, są też za legalizacją Solidarności. Jest to na pewno dowód na rozkład pewnej struktury myślenia. I to idzie bardzo głęboko. Ale chyba tendencja ta nie ma przeniesienia na szczebel decyzyjny Biura Politycznego. Jeden z tych ludzi powiedział kiedyś do mnie: Wie pan, przecież nam się od stanu wojennego absolutnie nic nie udało, z wyjątkiem jednej rzeczy. Udało nam się „rozpieprzyć” generację trzydziestolatków, generację Solidarności. Jednych wysłaliśmy na emigrację, innych zepchnęliśmy w prywatną inicjatywę, a reszta położyła uszy po sobie. Ale cholera, teraz dwudziestolatki wyrastają? I w dwa tygodnie później wybuchy strajki...

(Śmiech.)

W.G.: — To już nie są anegdoty, to jest rzeczywiste odzwier-

ciedlenie ich sytuacji psychicznej, poczucia totalnej klęski. A pan Orliń ki mówi, że ta władza wiele wygrała. Tak, w działaniach manii ilacyjnych ta władza ma geniusza Reykowskiego, od propagandy, ma Górnickiego, który jest wprawdzie fanatykiem, ale pewne rzeczy umie robić, no i ma diabła, demona Urbana, który jest genialnym propagandystą. On wie, że kłamie, i wszyscy wiedzą, że kłamie, ale z tego kłamstwa zawsze coś do świadomości ludzkiej przenika.

T.G.: — Paradoksalne: to jest komunizm ratowany przez dziennikarzy.

M.S.: — Przez trzech!

(Śmiech.)

W.G.: — Ale to potwierdza przecież kompletny rozkład tej władzy?

M.S.: — Wojtek w przekonujący sposób przedstawił egzemplifikację tej trzeciej wersji rozwoju wypadków, zakładającej autentyczne zainteresowanie części władzy w zreformowaniu systemu, począwszy od uznania Solidarności.

S.H.: — Ja podzielam nadzieje Pana Redaktora. Gdy Pana słuchałem, myślałem sobie o Tobie, Maćku, jako o prekursorze tych struktur poziomych w partii, choć *Gazeta Krakowska* oficjalnie na sposób Iwanowa się nie określała. I chyba z satysfakcją słuchasz tego wszystkiego o Twojej byłej partii, bo gdyby Ciebie i Twoich kolegów słuchano, może do takiej totalnej klęski by nie doszło.

M.S.: — Mówiąc szczerze, to, co się obecnie dzieje w partii jakoś dziwnie mnie już nie porusza, nie pasjonuje. Przestało mnie interesować. To też jest kwestia upływu czasu. Bo pewna szansa na zreformowanie partii istniała jeszcze w czasach Solidarności. Teraz jest już za późno! Ale w sumie zgadzamy się, że wytworzyła się obecnie sytuacja korzystna dla Solidarności, dla społeczeństwa, bo część władzy zdradza skłonność do pertraktowania, do uwzględnienia społecznych aspiracji, co — powtarzam — nie jest równoznaczne z dążeniem do zreformowania samej partii, bo tego w moim przekonaniu zrobić się już nie da.

T.G.: — Przekształcenie partii komunistycznej w socjaldemokratyczną jest niemożliwe, a partia komunistyczna nie ma już racji bytu.

M.S.: — No właśnie, nie podjęliśmy jednak wątku międzynarodowego, tzn. czy tej sytuacji polskiej sprzyja sytuacja w bloku wschodnim, zwłaszcza w Związku Radzieckim.

W.G.: — Na pewno na Węgrzech i w ZSRR...

P.A.: — Chciałbym podzielić się z Państwem moim sceptycyzmem. My tu mówimy ciągle o szczytach władzy czy ludziach na te szczyty patrzących. Natomiast na średnim i niskim szczeblu partyjnym panuje całkowite skostnienie i wyczekiwanie na inny, korzystny dla ich partykularnych interesów obrót sprawy, na przykład na to, że się Gorbaczow pośliznie.

REDAKCJA: — Jest to słuszna uwaga. Ten wąski partykularyzm reprezentują też partyjni dyrektorzy, i nie tylko przedsiębiorstw przemysłowych, również instytucji kulturalnych, mimo że mają usta pełne okrągłych frazesów.

J.Z.: — No tak, bo oni mają najwięcej do stracenia.

REDAKCJA: — Zwłaszcza, jakby weszły w życie autentyczne konkursy na dyrektorów!

P.A.: — I ludzie odczuwać będą na własnej skórze nie to, co pisze liberalizująca prasa, ale to, jak się będą zachowywać ich przełożeni i aparat państwowy, od którego zależą prozaiczne ludzkie sprawy.

M.S.: — Ja bym się tak tym nie przejmował, uważam bowiem, że jest to tylko kwestia czasu — system totalitarny potrafi podporządkować aparat władzy naczelnej i zmusić go do zmian nawet zaprzeczających temu systemowi.

REDAKCJA: — Ale na jak długo?

M.S.: — No właśnie, jak sądzicie, czy Gorbaczow ma szansę ten swój ruch proreformatorski obronić? Bo silny dualizm władzy na Kremlu jest niezwykle groźny dla sytuacji w Polsce. Stąd dalej duża niejasność sytuacji, bo władza w PRL ma nawyk wyczekiwania na sygnały z Kremla.

W.G.: — Tu niestety trudno być optymistą...

M.S.: — I to paradoks, bo już się nasza dyskusja rozwijała w kierunku dobrej nadziei na przyszłość.

W.G. — Jeden z moich rozmówców, mający kontakty z ludźmi związanymi z Moskwą, dostał od swoich radzieckich znajomych coś w rodzaju ostrzeżenia czy rady. Otóż ludzie ci uważają, że teraz dla Polski nastąpił dobry czas, ale trzeba się bardzo spieszyć. Bo mniej więcej za rok Gorbaczow będzie już całkowicie ubezwłasnowolniony w sprawach bloku wschodniego. Na ile jest to informacja wiarygodna, tego oczywiście nie wiem.

M.S.: — To nawet nie takie ważne. My, Polacy, zawsze mieliśmy mało czasu.

M.G.: — Ale mechanizmy społeczne zostały uruchomione i trudno je będzie zatrzymać. I już różne gesty władzy, różne ustępstwa na rzecz tworzenia jakichś ciał doradczych nie będą zadawały. To tak jak kiedyś z zaborcami, którzy zmuszeni byli do pewnych ustępstw.

J.Z.: — Powiedziałbym raczej, że ze strony władzy to będą pozory ustępstw, to będzie stwarzanie nadziei na zmianę, ale procesy historyczne będą się rozwijać nieustępliwie.

W.G.: — Pan jako historyk dobrze wie, że procesy też można zatrzymać.

M.G.: — Ale coś z nich zawsze zostaje.

REDAKCJA: — Nie przeczę, że to, co się dzieje, co się rozgrywa na szczeblu władzy centralnej czy niższej jest ważne, ale bardziej istotne wydaje się to, o czym wspominał przed chwilą Mietek. Mianowicie wyzwolenie inicjatywy społecznej, wzrost aktywności w różnych kręgach społeczeństwa, które sprawiało już wrażenie bardzo apatycznego, nieruchawego. I to dobrze rokuje na przyszłość.

M.S.: — Uważam, że jest to właściwe zakończenie naszej dyskusji. Bardzo wszystkim dziękuję za tę interesującą rozmowę, którą przeprowadziliśmy w końcu września 1988 roku.

Do powyższej dyskusji przyłączył się MAREK ZIELIŃSKI, który nie mógł wziąć w niej udziału osobiście. Jego głosę drukujemy poniżej. Całość dyskusji będzie zamieszczona w 22-gim numerze *Miesięcznika małopolskiego*.

Nazywajmy rzeczy po imieniu

Z niepokojem czytałem większość wypowiedzi dyskutantów. Niepokojem, który wyrasta nie tyle z różnic w ocenie sytuacji społecznej i widoków na przyszłość, ile z poczucia swoistej goryczy, jaką napępniały mnie poszczególne głosy (w szczególności Wojciecha Giełżyńskiego). Nie jestem prorokiem i zapewne jak wielu Polaków — także i pośród uczestników dyskusji — dzielę te same zwątpienia, nadzieje, a czasami i mity. Każdy ma też prawo do własnych sądów, chociażby nawet mnie one nie przekonywały. Groźne i niepokojące wydaje mi się jednak co innego. Oto w mniejszym czy większym stopniu dyskusja krakowska odzwierciedla sposób myślenia, obciążenia intelektualne i garby ideologiczne naszego społeczeństwa. Jest odbiciem trwającej już tyle lat niemożności uświadomienia sobie dostatecznie jasno warunków niezbędnych do zmiany sytuacji politycznej i społecznej. Zamazywania rzeczywistości, która widziana nieostro traci jakiegokolwiek swycę wyróżniki, daje się interpretować na tyle różnie, żeby możliwe były sądy najbardziej nawet dziwaczne, aprioryczne i prowadzące donikąd.

Tej jakości myślenia, a raczej bezmyślności, nie waham się uznać za największą przeszkodę w walce z komunizmem i zarazem za najgroźniejszą broń, którą komuniści się posługują przy utrzymywaniu władzy i która wiernie im służy od czterdziestu lat istnienia PRL.

Dopowiem jasno, o co mi chodzi, żeby nie brnąć w ogólniki i eufemizmy. Nie ma mowy o prowadzeniu jakichkolwiek działań skierowanych przeciwko istniejącemu systemowi politycznemu, przeciw panującej władzy, dopóki nie uświadomimy sobie w sposób jasny i wyraźny, bez kamuflażu, kilku zasad, na których opiera się istota komunizmu. Zarówno tego, jak się wydaje niektórym, nieco ucywilizowanego, polskiego, jak i tego, który w ostrzejszej formie występuje u naszych sąsiadów, że już nie wspomnę azjatyckich obszarów (choćby Wietnamu bądź Korei Północnej).

Dla komunistów najważniejsze — co potwierdza historia ostatnich kilkudziesięciu lat — jest zachowanie władzy. I to władzy realnej, której źródłem i gwarantem będzie siła i która zarazem tę siłę wzmacnia, jest z nią sprzężona. Dlatego wszędzie, gdzie dochodziło do kompromisów różnych sił społecznych z komunistami, szli oni nawet na daleko idące ustępstwa, pod jednym warunkiem, że nie zmniejszała się w ten sposób ich rzeczywista władza, że zachowywali kluczowe pozycje w strukturze

rządzenia. Konkretnie: dostęp do środków represji, czyli kontrolę nad policją i wojskiem, a także niezbędne panowanie nad aparatem propagandy, mass mediami, w pewnym sensie szkolnictwem traktowanym jako przedłużenie agitacji i jako jeszcze jedna forma oddziaływania propagandowego i ideologicznego. Tu jest bastion władzy. Zamek, w którym tkwią klucze do wszystkiego, do całej reszty. I bez wątpienia ta właśnie pozostała reszta jest podporządkowana jedynie prawdziwej i realnie ważnej dla komunistów zasadzie: utrzymania się u władzy za wszelką cenę.

Oczywiście aparat represyjny potrzebuje pieniędzy, oczywiście wykonawcy zleceń propagandowych muszą być opłacani, toteż gospodarka jest w gruncie rzeczy tylko zapleczem finansowym dla tych istotnych i prymarnych funkcji władzy. Ona się nie liczy, a raczej liczy o tyle, o ile umożliwi zapewnienie niezbędnego funkcjonowania maszynerii policyjno-wojskowej, o ile zachowuje ją przy życiu i pomaga nadal nią być.

Dlatego mówienie o władzy komunistycznej, i z władzą, w kategoriach gry, w kategoriach kompromisów, zawieranych układów jest bezsensowne. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zostanie naruszona jej prawdziwa istota, jej siła represyjna. Czyli dopóki nadal będzie taka, a nie inna partia, taka, nie inna grupa powołująca się na marksizm-leninizm, nie tyle jako na formułę legitymizacji swego prawa do rządzenia, ile jako na wykład techniki bezwzględnego i negującego wszelkie zasady moralne sposobu zdobywania i utrzymywania władzy.

Mając to wszystko na uwadze, nie chcę negować potrzeby, a czasem nawet konieczności prowadzenia rozmów, zawierania układów, spotkania się przy różnych okrągłych stołach z przedstawicielami komunistycznego *establishment*'u. Zawsze jednak warto pamiętać o ograniczonym charakterze tego rodzaju działań, o ich czasowości i o tym, że w niczym najbardziej nawet mądre traktaty nie naruszają realnej władzy komunistów. Nie mogą jej naruszyć, gdyż bez niej ani ta ideologia, ani jej emanacja — partia — nie istnieją. Bez władzy komuniści są skazanymi na śmierć, czyli mogą być najwyżej bez znaczenia ugrupowaniami mniejszości, o wyraźnie mafijnej i gangsterskiej proveniencji, które normalne i zdrowe organizmy społeczne wyrzucają poza swój obręb, traktują jako przejaw choroby moralnej. Oczywiście można się układać nawet z gangsterami, ale tylko w tym celu, żeby się wzmocnić, żeby wcześniej bądź później przejść do ataku, żeby się liczyć z możliwością walki na śmierć i życie.

Taka jest i nasza sytuacja. I nie jest ona nowa, bo wciąż stoi przed nami to samo zadanie sprzed czterdziestu lat. Zadanie pozbawienia komunistów władzy, zniszczenia systemu, którego

rakowy charakter nie pozwala na normalne życie, na jakikolwiek rozwój, który pozbawia społeczeństwa poddane jego władzy jakiegokolwiek przyszłości, sensu istnienia!

Jeżeli sobie wyraźnie uświadomić ten daleki cel (daleki może i dlatego, że wciąż nie za bardzo, jako społeczeństwo, jesteśmy skłonni do wydania decydującej wojny systemowi, w którym żyjemy, że za mało w nas zdolności do ofiar, do wylania nawet i krwi, kiedy zajdzie potrzeba), to wtedy zupełnie inaczej widać pojawiające się w dyskusji wątki, jak i spór o poruszane między innymi przez paryską *Kulturę* sprawy: błędy „Solidarności”, brak jednoznacznego stanowiska Kościoła w popieraniu niezależnego ruchu, zanik autorytetu *establishment*’u opozycji, wreszcie potęgująca się niechęć społeczeństwa i do władzy i do „nomenklatury” opozycyjnej. W takiej perspektywie okazuje się, że to, co zdaniem Giełżyńskiego niezbyt ważne, czyli kwestia programu, ma swoje znaczenie. Brak programu kamufluje bowiem znacznie szerszy problem: niechęć do myślenia w dalszej perspektywie i zdanie się „Solidarności” na reakcje, na propozycje wysuwane przez komunistów. Błąd gremiów związkowych, a również przenikających je kręgów opozycji demokratycznej, bierze się z oddania inicjatywy władzy, mam nawet wrażenie, że z pokornego czekania na to, co przyniesie czas i co przyniosą komuniści.

Nieumiejętność dostrzegania poza aktualnymi wydarzeniami dalszej przyszłości prowadzi do zaniku politycznego myślenia i jest największą słabością związku! Grozi też osłabieniem i tak nie najlepszymi więzów ze społeczeństwem, a poza tym budzeniem w nim nadziei, które są nierealne. To ostatnie jest największą wadą taktyki, a chyba nawet i strategii „Solidarności” po 13 grudnia. Sloganowy i życzeniowy sposób myślenia, rzucając bez pokrycia hasła zdezorientowały większość zwolenników niezależnego związku i adherentów opozycji. Nie wiem zresztą, czy tego rodzaju poczynania nie były wynikiem maskowanego poczucia nieufności wobec społeczeństwa, niewiary w jego umiejętność rozumienia sytuacji politycznej, jaką przejawiali przywódcy związkowi, z Wałęsą na czele. Nierealne wizje wynikały z niechęci do powiedzenia pełnej prawdy, z apędu o ofiarę, a wreszcie niezdolności do wzięcia pełnej odpowiedzialności za przyszłość, za ewentualne wydanie walki komunizmowi. Żadną ze znaczących person nie była zdolna do rzucenia własnemu społeczeństwu tego rodzaju wyzwania, które na początku wojny światowej wyszło z ust Churchilla. Niezależnie bowiem od tego, jakie byłyby reakcje społeczne, znacznie właściwsze byłoby przygotowanie narodu na najgorsze niż mamienie go pseudosukcesami i wzywaniu do strajków; które w sytuacji militaryzacji gospodarki były bezsensowne i narażały jedynie na niepotrzebne ofiary.

Pisząc to nie mam na myśli jakiegos projekt powstania na-

rodowego ani zbrojnych starć na ulicach miast, jednakże mówią o przyszłości kraju, zwracając się do własnych zwolenników, polityczne grupy, czy to solidarnościowe, czy opozycyjne, winny mieć świadomość, że najprawdopodobniej celu zasadniczego nie da się osiągnąć bez długotrwałych działań i bez przygotowania się na wszystko, także i na walkę *manu militari*, kiedy się to okaże konieczne. Nie może być zresztą inaczej, kiedy jedna ze stron (komuniści) tym właśnie straszakiem posługuje się bezustannie i kiedy stanowi on dla niej ostateczną rękojmnię własnej władzy.

W rezultacie — i rysując sprawy bardzo grubą kreską — mniej jest ważne, jakie hasła będziemy rzucać i kiedy siadać do kolejnych rozmów, istotniejsze jest za to przekonanie społeczeństwa, a nade wszystko siebie samych, że jesteśmy zdolni do ostatecznych decyzji, do złożenia ofiary za własnego życia, do walki na śmierć i na zwycięstwo. Osobiście zresztą sądzę, że bez tego nie ma możliwości przywrócenia naszej ojczyźnie normalnej egzystencji, włączenia jej na powrót do Europy.

Wydaje mi się, że warto nauczyć się od komunistów jasnego rozumienia polityki. I nazywania rzeczy po imieniu, nawet jeżeli nie potrafimy czy nie możemy naszych zapatrywań ujawnić publicznie, z takich bądź innych powodów. Komuniści traktują „Solidarność” jako swoistego konia trojańskiego, jako sposób na odebranie im władzy. Myślą słusznie i w swojej perspektywie rozsądnie. Nieszczęście polega na tym, że „Solidarność” właściwie od samego swojego początku, a tym bardziej dzisiaj, niezbyt była przygotowana do tego celu, wzdragała się przed nim, oszukiwała siebie i innych. Tymczasem sensem powstania tego rodzaju związku, jak i uzasadnieniem istnienia opozycji jest taki, nie inny cel, do którego należy dążyć ze wszelkich sił i nie patrzeć na cenę, jaką należy płacić. Oczywiście gwarantem komunizmu polskiego jest ZSSR, oczywiście na straży tej władzy stoją armie Układu Warszawskiego i cały system policyjny nadzorowany przez KGB. Nie zmienia to jednak w niczym podstawowego faktu: ponieważ jest, jak jest, ponieważ wszystko w ostatecznym sensie sprowadza się do tego, kto kogo, i kto będzie silniejszy, musimy być silni, musimy tę siłę tworzyć, nade wszystko zaś winniśmy mieć świadomość, że bez walki niczego nie uzyskamy, bez walki, a może nawet bez wojny o globalnym charakterze.

Mogą jej się bać społeczności Zachodu, mogą drzeć przed nią politycy stamtąd, gotowi na każdy kompromis, byle by oddalić jej ewentualność, możemy wreszcie bać się jej grozy i my, ale nie możemy jej wykluczyć z naszego horyzontu politycznych działań, jako ten rodzaj rozwiązania, który jakkolwiek byłby straszny, należy brać pod uwagę. Bo też nawet w XX wieku

prawdziwe działanie polityczne winno być wspierane możliwością tego rodzaju rozstrzygnięć.

Komunizm został wprowadzony na tereny Europy dzięki wojnie (także do Rosji) i prawdopodobnie tylko tą drogą kiedyś zostanie zniszczony. Jeżeli się o tym zapomina, skazujemy się na pogardę jako ludzie słabi i nieinteligentni. Jako tacy, co nie potrafią wyciągnąć wniosków z własnej sytuacji politycznej. Proszę zauważyć, że komuniści nigdy nie cierpieli i nie cierpią na tego rodzaju słabość, że w imię utrzymania władzy gotowi są na wszystko, nawet na rozpętanie wojny.

Jeżeli się tego nie rozumie (albo nie chce zrozumieć!) i nie wyciąga się wniosków z rzeczywistości, którą oglądamy od kilkunastu lat (a niektórzy doświadczają jej od samego początku instalowania władzy komunistycznej w Polsce), to nie może już dziwić odwrócenie pojęć, zaprezentowane chociażby w wypowiedziach Wojciecha Gieżyńskiego. Jego teoria o prymacie tzw. pluralizmu społecznego i pluralizmu ekonomicznego nad politycznym („tzw.”, gdyż określenie „pluralizm” traci na miłą zapachem nowomowy) nijak się ma do tego, co jest ważne i czego potrzeba na przyszłość krajowi. Przecież uzdrowienie czegokolwiek, w tym gospodarki, w tym życia społecznego, nie dokona się bez zmian politycznych. W systemie komunistycznym kluczem do całości jest polityka, ponieważ zasada tego ustroju jest na wskroś polityczna. Jedyna wiara, którą wyznają komuniści, jest polityczna. To po tej sferze krążą wszystkie ich organizacje, tutaj bije serce systemu. Polityka warunkuje ich dalsze życie i polityką posługują się niezwykle umiejętnie. I jeżeli ktokolwiek wierzy, że uda się uzyskać zmiany gospodarcze, bądź społeczne, nie naruszając monopolu komunistycznego, jest fantazją, i już teraz winien poddać rozgrywaną partię. Strategia jakiegokolwiek ruchu społecznego, opozycyjnego wobec komunizmu, musi być polityczna, albo nie będzie jej wcale. Także strategia Wałęsy, jeśli przyjąć, iż reprezentuje on jakąkolwiek strategię.

Wszystkie piękne idee: społecznej podmiotowości, samorządów, gospodarki oddzielonej, alternatywnego społeczeństwa, czy nawet niezależnej kultury są dotąd fałszywe, dopóki na porządku dziennym nie znajdzie się problem pozbawienia komunistów wyłączności politycznej, dopóki nie będą musieli zrezygnować z uzurpacji, iż są jedyni i będą się liczyć ze społeczeństwem. Co możliwe jest tylko wówczas, i taka jest konkluzja całego mojego wywodu, gdy ugną się przed siłą. I o tę siłę należy zadbać, do tego dążyć. Przynajmniej w planie strategicznym, bo taktyką możemy się różnić i nie ona jest istotna.

Jeżeli tego nie widzimy dostatecznie jasno, to nie widzimy już niczego i za przykładem komunistów „ociosujemy mgłę”. Tyle, że w przeciwieństwie do nich, nie bardzo wiadomo, dlaczego

popętniamy tego rodzaju błędy. Bo że Urban, Koźniewski, Pas-sent, Rakowski tak mówią i robią, to jest zrozumiałe: walczą o władzę, dla siebie, dla swoich mafijnych towarzyszy, dla gangu, który od czterdziestu lat czerpie niewyobrażalne zyski z pracy, z bogactw społeczeństwa polskiego i który tego nie odda nigdy. Chyba, że zostanie zmuszony siłą. Innego wyjścia nie ma i każde inne rozwiązanie, chociaż zapewne bardziej humanitarne, jest mrzonką. Czas mrzonek już minął. Przetrawianie narodu przynieść może tylko prawda. Nieokłamywanie siebie i innych. Podjęcie decyzji o przejściu odpowiedzialności za kraj i gotowość do walki.

Marek ZIELIŃSKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Dziennik pisany nocą

Neapol, 22 sierpnia 1988

List ze Sztokholmu datowany jest 21 kwietnia. Kończy się tak: „Napisz na szwedzki adres słów parę, żebym choć przez chwilę poczuł, że ten namiot nad Jeziorem Białym naprawdę istniał”. To Janek Strzelecki. W dwa miesiące później został zamordowany w Warszawie w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach.

W namiocie nad Jeziorem Białym, jednym z Jezior Augustowskich, spędzały w lipcu 1939 ostatnie przed wojną wakacje trzy osoby: Janek, Krzysia Broniatowska (obecnie Griffith-Jones) i ja. Rzecz jasna, toczyły się w nim „rozmowy polskie latem 1939”, blisko stamtąd duchem i miejscem do sceny książki Rymkiewicza. Odpisałem Jankowi na dowód, że „namiot istniał naprawdę”. Teraz jestem tego mniej pewien: w mechanizmie „poszukiwania straconego czasu” każda śmierć zamazuje obraz przeszłości, jest trochę tak jakby z odejściem przyjaciół przeszłość umierała coraz bezpowrotnie, dobijając w nas samych to co zdawało się jeszcze być dość żywe i trwałe.

Byliśmy rówieśnikami. W przedwojennym Janku urzekło mnie kilka cech: czystość, dobroć, szlachetność, zdevaluowana dziś nieco „ideowość”, ogromne jak na młodego studenta czytanie, niechęć do wychodzenia poza lektury i zaryzykowania własnego wysiłku twórczego. Ta ostatnia cecha, co prawda w redukowanej stopniowo formie, tkwiła w nim długo. Pamiętam spotkanie z Marią Ossowską w Neapolu pod koniec lat pięćdziesiątych. Rozmowa zeszła oczywiście na Janka, oboje Ossowscy lubili go i wysoko cenili. Ale wśród pochwał i komplementów przewijał się u Ossowskiej delikatny wyrzut: uroczy, inteligentny, czytany Janek na nic się nie może zdecydować, w swojej

karierze naukowej waha się i zatrzymuje o krok od celu, wciąż twierdzi że nie jest dostatecznie przygotowany. Wieczne wahania Janka dotyczyły również, według Ossowskiej, jego wyborów politycznych. Miało się to powoli zmieniać pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych; zmieniło się radykalnie w latach osiemdziesiątych.

Pod okupacją niemiecką redagował *Plomienie* zbliżone do PPS. Po wojnie, o ile wiem, brał udział w rozmowach „zjednoczeniowych” na odcinku młodzieżowym (podobno jego rozmówcą po przeciwnej stronie był Leszek Kołakowski). Nasze pierwsze, powojenne i niezwykle spotkanie odbyło się jednak wcześniej. Nazajutrz po wojnie, jeszcze w mundurze wojskowym, siedziałem w kawiarni na bulwarach paryskich i czytałem gazetę. Nagle ktoś trącił mnie lekko w ramię: „Jak się masz?”. Było to powiedziane takim tonem, jakbyśmy przed miesiącem zaledwie pożegnali się na dworcu w Warszawie po powrocie z Augustowa. Nasza kilkugodzinna rozmowa w paryskim bistrze była przykra, chwilami nawet ostra. I uprzytomniła mi po raz pierwszy przepaść między „krajowcami” i „emigrantami”, choćby chodziło o serdecznych niegdyś przyjaciół. Zasypywał ją bieg lat, stawała się po prostu różnicą zdań, lecz bardzo długotrwałą. A przecież nigdy, mimo sporów i niekiedy starć, nie wątpiłem że mam do czynienia z czystym, szlachetnym i ideowym Jankiem, który w dobrej absolutnie wierze, nie ulegając podszeptom i pułapkom „zniewolonego umysłu”, otworzył kredyt zaufania komunistom. Co mogło wyglądać na zwykłą natworność, było u Janka szczerym i uczciwym przekonaniem, że „partner ewoluuje” i z upływem czasu musi się w końcu wydobyć ze swojej złej wiary.

Spotkałem go znowu na paryskim kolokwium, poświęconym Październikowi 1956 i „nowemu ewolucjonizmowi” (tytuł referatu Michnika). Zjawił się na nim z synem Jurkiem, fizyczną kopią ojca. Zobaczyłem naraz obok siebie młodego Janka, warszawsko-augustowskiego, i Janka postarzałego, wyrażnie zmęczonego, mojego rówieśnika.

W połowie chyba lat siedemdziesiątych byłem któregoś popołudnia umówiony w *Cluny* z Krzysztofem Pomianem. Zaraz po przywitaniu zapowiedział tajemniczo „niespodziankę”, prosząc o godzinę cierpliwości. Niespodzianką był Janek, który tego dnia przyleciał z Warszawy. Krzysztof zostawił nas samych. Rozmowa była „pół na pół”, chwilami dość harmonijna, chwilami odrobinę napięta.

Nasze ostatnie spotkanie mogę oznaczyć dokładnie: Rzym, początek listopada 1981. Urządzono tam, na benefis „polskiego papieża”, kolokwium o „korzeniach Europy” pod egidą Uniwersytetu Laterańskiego i KUL-u. Zjechała na nie z Polski elita

intelektualna, związana ściślej czy luźniej z „Solidarnością”. Wymienię zapamiętanych: Mazowiecki, Geremek, profesor Kieniewicz, ksiądz Tischner, Turowicz, Woźniakowski, Cywiński, bracia Kłoczowscy (profesor i dominikanin), Król, Janek. Leżałem wtedy chory w Neapolu, ale na parokrotne nalegania telefoniczne Janka postanowiłem wyskoczyć na dzień do Rzymu. Po wspólnym, tłumnym obiedzie wybraliśmy się w trójkę — Janek, Marcin Król i ja — do kawiarni koło Świętego Piotra. Niespodziewanie przysiadł się do nas świetny historyk amerykański Martin Malia. Marcin Król tokował z przejęciem o bliskim już realizacji projekcie zalegalizowanej *Res Publici* (po „udanej wizycie” u Stefana Olszowskiego), rozrzucał swoje plany redakcyjne, zapraszał do współpracy. Janek słuchał w milczeniu, ze smutnym i niespokojnym wyrazem twarzy. Dzielił nas miesiąc od 13 grudnia.

Takie wrażenia pojawiają się na ogół *ex post*, bardzo więc być może, że dopiero teraz, po tragicznej śmierci Janka, dostrzegam dziwne podobieństwo jego ówczesnej twarzy do twarzy przyjaciela mojej młodości z namiotu nad Jeziorem Białym.

23 sierpnia

Wkrótce po śmierci Janka śmierć innego przyjaciela, Wiktora Weintrauba. Ciekawe, że z tylu lat przyjaciźni najchętniej wspominam jej początek. Wiktor, uczeń i ulubieniec profesora Stanisława Kota, redagował w Jerozolimie na jego prośbę dwutygodnik *W drodze*. Polonista z bezgranicznego zamiłowania, autor pracy doktorskiej na UJ o poezji Kochanowskiego i przyszedł wybitny „mickiewiczolog”, potrafił polonistyczną (i komparatystyczną) pasję naukową odsunąć chwilowo na stronę i zastąpić ją pasją redaktorską w piśmie „społeczno-politycznym i literackim”, emigracyjnie zaangażowanym, dalekim od jego prawdziwych zainteresowań i upodobań. W drugiej połowie 1943 roku wybrałem się z miejsca postoju mojego pułku w Palestynie na przepustkę do Jerozolimy; głównym celem wyprawy było mieszkanie redaktora *W drodze*. Poznałem Wiktora i jego żonę Hanke, polubiliśmy się natychmiast. Chwycenie za pióro w namiocie wojskowym nie było rzeczą prostą, ale dałem się namówić do współpracy. Napisałem kilka tekstów, częstsze stały się moje przepustki jerozolimskie. Korektorem dwutygodnika był zamieszkały wówczas w Jerozolimie „oficer drugiej grupy”, kapitan Władysław Broniewski. Komentatorem politycznym i wojennym zamieszkały również w Jerozolimie „oficer drugiej grupy”, pułkownik Janusz Gaładyk, dowódca Brygady Podhalańskiej we wrześniu 1939. Artykuły Gaładyka, podpisywane pseudonimem Górecki, były tak inteligentne i wnikliwe, że przekładano je zaraz po wydrukowa-

niu na życzenie i wewnętrzny użytek Anglików. Po wojnie Gaładyk prowadził pierwszy repatriacyjny transport żołnierzy z Włoch do Polski, na statku dostał nominację na generała. Nic o nim potem nie słyszałem.

W Jerozolimie przebywał też wtedy Teodor Parnicki, bardzo zaprzyjaźniony z Weintraubami. Ale pochłonięty całkowicie pisaniem powieści, nie udzielał się *W drodze*. Prócz Broniewskiego, poetycką gwiazdą dwutygodnika (i bodaj zastępcą Wiktora) był Zdzisław Broncel. Innych już nie pamiętam.

Mój szkic o poezji Broniewskiego *Powrót Cezarego Baryki*, drukowany na łamach *W drodze*, zbliżył mnie do rewolucyjnego barda. Odtąd moje przepustki jerozolimskie miały sztywny rozkład dnia: przed południem łażenie po mieście, po południu herbata u Weintraubów, wieczorem wódka u Broniewskiego. Nowy Baryka był Czarusiem do trzeciego kieliszka, od czwartego zaczynał się niezmienny, coraz nudniejszy i niestrawniejszy, spektakl: histeryczne, pijacko-bełkotliwe, opowiadanie o tym, co by to zawiedziony i skrzywdzony Czarus zrobił, gdyby dostał w swoje ręce Stalina, Borejsę i Daszewskiego (których uważał za winnych swego aresztowania we Lwowie), z mrozącymi krew w żyłach szczegółami tortur. Skończyło się, jak wiadomo, inaczej: „buźką” z Borejszą i Daszewskim na dworcu w Warszawie, po czym granitowym poetyckim pomnikiem Stalina.

Po 1956 roku Broniewski odwiedził mnie w Neapolu. Od drugiego już (pił coraz gorzej) kieliszka zaczął się nowy spektakl: domaganie się uznania dla „bezsportnych poetyckich walorów” *Słowa o Stalinie* niezależnie od raportu Chruszczowa, a po jeszcze paru kolejkach „historyczna rehabilitacja” bohatera poematu, czyli próba ustawienia straconej figury Wodza na cokole pomnika.

Ale miało być przecież o Wiktorze. Wspominaliśmy okres *W drodze* podczas mojego krótkiego pobytu w Harvard, u progu jego profesorskiej emerytury. Słuchał i nie słuchał, mówił i nie mówił, ważniejsze od tego wszystkiego, od wyblakłych dla niego lat jerozolimskich, było pokazać mi z dumą dział polonistyczny w bibliotece uniwersyteckiej. Wyciągał z półek co cenniejsze książki, obracał je pieśczośliwie w rękach. Jak pogodnie, prawie szczęśliwie, uśmiechał się na spacerze harwardzkim! Osiągnął w życiu to, czego zawsze tak gorąco pragnął.

25 sierpnia

*Bardzo się, moi przyjaciele z Tygodnika, mylicie.
Wielkie Zwierzę Platona za istotę myślącą bierzecie.
Zwierzę o wielu milionach głów chce słyszeć tylko rzeczy,
[które są mu przyjemne.*

*Cbce słyszeć, że jest wspaniałe, bobaterskie, mądre, szlachetne,
Tolerancyjne, miłosierne, wielkoduszne, nieskazitelne moralnie,
Cbce być otoczone powszechnym podziwem, nazywane*

[natchnieniem świata,

Podawane za przykład dla swoich wiekopomych czynów.

Zamierzając mówić mu prawdę, musicie popaść w kłopoty

Jak każdy, kto nie sprawdza swoich wyobrażeń.

To początek pięknego, gorzkiego i mądrego, wiersza Czesława Miłosza Do Zespołu „Tygodnika Powszechnego”. Zakończenie brzmi tak:

*O waszej powadze, w służbie Powszechnego Kościoła, nie wątpię,
[przyjaciele.*

Choć jak widzę trudno wam pogodzić się z myślą, że jest was mało.

I dziwicie się, że odpowiedzią na słowa prawdy bywa tylko gniew,

A lubiany i chwਾਲony jest każdy demagog,

To znaczy ten który schlebia

I który uspokaja Wielkie Zwierzę

*Szeptając mu do ucha: „Spój, tylko twoi wrogowie znajdują skazę
[w tobie”.*

Wiersz zwraca się przeciw podsycanemu przez męczeństwo narodowe polskiemu kompleksowi anielstwa, o którym parokrotnie wspominałem w dzienniku, zaniepokojony jego ciągłym wzrostem, gdy powinien być raczej temperowany i powściągany. Nawet rozpisana przez *Znak* w dobrych intencjach ankietą o „polskość” (wiersz Miłosza wydrukowano właśnie jako odpowiedź na nią) posiada, z pewnością wbrew zamiarom redaktorów, szczególnie podtekst otwierający pole do popisu anielskim wynurzeniom i aktom wiary. Włosi są narodem odpornym na pokusy nacjonalistyczno-szowinistyczne, a jednak w okresie faszyzmu wyskoczyło tam nagle mętne pojęcie *italianità*, które było odpowiednikiem „polskości” i synonimem anielstwa na usługach „czarnych koszul”. Profesor Daniel Beauvois, autor *Polaków na Ukrainie 1831-1863*, zauważa, że „anielskość jest bardzo silnym znamieniem literatury polskiej”.

Podjeżdżam że „Wielkie Zwierzę Platona, zwierzę o wielu milionach głów”, jest reakcją na reakcję jakie wywołał artykuł Jana Błońskiego *Biedny chrześcijanin patrzy na getto w Tygodniku Powszechnym*. Ja przeczytałem wiersz Miłosza wkrótce po zobaczeniu znakomitego i przerażającego filmu Marcela Łozińskiego o pogromie kieleckim *Świadkowie*. Dla wytłumaczenia pogromu używa się zazwyczaj dwóch argumentów: prowokacja władz i powojenne zdżyczenie. Też prowokacji zarzysował przed laty artykuł w *Jerusalem Post*, napisany przez „pomarcowego”

emigranta w Izraelu; przewija się ona również między wierszami świetnego reportażu Jerzego Sławomira Maca *Kto to zrobił?* w białostockich *Kontrastach*, poprzedzonego taką notą redakcji: „Jesteśmy świadomi, że przynajmniej część prawdy spoczywa jeszcze w archiwach”. Na powojenne zdziczenie położył nacisk Andrzej Oseka w recenzji z filmu Łozińskiego. Powiedzmy, że wskazanie obu tych ukrytych sprężyn pogromu kieleckiego nie jest bezpodstawne; i że być może wypłynie kiedyś owa „część prawdy spoczywająca jeszcze w archiwach”. Ale udana (i to jak strasznie udana!) prowokacja wymaga tzw. podatnego gruntu, o czym pamiętać winni Polacy, którzy zapewniają że nie było nigdy w Polsce żadnego antysemityzmu, protestując w porywach świętego oburzenia gdy o nim mowa, szepcząc do ucha Wielkiemu Zwierzęciu: „Śpij, tylko twoi wrogowie znajdują skazę w tobie”. Film Łozińskiego otwiera nota historyczna Krystyny Kersten. Jego stosownym zamknięciem byłby wiersz Miłosza.

Maisons-Laffitte, 12 września

Najważniejszy i jakby programowy szkic w książce Marka Zielińskiego *Kilka niewzruszonych przekonań* nazywa się *Brzozowski i przekłete problemy*. Doskonały tytuł jest naturalnie aluzją do książki (nieskończonej niestety) Ryszarda Przybylskiego *Dostojewski i przekłete problemy*. Brzozowski był i jest dla Polaków tym, czym Dostojewski był i jest dla Rosjan? Wprowadził do polskiej świadomości „przekłete problemy”?

Sądząc z tonu tego szkicu i całej książki Zielińskiego, tonu namiętnie „wyznawczego”, tak. Świadczy o tym dobór cytatów z Brzozowskiego. Zieliński kładzie nacisk na tyrady przeciw „Polsce zdzięczniałej”, na „życie nasze, ja nasze, które jest post-runkiem”, na „umęczony w nas wszystkich intelekt”, wydobywa zdanie o niezwykłym dziś brzmieniu: „Zabijając wszystkie samostne instytucje, wróg (czyli zaborca) poraża coś głębszego, niż one same, znieprawia, osłabia wolę, buduje system paraliżu psychicznego”. Na podskórne pokrewieństwo naszych i rosyjskich „przeklętych problemów” mogłoby wskazywać przekonanie Brzozowskiego, że „kto myśli o przyszłości Polski, musi zrozumieć Rosję, musi ją zrozumieć lepiej, niż ona sama siebie pojmuje”. Szkoda, że Zieliński nie zaokrąglił tej opinii inną, dobitniej sformułowaną: „Uważam za konieczne, byśmy myśleli o Rosji jako o wielkiej i strasznej rzeczywistości; tak lub inaczej na naszej dziejowej drodze będziemy rzeczywistość tę spotykali”. Szkoda również, że pisząc o „mizernym katolicyzmie polskim”, nie przytoczył okrzyku Brzozowskiego w *Pamiętniku*: „Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz!”.

W *Człowieku wśród skorpionów* Miłosz zauważa: „Brzozowski był w pewnym sensie wykwittem polskiej tragedii i kto wie czy jego zbieżności z późniejszymi pisarzami zachodnioeuropejskimi nie tłumaczą się tym, że Polacy odkryli tragizm polityczny wcześniej niż oni”. Wyśmienity jest ten „tragizm polityczny”. Tłumaczy nie tylko wysoką temperaturę wszystkiego co o Brzozowskim pisano (za i przeciw), ale i jedyną chyba próbę chłodnego „przezwyciężenia” go, gdy wydawało się że wychodzimy nareszcie z „tragiczności” i wkraczamy w upragnioną „normalność”.

Tę próbę, przeoczoną przez Miłosza, odświeżyłem w mojej pamięci po przeczytaniu szkicu Zielińskiego o Brzozowskim. Podjął ją na początku 1938 roku Ludwik Frydego w *Ateneum* Napierskiego. Terminowałem wtedy w „szkole Frydego”, jego *Brzozowski jako wychowawca* był dla uczniów znakomitego i nieodżałowanego krytyka tekstem niezmiernie ważnym. W jakiś sposób powstał z rozmów i dyskusji w „szkole”, wyrażał dojrziałym już piórem mistrza także poglądy jego młodszych wychowanków i przyjaciół. Brzozowski stał się dla nas zaporą na drodze swobodnego rozwoju intelektualnego, przeszkodą do pokonania, myślicielem donagającym się pilnego „przewartościowania” w niepodległej Polsce.

Frydego ocenił surowo walory wychowawcze jego pism, „przeegzaminował” go, postawił mu niski stopień jako wychowawcy właśnie. Nie wchodzę teraz w użyte przez Frydego argumenty, wystarczy że powiem krótko (nie bez bólu wywołanego odruchem wierności w przyjaźni): były dość powierzchowne, słabo uzasadnione, miały w sumie charakter inteligentnej co prawda, niesprawiedliwej jednak i miejscami małodusznej „rozprawy” z Brzozowskim. I co najistotniejsze tutaj — zbyt pośpiesznie uwalniały czytelnika od poczucia „polskiej tragedii” w „filozoficznych wzruszeniach” i „nie dobrej szkole myślenia” Brzozowskiego (oba określenia Frydego). Pisząc zaraz po wojnie przedmowę do *Filozofii romantyzmu polskiego* Brzozowskiego, odszedłem świadomie lub podświadomie od kategorycznej postawy mojego przedwojennego nauczyciela. Na tę przedmowę powołał się, w konkretnej kwestii anektowania przed wojną Brzozowskiego przez pravicę, Miłosz w swoim *Człowieku wśród skorpionów*.

Brzozowski jako wychowawca Frydego nie pozostał bez odpowiedzi. W jednym z następnych numerów *Ateneum* w tymże roku 1938 zareagował ostro Kazimierz Wyka artykułem *Broń złudzeń i broń rzeczywistości*, który wydrukowano wraz z repliką Frydego. Dziś widzę, że Wyka miał rację, że to on był po stronie „rzeczywistości”, a mój nauczyciel po stronie „złudzeń”. Bo Wyka doceniał wagę zmysłu historycznego Brzozowskiego i jego ścisły związek z „polską tragedią”. W końcowej replice Frydego

wzywał swego oponenta do „walki z cieniem, który go skępował, ogromnym cieniem Brzozowskiego”. Jak walczyć z cieniem, rzędającym albo gęstniejącym, lecz wciąż powracającym? Jak odwrócić oczy od polskich „przeklętych problemów”?

17 września

Z dwudniowej sesji o moim pisarstwie w Kole Polonistów na KUL-u mam przed sobą tylko jeden tekst: analizę moich opowiadań (w powiązaniu z dziennikiem) pióra Włodzimierza Boleckiego. Są one, według Boleckiego, „próbą zapisywania milczenia”. Określenie trafne i subtelne, poparte twierdzeniem, że „owo milczenie jest skierowane przeciw „wielosłowności” literatury, jest krytyką tkwiącej w niej pokusy ekspresjonizmu, która powoduje że kaskadzie słów nie towarzyszy refleksja w sprawach zasadniczej wagi moralnej, filozoficznej czy politycznej”. Tekst Boleckiego uprzytomnił mi raz jeszcze, jak dalece wrażliwość krytyka odstawiana przed samym pisarzem nie w pełni uświadomione cechy jego pisarstwa. Wszystko układa się naraz w pewien wzór, drobne płytki wpadają na swoje miejsca, co było owocem niejasnej intuicji, cichego podszeptu, staje się częścią wyraźnego, przez pisarza jedynie (i dość mgliście) przeczuwanego, rysunku. Bolecki stawia moje pisarstwo „na antypodach trzech tradycji, które do dziś silnie wpływają na współczesną literaturę polską: tradycji ekspresjonistycznej, gdyż zdaniem pisarza grozi manieryzmem apokaliptycznym; tradycji lirycznej, bo prowadzić może do ckliwego sentymentalizmu; tradycji gawędziarskiej, łatwo zamieniającej się w niekontrolowane wielosłowie”.

Równie subtelny i odkrywczy (dla mnie) jest szkic Leszka Szarugi o moim pisarstwie w *Kontakcie*. Szaruga zaokrąglą jakby w sposób bardzo wnikliwy, łącząc moje opowiadania i z dziennikiem i z *Innym Światem*, uwagę Boleckiego o odejściu od trzech tradycji współczesnej literatury polskiej: „Pisarstwo to przeciwstawia obrazowi totalitarnego „innego świata” system wartości, w którym możliwe staje się nadanie sensu rzeczywistości w odpowiedzi na okrzyk Dostojewskiego „Skoro Boga nie ma, wszystko wolno”. Odpowiedź ta może wydać się na pierwszy rzut oka paradoksalna: zaprzeczeniem postawy totalitarnej jest w tej twórczości formuła pisarstwa klasycystycznego”.

22 września

Z Jarosławem Iwazkiewiczem zetknąłem się osobiście na którymś z kongresów PEN-Klubu w pierwszej połowie lat pięć-

dziesiątych, pod koniec „epoki kultu jednostki”. Mówił na posiedzeniu gładkie głupstwem tonem „mądrego i bywałego Euro-pejczyka”. Nie zareagowałem na nie publicznie, nie mając prawa głosu (byłem tam w roli korespondenta radiowego, a nie delegata), wytknąłem mu je natomiast w kularach po posiedzeniu. Spurpurowiał, wpadł w gniew, stojących obok członków delegacji z Warszawy ostrzegł przed kontaktami i rozmowami ze mną. Ostrzeżenia były widocznie jego specjalnością, bo wrócił do nich w innym gronie i w innych okolicznościach u progu „odwilży”, na szwajcarskim spotkaniu redaktorów wielkich miesięczników „zachodnich” i „wschodnich”. Iwaszkiewicz reprezentował *Twórczość*, z Moskwy przyjechał Czakowski, wśród przedstawicieli miesięczników „zachodnich” byli na spotkaniu Ignazio Silone i Nicola Chiaromonte, redaktorzy *Tempo Presente*. Iwaszkiewicz ostrzegł ich publicznie przede mną jako „stronniczym” i „niewiarygodnym” komentatorem spraw polskich w włoskim miesięczniku. W odpowiedzi na to gwałtowne podobno wystąpienie Silone otworzył przed nim łamy *Tempo Presente*, jeśli zechce sprostować czy przygwoździć moje „niegodne wiary” i „tendencyjne” komentarze. Iwaszkiewicz nie skorzystał z oferty, dając nawet do zrozumienia, że jakakolwiek polemika ze mną byłaby poniżej jego pisarskiej rangi. Minęło kilka lat, „odwilż” była w rozkwicie. Ilekroć wybierałem się wtedy z Neapolu na krótko do Rzymu, zatrzymywałem się u Reny Jeleńskiej, która w swoim mieszkaniu na Zatybrzu miała dwa pokoje do wynajęcia. Któregoś dnia przyjechałem bez zapowiedzi, okazało się że jeden pokój zajmują świeżo z Warszawy przybyli państwo Iwaszkiewiczowie. Rozlokowałem się w drugim i popędziłem do miasta za swoimi sprawami. Rena, od niepamiętnych czasów zaprzyjaźniona z Iwaszkiewiczami, szepnęła mi nazajutrz rano, że „na życzenie i naleganie wręcz Jarosława” zaprasza mnie na popołudniową herbatę z Iwaszkiewiczami, błagając bym nie odmawiał. Gdy po południu wszedłem lekko-spóźniony na tę herbatę do pokoju Reny, rozpromieniony Iwaszkiewicz wstał i otworzył ramiona ze słowami: „Tak bardzo chciałem pana poznać, jestem pana uważnym czytelnikiem”. Nic nie pomagało moje przypomnienie, że poznaliśmy się przecież na kongresie PEN-Klubu. „Ależ skądże, pomylił mnie pan z kimś innym”, jakby można było pisarza tej rangi z kimkolwiek pomylić... Ten casus ostrej amnezji dawał mi potem często dużo do myślenia jako przypuszczalny produkt zaburzeń psychologicznych w ustroju totalitarnym.

Daje mi znowu do myślenia teraz, gdy Ziemowit Fedeki w majowej *Twórczości* dobiera się do mnie w *rugatielnyj* sposób za to, że w mojej rozmowie z Beatą Chmiel na łamach *Przeglądu Powszechnego* uczyniłem go winnym utracenia polskiego wydania *Doktora Żiwago* w październikowym okresie znacznych swo-

bód wydawniczych w Warszawie. Czyli że jeden z nas dwóch zniekształcił przez zapomnienie naszą rozmowę w Neopolu o powieści Pasternaka. Kto? Fedeki czy ja? Zdaniem Fedeckiego ja, oskarżony obecnie o „pyskówkę” i „donos”. Ale trudno chyba położyć na karb *mojej* amnezji rozmowę, w której u szczytu powodzenia *Doktora Żiwago* na całym (z wyjątkiem ojczyzny autora i demoludowych przyległości) świecie pada z ust warszawskiego znawcy literatury rosyjskiej i przyjaciela Pasternaka określenie „chała”. „I panu się ta chała podoba? — dziwił się Fedeki. — Nie do wiary, nie do wiary”. Ciekawych dokładniejszego przebiegu naszej rozmowy neapolitańskiej odsyłam do pierwszego tomu *mojego* dziennika (zapis z 27 marca 1971). Zresztą odwołajmy się do miarodajnego arbitra w naszym amnezycznym sporze: „Wiadomość o przyznaniu nagrody Nobla dla Pasternaka, Borysa oczywiście. Oczywiście, cała historia zmontowana była wyłącznie jako heca polityczna. Wspomniałem, że przed rokiem rękopis gościł w Polsce, miał go bardzo przychylny autorowi człowiek. Mógł wydać całość, nie wydał, bo uznał że nuda, i nawet autorowi coś w tym rodzaju powiedział. Wydrukował tylko fragment”. To urywek wspomnień Putramenta, zatytułowany *Heca z Pasternakiem*, w *Miesięczniku Literackim* z marca 1971. Kogóż to miał na myśli Putrament, pisząc o „przychylnym Pasternakowi człowieku”?

29 września

Podczas kręcenia filmu o *Kulturze* Agnieszka Holland zapytała mnie w „antrakcie”, czy zgodziłbym się na sfilmowanie dla telewizji *mojej* „noweli kryminalnej” *Siedem śmierci Maksyma Gorkiego*. Zgodziłem się, rzecz jasna, ale najwidoczniej inne projekty zbyt zaprzętnęły wyobraźnię reżyserki, bo do pomysłu filmu telewizyjnego o śmierci Gorkiego już nie powróciła. Zresztą jej propozycja padła przed erą *głasności*, wątpię więc czy znalazłaby aprobatę w którejś z telewizji zachodnich. Dziś wygląda to inaczej. Jestem przekonany, że w Moskwie — jeśli zwycięscy przeciwnicy Gorbaczowa nie zatrabią tam do odwrotu — tajemnica śmierci Gorkiego doczeka się wreszcie wyjaśnienia. Otworzył się i trwa sezon urodzaju dla adeptów — historycznych, literackich, teatralnych i filmowych — kremlowskiej kryminalistyki. Lekki posmak „dreszczowca” ma, na przykład, historia filmu Eisensteina o Iwanie Groźnym. Widać to z osobliwego stenogramu, ogłoszonego w *Moskowskich Nowostiach*.

O jedenastej w nocy 25 lutego 1947 roku Poskrebyszew, sekretarz *genseka*, wprowadza do sali na Kremlu reżysera filmu i odtwórcę roli tytułowej, Czerkasowa. Za stołem siedzą Stalin,

Mołotow i Żdanow. Zaczyna się scena jak z *Mistrza i Małgorzaty* Bułgakowa. Trzeba tu wtrącić, że pierwsza część Iwana Groźnego podobała się Stalinowi i przyniosła Eisensteinowi nagrodę stalinowską. Scenariusz drugiej części wywołał u Wodza groźne zmarszczenie brwi. Nie odpowiedział na list Eisensteina dołączony do scenariusza, wołał sprawę „przedyskutować” *viva voce*.

Zagaja Stalin: „Towarzyszu Eisenstein, pokazaliście *opricziny* w sposób niewłaściwy. *Opriczina* była, armią cara, wojskiem regularnym, postępowym. W waszym filmie natomiast robi wrażenie Ku-Klux-Klanu”. Eisenstein ośmiela się przerwać: „Członkowie Ku-Klux-Klanu noszą białe kaptury, w moim filmie *opriczniki* występują w czarnych kapturach”. Żdanow zauważa słusznie: „Różnica mało istotna”. Stalin: „Wasz car, towarzyszu Eisenstein, jest niezdecydowany, przypomina Hamleta. A przecież Iwan Groźny był wielkim i mądrym władcą, przerastał Ludwika XI o dziesięć głów. Umiał zachować narodowy punkt widzenia, nie wpuszczał cudzoziemców do Rosji, uchronił kraj przed przenikaniem obcych wpływów. Piotr I był także wielkim carem, lecz za bardzo liberalnym wobec cudzoziemców, dopuścił do germanizacji Rosji. Jeszcze dalej posunęła się Katarzyna, a dwory Aleksandra I i Mikołaja I czyż były dworami rosyjskimi? Nie. Były dworami niemieckimi. Poza tym Iwan Groźny miał ogromną zasługę: pierwszy wprowadził monopol handlu zagranicznego. On był pierwszy, Lenin drugi”.

Amatorzy artystycznego opracowania tematu „władca i reżyser” powinni położyć nacisk na kilka jeszcze wątków w kremłowskim spotkaniu. Stalin: „Iwan Groźny był niezmiernie okrutny. Wolno w filmie pokazać, że był okrutny. Ale trzeba widzowi uprzytomnić, dlaczego musiał być okrutny. Jednym z błędów Iwana Groźnego było to, że nie wymordował do końca pięciu wielkich rodów bojarских. Zabijał, a potem modlił się i długo bił w piersi skruszony. Bóg był dla niego zawadą w tym dziele. Należało być jeszcze bardziej stanowczym”. Mołotow upomina się o „sprawiedliwe światło historyczne”: „Nie można drwić z chrztu Rosji, który w owej odległej epoce był zjawiskiem postępowym”. Tu Stalin: „Naturalnie nie jesteśmy zanadto przykładnymi chrześcijanami. Nie da się jednak przekreślić postępowej roli chrześcijaństwa w pewnej określonej fazie historycznej”. Co nie przeszkadza, powiada Żdanow, że reżyser zapatrzył się z nadmierną delektacją w obrzędy religijne. Zabarwiając film, dorzuca Mołotow, przesadnym mistycyzmem. Wracamy do ważnego problemu *opricziny*. Stalin: „Kiedy tańczą *opriczniki*, stają się podobni do ludożerców, przypominają Fenicjan czy Babilończyków”. Odzywa się sławny aktor Czerkasow: „W naszym scenariuszu jest scena, w której Maluta Skuratow dusi metropolicę Filipa. Zachować ją?”. Stalin: „Tak, jest historycznie ścisła

i prawdziwa". Uzupełnia go Mołotow: „W ogóle można i należy pokazywać represje, ale z podkreśleniem w czyim imieniu były dokonywane, dlaczego okazywały się konieczne. Czyli trzeba uwypuklić mądre kierownictwo spraw państwowych”. Zdanow bierze w obronę Malutę Skuratowa: „W waszym filmie jest pajacem, rzecz niedopuszczalna”. I karcii reżysera: „Wy, towarzyszu Eisenstein, lubujecie się przesadnie w cieniach, odciągacie publiczność od akcji filmu brodą cara. Iwan Groźny podnosi za często głowę, aby widać było lepiej jego brodę”. Eisenstein: „Przytnę carowi brodę”. Stalin: „Niech wam Bóg dopomóż”.

Scenariusz drugiej części filmu nie został nigdy poprawiony. Eisenstein umarł w rok po rozmowie na Kremlu. Film wszedł na ekrany po Dwudziestym Zjeździe.

Neapol, 7 października

Wczoraj przeczytałem w *Corriere* streszczenie godzinnej dyskusji telewizyjnej czterech dziennikarzy francuskich z kardynałem Lustigerem na temat filmu Martina Scorsese *Ostatnie kuszenie Chrystusa*. Z dyskusji wynika, że mądry kardynał zdecydował się wreszcie zobaczyć film, co na szczęście anuluje przykre wrażenie jego pierwszego potępienia „na niewidziane”. Anatomia trwa dalej, jest niewzruszona i surowa, ale oparta teraz przynajmniej na znajomości kontrowersyjnego przedmiotu. Kardynał Lustiger, gdy dyskutanci zwracają mu uwagę że Scorsese nie czerpał w swoim filmie inspiracji z Ewangelii i wyraźnie to na wstępie zaznaczył, odpowiada: „Wiem, nie w tym jednak rzecz. W XVI stuleciu, ilustrując i objaśniając kulturę nowoczesną, odwoływano się do mitologii antycznej. W naszych czasach Freud starał się przeniknąć sekrety ducha ludzkiego za pomocą kompleksu Edypa. Lecz Chrystus i Ewangelia nie należą do mitologii. Przekraczając *sacrum*, Scorsese obraził uczucia milionów wierzących”. Na pytanie, czy kardynał doznał wstrząsu na widok seksualności emanującej z postaci Chrystusa w *Ostatnim kuszeniu*, pada odpowiedź: „Kościół katolicki nie występuje przeciw filmowi Scorsese z racji seksualności Chrystusa. Obraża nas w tym obrazie życia Chrystusa brak respektu dla prawdy objawionej”.

Widziałem film Scorsese w Londynie dziesięć dni temu. Według mnie jedynym sensownym i istotnym kryterium w ocenie utworów, które ukradkiem lub wprost zaglądają w twarz Chrystusowi i pochylają się nad źródłami chrześcijaństwa, jest stopień ich *powagi*. Jak śmiecie odpadają tylko sensacjonalistyczne prowokacje bluźnierczo-świętokradcze z jednej strony, a lukrowano-różane hagiografie z drugiej. Utwory poważne poruszają się zawsze w strefie *granicznej*, Chrystusa i chrześcijaństwo usiłują pod-

dać próbie refleksji i wyobraźni, nie mogą zatem oddalać się całkowicie od „mitologii”. W dziedzinie filmu wielki Dreyer, po nakręceniu *Kart z Księgi Szatana*, przygotowywał się przed śmiercią do Jezusa. Pasolini dał własną wizję *Ewangelii według Mateusza*. W literaturze mamy szeroki wachlarz od spojrzeń „w duchu Oświecenia” (dla mnie dość pustych i jałowych, choć niekiedy bystrych i przenikliwych) do zmagania się i udręka „duszy religijnej”. Wariant „oświeceniowy” narodzin chrześcijaństwa zaproponowali Anatol France i Roger Caillois w nowelach o Poncjuszu Piłacie. „Poemat-legenda” Iwana Karamazowa *Wielki Inkwizytor* był religijnym krzykiem serca Dostojewskiego. D. H. Lawrence, autor *Kochanka Lady Chatterley*, przesunął chrześcijaństwo i Chrystusa, w polemice z *Wielkim Inkwizytorem*, na płaszczyznę radości „ziemskości” i „cielesności”. Coś podobnego zrobił Rozanow. Symbolem moralnym i egzystencjalnym jest Jezua Hanozri z *Mistrza i Małgorzaty* Bułgakowa. Linia „duszy religijnej”, ocierająca się nieuchronnie o „mitologię”, dochodzi do głosu w moim *Drugim Przysięciu* (jeśli wolno powołać się także nie-skrómnie na własne opowiadanie).

W filmie Scorsese — powiada trafnie recenzent *New York Review of Books* — kołacze się ambicja „przemyslenia na nowo transcendencji cierpienia”. Są w nim sceny sugestywne, nawet piękne, i sceny kiczowate. Ale wyrządza się małodusznie krzywdę amerykańsko-włoskiemu reżyserowi, nie dostrzegając w nim powagi właśnie i nieustannego napięcia religijnego.

10 października

Jaka szkoda, że pisząc krótki tekst o „kamieniu filozoficznym” i o przygodach hrabiego Cagliostro, nie znałem nowej książki Leszka Kołakowskiego *Metaphysical Horror*. Jej pierwsze zdanie brzmi: „Nowoczesny filozof, który nigdy nie doświadczył uczucia że jest szarlatanem, ma umysł tak płytki, że jego dzieła nie są prawdopodobnie warte czytania”. Czyż można sobie wymarzyć lepsze motto do profilu największego, w opinii wielu historyków, szarlatana filozoficznego epoki nowożytnej?

Nawet nie posiadając wykształcenia filozoficznego, czytając filozofów rzadko i zapominając ich szybko, za każdym razem smakuję lekturę Kołakowskiego. Jasność i precyzja wykładu, elegancja stylu, tu i ówdzie zbawienna szczypta humoru, niezwykła zdolność równoczesnej analizy „od środka” i postawy „lekką z boku”. Filozof filozofuje i nie przestaje ani na chwilę rozmyślać krytycznie o filozofowaniu. Na stu dwudziestu zaledwie stronkach swojej ostatniej książki Kołakowski wprowadza czytelnika w gąszcz „horroru metafizycznego” dla uprzytomnienia mu kło-

potów z filozofią. Przedstawia na początku pogląd Jaspersa, który miłość filozofów do mądrości uważał za „nie do skonsumowania”, a pozorne „skonsumowanie” za iluzję. Po co więc szukać, po co ściagać daremnie „prawdę absolutną”? Gdyż ważne jest samo poszukiwanie; choćby nieudane, zmienia radykalnie nasze życie. Nie potrafimy przeniknąć tajemnicy, łudzimy się że da się przekształcić ją w wiedzę, ale istotna jest świadomość istnienia tajemnicy. Jakkolwiek nie zedrzymy zasłony z rzeczywistości ostatecznej, powinniśmy wiedzieć że jest taka zasłona.

Pod koniec książki Kołakowski wraca do tego motywu. Nigdy nie pozbedziemy się pokusy postrzegania wszechświata jako sekretnego pisma, usiłując uporczywie znaleźć do niego klucz. Błogosławiona pokusa, żywe źródło wszystkich cywilizacji. Lecz w naturze sekretnego pisma bogów tkwi jego niemożliwa do odcyfrowania, mimo nieustannych wysiłków i prób, hieroglificzność.

Ożywcze tchnienie na gruzach „skończonych systemów filozoficznych”, tak mi bliskie, tak podobne do przekonań, myśli i intuicji moich ulubionych pisarzy.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

KULTURA I JEJ KRĄG

Les amis de Kultura, Paryż, 1988, str. 203.

Pierwsza historia Instytutu Literackiego
i przedstawienie jego dorobku: katalog-album
z okazji wystawy Czterdziestolecia

Zawiera:

- biogramy twórców Instytutu Literackiego, jego czołowych współpracowników i autorów;
- 10 szkiców o historii Instytutu Literackiego, jego działalności wydawniczej, wkładzie do literatury polskiej i światowej, stanowisku wobec najważniejszych problemów życia narodowego, związkach z krajem;
- 120 ilustracji, w tym wiele nieznanymi fotografiami i dokumentów;
- pełny spis autorów „KULTURY”.

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich oraz
na zamówienie w Instytucie Literackim.

Nakład ograniczony.

Cena 380 F.

Wiersze

Tadeusz CHABROWSKI

MÓWIĄ, ŻE

*W czasie pogrzebu świętej Elżbiety z Turynii
pobożny lud poobrywał kawałki chusty,
w którą owinięte były zwłoki błogosławionej,*

*ze Panny z klasztoru świętego Benedykta
obcięły jej włosy i paznokcie,
uszy i brodawki na piersiach,*

*ze prałaci,
którym udało się ukryć nogę świętej w katedrze,
podzielili ją na sto czterdzieści cztery części
po zjedzeniu stypy,*

*ze po roku we wszystkich stolicach Europy,
będzie można każdą jej kosteczkę
sprzedać na wagę złota.*

PSALM 84

*Boję się Ciebie Wszechmogący Boże
jak mysz kościelna. Boję się gradowego snu
Twoich oczu otwartych szeroko jak okna.
Na twarzy Twojej jakby przybyło pagórków,
płan rdzawych i zmarszczek i żył.*

*Ale nim ręka mi w tym wierszu ugrzęźnie
 chcę we włosach Twoich policzyć gwiazdy
 oznaczone odrębną literą i cyfrą.
 Chcę wyrwać samogłoski przeciągłe z gardła
 otulonego ciszą i półmrokiem.*

*Jesteś Wiekuisty swoich stworzeń złotą
 stroną medalu. Płatki rozdieram i rzucam
 na rozpostartą chmurę Twojego płaszcza.*

Tadeusz CHABROWSKI

Rafał GRUPIŃSKI

POECI KOŃCA WIEKU

*W stolicach naszych zdań palą się ofiarne
 ogniska złotych myśli
 ulicami
 tłoczą się przechodnie, w ich dojrzałych
 decyzjach tlą się złociste jabłka
 dzieciństwa
 we wszystkich ociemniałych ramionach tego ciała
 mienia się
 czerwienne sznureczki krwi
 w domach, których
 imiona rejestruje właściciel sennego ogrodu
 sumienia
 ciche zwierzęta sadowią się
 wśród ludzi i głoszą przy stole
 modlitwę niezmierności*

*w rodzinnym niebie
 wysoko
 upada anioł ich narastającego krzyku, ciemny wiatr
 podejmuje smolne szczapy pachnące lasami wschodu
 w ogniki tańca,
 w czarnej wodzie piwnic
 łowi nas świetlista pętla
 strachu*

Ewa LIPSKA

TU PRACUJĘ

Tu pracuję. Na wschodzie Europy.
 W otoczeniu psów. Małych i niezgrabnych.
 Ludzi smutnych albo pijanych.
 Albo tragicznych jak u Augusta Strindberga.
 Na biurku konserwa wiersza.
 Rękawiczka. Listy. W oknie atrament.
 Na środku pokoju fotel
 z grobu Tutanchamona.
 Oddycha jeszcze papier
 ale ciężko. Z nitrogliceryną.
 Mój czas. Moje ciało. Moje życie.
 Wszystko do jednorazowego użycia
 tak jak suknia z papieru albo serwetka.
 Pewny jest jedynie cień w rogu pokoju.
 Powiększająca się od lat
 czarna taksówka.

 MŁODY NIEMIEC NA SPOTKANIU
 AUTORSKIM

Nazywam się Albrecht Dürer
 ale nie jestem malarzem.
 Nie napisałem książki o fortyfikacji zamków
 ani o ludzkich proporcjach.
 13 typów męskich 13 typów kobiecych
 Mieszkam w miasteczku Marburg na Augustinergasse.
 Duch Gottfrieda Benna sprzedaje tu teraz wędliny.
 Należę do partii zielonych. Mam 35 lat.
 Pojechałem do Oświęcimia.
 Nożykiem do konserw otwierałem przeszłość.
 Nie chcę umorzyć historii
 chociaż jestem prawnikiem.
 Nie chcę być stale winnym
 dlatego że jestem Niemcem.
 Czasami śnią mi się składnice złomu.
 Balustrady nad przepaściami.
 Widziałem z bliska komunizm.
 Czerwone gwiazdki na zapleśniałym niebie.
 Na drzewach zamiast liści
 kołysały się szare płaszcze.

*Tresowałem gotówki pokoju.
Czy pani sądzi że ludzkość jest niepoczytalna?
Niepoczytalni są przecież nieczytelni.*

ZWIERZENIA RACJONALISTY

*Nie chodzę do kościoła.
Z Panem Bogiem spotykam się u krawca
Szyjemy sobie taki sam grób.*

TEJ NOCY BYŁAM MORDERCĄ

*Tej nocy byłem mordercą.
Ofiara się nie broniła. Nie znam jej.
Może nawet czekała na śmiertelny cios.
Podarowałam jej wieniec z różową kokardką.
Nie zdążyłam jej wynieść ze stromego snu.
Kilka razy upadłam zbiegając na cmentarz.
Umarli byli zdziwieni że nie zjechałam na sankach
kiedy dokoła biało jakby wylano śmietaną.
Na torze bobslejowym leżała podświadomość.
Nikt jej nie mógł przejechać
ponieważ właśnie odbywało się święto zbawienia.*

ŻYCIORYS

*Moje dzieciństwo zostało w komisie meblowym.
W szufladach etażerek komód szaf.
Hotel w którym się urodziłem
zamieniony został na dom starców.
Dom starców zamieniony został na pożar.
Moje życie jest jak noc
w fabryce traktorów.
Puste hale. Przechodnie pokoje Europy.
Obcokrajowiec w wypchanym powietrzu.
Wołanie o ratunek
byłoby zwykłą nieostrożnością.
Powoływanie się na rozum
uproszczeniem.
Ale kiedyś zostanę terrorystą
i porwę swój kraj.
Od tej myśli nie powstrzyma mnie nawet
piorunochron.*

Ewa LIPSKA

Archiwum polityczne

Rozmowa z Robertem Conquestem

SCHYŁEK SOWIECKIEGO IMPERIUM?

Robert Conquest jest znanym angielskim historykiem, autorem licznych prac z historii Związku Sowieckiego (*The Great Terror, Power and Policy in the USSR, The Pasternak Affair, Kołyma, V. I. Lenin, The Nation Killers, Inside Stalin's Secret Police, The Harvest of Sorrow*), sześciu tomików poezji, zbioru krytyki literackiej oraz dwóch powieści. Jako Senior Research Fellow i Scholar-Curator, Conquest zajmuje się zbiorami rosyjskimi i wschodnioeuropejskimi w Instytucie im. Herberta Hoovera na uniwersytecie w Stanfordzie. „Wielki Terror”, najstynniejsza książka Roberta Conquesta, ukaże się po polsku nakładem wydawnictwa Spotkania.

ROBERT KOSTRZEWA: — *Większość Pana studiów historycznych o Związku Sowieckim dotyczy okresu stalinowskiego. Jest Pan nawiasem mówiąc jednym z rzetelniejszych historyków stalinizmu. W jaki sposób stalinizm zaciążył na dziejach Związku Sowieckiego? Które z elementów stalinizmu stały się trwałą częścią sowieckiego systemu?*

ROBERT CONQUEST: — Problem ten jest dosyć złożony. Po pierwsze model stalinowski zachowany został w gospodarce. System nakazowy gospodarki sowieckiej jest dzisiaj przedmiotem krytyki nie tylko na Zachodzie, ale również w samym Związku Sowieckim. Sowieccy ekonomiści otwarcie przyznają, że gospodarka oparta na przymusie doprowadziła kraj do ruiny. Szczególnie chodzi tu oczywiście o okres kolektywizacji i zupełne załamanie się rolnictwa. Fakt ten miał niewątpliwie ogromny wpływ na dalsze dzieje sowieckiego państwa.

Jest jednak inny element stalinizmu, którego znaczenie jest o wiele donioślejsze. Mam tu oczywiście na myśli przeogromny wpływ a jednocześnie piętno, jakie odcisnął w umysłach obywateli sowieckich stalinowski terror. Okres terroru analizuje się na Zachodzie z reguły w kategoriach czysto politycznych. Odwraca to uwagę od kwestii zasadniczej, a mianowicie od tego, jak wielki był wpływ terroru na zbiorową świadomość narodu sowieckiego. Wymordowanie milionów ludzi i wysyłanie dalších milionów na powolną śmierć w obozach to jednocześnie wdeptanie w ziemię reszty społeczeństwa. Społeczeństwo sowieckie nie otrząsnęło się jeszcze z tego całkowicie. W prasie sowieckiej mówi się zresztą dziś i o tym. Sytuacja kiedy każdy, czy to w rodzinie czy to wśród przyjaciół, miał kogoś kto został zamordowany lub zmaltretowany w sowieckich więzieniach i obozach jest bardzo podobna do sytuacji wojennej. W końcu w czasach stalinowskich zginęło w Sowietach więcej ludzi niż we wszystkich krajach uczestniczących w pierwszej wojnie światowej razem wziętych. Dużo więcej. Nie jest to zresztą w historii zupełnie nowe zjawisko. Niemcy z wojny trzydziestoletniej w pełni otrząsnęli się dopiero po kilkuset latach. W czasach stalinowskich społeczeństwo sowieckie uległo całkowitej deformacji, zmieniło się w masę, która nie potrafi normalnie myśleć i odczuwać, dla której zwykle przetrwanie jest wartością najważniejszą.

Kolejnym dziedzictwem stalinizmu jest aparat, który doszedł wtedy do władzy. Mam na myśli szczególnie zwyrodniałą rasę drugorzędnych aparatczyków, którzy osiągnęli swą pozycję dzięki donosicielstwu i zupełnej służalczości wobec partyjnej wierzuszki. Myślę, że nie docenia się roli, jaką zawsze odgrywał niższy aparat. Króluje tam niezmiennie kłamstwo i groteskowy, bo na bardzo niskich szczeblach władzy, absolutny dogmatyzm. W końcu stalinizm w swej warstwie ideologicznej był zarówno Wielkim Fałszerstwem jak i małym prymitywnym kłamstwem. Przyczyniło się to zresztą w dużym stopniu do upadku sowieckiej gospodarki. Sami przywódcy kremłowscy, a szczególnie sowieccy ekonomiści, przyznają, że kłamstwo stało się nieodłączną częścią systemu. Zwyczaj fałszowania danych statystycznych doprowadził do sytuacji, w której nikt już nie ma w Związku sowieckim pojęcia, jaka jest prawda.

Piętno stalinizmu jest więc ogromne. Przeczytałem ostatnio w sowieckiej prasie artykuł, w którym autor dochodzi do wniosku, że Stalin wcale nie umarł trzydzieści pięć lat temu, tylko wczoraj. Bardzo trudno jest zerwać z przeszłością.

R.K.: — *Fakt, że Sowietci przyznają się dziś oficjalnie do niektórych zbrodni popełnionych w ciągu siedemdziesięciu latniej już historii władzy komunistycznej, niezmiernie cieszy wielu ludzi,*

szczególnie na Zachodzie. Głośność jest jednak bardzo dziwnym zjawiskiem. O niektórych faktach czy problemach z sowieckiej historii, o których nikomu nie śniło się wspomnieć jeszcze rok temu, dyskutuje się dziś w oficjalnej prasie, o innych mówi się mało lub półgębkiem, a jeszcze inne bardzo konsekwentnie się przemilcza. Jakie są te „najstraszniejsze sekrety” Związku Sowieckiego? Na czym polega skomplikowany stosunek między głośnością a prawdą?

R.C.: — Atak na przeszłość, wpieryw na breżniewizm, potem na stalinizm, obliczony był na początku tylko na bardzo określone cele. Jeszcze rok temu mówiono wyłącznie o stagnacji i ogólnej głupocie rządów Breżniewa. Wspominano też czasem o terrorze stalinowskim. Potem przyszła kolej na krytykę kolektywizacji, nakazowego modelu w gospodarce i terroru wobec chłopów. Ostatnio, co prawda na małą skalę, ale jednak zaczyna się krytyka okresu przed Stalinem. W oficjalnych wypowiedziach przywódców sowieckich rządu Lenina traktowane były dotąd jak święta krowa. Trudno jest jednak utrzymywać mit nieskazitelnego Lenina, bo, jak wiadomo, popełnił on przynajmniej jeden błąd, a mianowicie nie pozbył się Stalina, który zasiadał w końcu w jego Politbiurze. Słyszy się też ostatnio krytykę polityki wobec chłopów w czasach bezpośrednio po rewolucji. Nie przychodzi to jednak łatwo. Zasadniczy problem polega na tym, że ujawnienie całej prawdy o przeszłości oznaczałoby krytykę całego systemu komunistycznego ze wszystkimi jego atrybutami, czyli również z rządami jednej partii. Nawet jeżeli dojdzie do tego, na co ma nadzieję np. Sołżenicyn, że system sowiecki przeobrazi się w jakąś formę autorytaryzmu, gdzie zostawia się społeczeństwu pewną swobodę, to i tak nie można przecież potępić Lenina dlatego, że wszelkie zmiany dokonywane są właśnie pod sztandarem leninizmu. Należy też pamiętać o tym, że okres leninowski nie jest zafałszowany w tym samym stopniu co czasy późniejsze. Pewne fakty są oczywiście wymazane również z historii leninizmu (nawet z wypowiedzi samego Lenina usunięto niewygodne fragmenty) ale w przypadku leninizmu nie miało to charakteru systematycznego fałszerstwa. Dla historyka odkrywanie prawdy o przeszłości jest według mnie ważniejsze niż interpretacja faktów już znanych. Rządy stalinowskie oprócz wielkiego terroru oparte były również na wielkim kłamstwie. Dlatego ogłoszenie całej prawdy o stalinizmie jest automatycznie jego oskarżeniem. A faktów, które należałoby ujawnić, jest w historii stalinizmu pod dostatkiem.

R.K.: — Czy mógłby Pan podać przykłady tzw. „białych plam” w historii Związku Sowieckiego? Jeśli pozostać przy eufemiz-

mach, to historię sowiecką należałoby raczej nazwać poplamionym prześcieradłem...

R.C.: — Odnosi się wrażenie, że Sowieci są już prawie gotowi do ujawnienia niektórych takich krwawych plam, tak jak mord polskich oficerów w Katyniu.

R.K.: — *Jan Pan zatem tłumaczy fakt, że oprócz mglistych aluzji nic konkretnego w tej sprawie nie zrobiono?*

R.C.: — Zna Pan oczywiście tę wersję, że Chruszczow chciał wiele lat temu ujawnić prawdę o Katyniu i że Gomułka się na to nie zgodził w obawie, że spowoduje to ogromny wybuch nienawiści Polaków. Z punktu widzenia Sowietów nie ma w tym wypadku dobrego rozwiązania. Mimo, że każdy Polak zna prawdę o Katyniu, oficjalne przyznanie się do winy mogłoby mieć zupełnie nieprzewidziane skutki. Była to przecież straszliwa zbrodnia. Trudność z Katyniem polega też pewnie na tym, że mord ten uznany został przez trybunał w Norymbierdze za zbrodnię wojenną. Jak wiadomo, zbrodnie wojenne nie podlegają przedawnieniu. Sowieci do dziś dnia oskarżają pojedynczych Ukraińców czy Estończyków o zbrodnie wojenne.

R.K.: — *Sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, bo oprócz prawnego i moralnego obowiązku ścigania zbrodniarzy wojennych jest jeszcze kwestia odszkodowań dla rodzin pomordowanych oficerów.*

R.C.: — Oczywiście. Nawiasem mówiąc, Sowieci nie są w stanie przyznać się nawet do mordów dokonanych na swoich własnych obywatelach, tak jak w przypadku odkrytych niedawno w Mińsku masowych mogił białoruskich. Ciekawe jest też to, że o najbardziej interesujących faktach dowiadujemy się dzisiaj nie od sowieckich historyków i nie z oficjalnych oświadczeń, a dzięki garstce dziennikarzy i pisarzy. Problem polega na tym, że nie mają oni dostępu do archiwów. Wiele opublikowano ostatnio na przykład o morderstwie Kirowa. Materiały te oparte są głównie na pamiętnikach Mikojana. Autorzy mieli jednak dostęp tylko do prywatnych pamiętników Mikojana, ale już nie do archiwów Politbiura i złożonych tam „oficjalnych” wspomnień Mikojana. Zasadniczym problemem jest też kwestia ujawnienia statystyk dotyczących terroru. Można przecież dość łatwo przyznać, że był terror. Ale co to znaczy terror? Terrorem nazwać można równie dobrze wymordowanie kilkunastu tysięcy ludzi, jak, powiedzmy, w Chile. Można wtedy oświadczyć, że bardzo nam przykro i że właściwie rzecz taka nie powinna mieć miejsca. Mord na wielu milionach to jednak nie to samo co zastrzelenie

kilkuset członków Komitetu Centralnego czy nawet egzekucja dalszych paruset oficerów wojska. *Glasnost'* przejawia się zatem ciągle w formie wręcz anegdotycznej. Są jednak pewne wyjątki. Przyznano na przykład, że spis ludności z 1939 roku był całkowitym fałszerstwem. W jednym z artykułów w prasie sowieckiej autor narzekał nawet, że specjaliści na Zachodzie ciągle używają sfałszowanych danych. Autor artykułu zwrócił uwagę na dwie wady spisu: po pierwsze nie uwzględniono w nim zgonów w więzieniach i obozach, po drugie Stalin ogłosił wyniki spisu zanim były one znane jego organizatorom. Ujawniono też ostatnio dane dotyczące deportacji kulaków w latach 1930-1932. Liczby podane przez Sowietów są nawet, trochę, wyższe niż moje własne obliczenia w książce na ten temat. Źródła sowieckie szacują deportacje na nie mniej niż 13 milionów ludzi, ja podałem 10-12 milionów. Dane sowieckie zgadzają się zatem z szacunkami zachodnich historyków. Oczywiście nie wszystkich zachodnich historyków, bo są przecież i tacy, którzy twierdzą, że w okresie kolektywizacji deportowano zaledwie kilkuset okropnych kulaków. Sowietci przyznali też, że w 1952 roku więziono w Gułagu 12 milionów ludzi. Inna ciekawa cyfra to 40 tysięcy egzekucji wykonanych tylko przez enkawudowską „trojkę”, tylko w Uzbekistanie i tylko w latach 1937-1938. Można na tej podstawie oszacować, że w tym samym okresie liczba egzekucji w całym Związku Sowieckim przekroczyła milion. Informacja ta pochodzi jednak z małego przypisu w pamiętniku i nie można nazwać tego mówieniem całej prawdy. Sowietom będzie jednak bardzo trudno ten proces odwrócić i udawać, że nic się nie stało. Wśród ujawnionych faktów znaleźć można relacje z tortur, tak jak w przypadku historii o pewnym oficerze NKWD na Kaukazie (który nawiasem mówiąc ciągle żyje i zajmuje nawet jakieś stanowisko naukowe), który ma na swoim koncie ponad 50 przypadków tortur, w tym dziewczyny, którą przesłuchiwał przez tydzień, a na koniec powiesił ją za włosy na haku w ścianie. Są to jednak tylko relacje o poszczególnych przypadkach, które nie mogą zastąpić całościowych badań demograficznych o czasach terroru. Zaczyna się też mówić ostatnio o okresie wielkiego głodu. Do niedawna było to zupełne tabu. Sowietci przyznają dziś, że w czasie głodu zginęły być może 4 miliony ludzi i że ci straszni zachodni antykomuniści szacują ofiary na 7 milionów. Jest to jednak pewna zmiana w porównaniu z okresem sprzed kilku lat, kiedy twierdzono, że coś takiego w ogóle nie miało miejsca.

R.K.: — *Każdy kolejny przywódca sowiecki staje przed tym samym zadaniem: jak sprawić, aby maszyna która nie może działać zadziałała? Najskuteczniejszym motorniczym był niewąt-*

pliwie Stalin. Nie zapominajmy jednak, że nie każdy ma do swojej dyspozycji tak szeroki wachlarz metod, jakimi posłużyć się mógł Józef Wissarionowicz. Następcy Stalina musieli wykazywać coraz większą pomysłowość. Ich zadanie stawało się z czasem coraz trudniejsze. Jaka jest Pana zdaniem recepta Gorbaczowa na bardzo poważne już dziś schorzenia komunizmu?

R.C.: — Gorbaczow, tak jak wielu przywódców sprawujących władzę w okresach przejściowych, jest pełen sprzeczności. Najbardziej dziwi mnie to, że przypisuje się mu dosłownie wszystko: prawidłowe rozpoznanie sowieckich problemów, krystalicznie jasny program reform i możliwości pozwalające wprowadzić te reformy w życie. Nie sposób wyobrazić sobie polityka zachodniego, który łączyłby w sobie taką wiedzę i tyle umiejętności nawet przy dużo skromniejszych celach politycznych. Większość opinii na temat zdolności Gorbaczowa jest więc całkowitą fantazją. Nawet sowieccy ekonomiści, którzy może najlepiej ze wszystkich rozumieją obecną sytuację, nie znaleźli jak dotąd zadowalającej recepty. Myślę, że reforma Gorbaczowa, w takiej formie w jakiej została dotychczas sformułowana, nie rozwiąże zasadniczego problemu, o którym wspominał Pan w swoim pytaniu. Za trzy lub cztery lata Gorbaczow, czy ktokolwiek inny na jego miejscu, kto prowadzić będzie podobną politykę, stanie przed wyborem jeszcze dalej idących zmian. Jest to zresztą bardzo charakterystyczne w okresach kryzysowych. Przypomina mi to sytuację we Francji w 1780 roku, kiedy Turgot wiedział dość dobrze, na czym polega problem i jakie należałoby zastosować rozwiązania, ale zupełnie nie był w stanie wprowadzić ich w życie. W Rosji reformy wprowadzane były zawsze odgórnie. Przywódcy sowieccy, obojętnie czy jest to Gorbaczow czy Liga-czow, rozumieją oczywiście samą potrzebę zmian. Ich podstawowym celem jest w końcu to, aby państwo sowieckie działało. Gorbaczowa porównać można do cyrkowca, który stojąc na linie jednocześnie stara się być poskromicielem niedźwiedzi. Lewituje on raczej niż chodzi po ziemi. Jedynym jak dotąd sukcesem Gorbaczowa jest *glasnost*. *Glasnost* była zaskoczeniem dla sowieckiego aparatu. Umożliwiło to ogłoszenie oczywistej prawdy, że system szwankuje i wymaga poważnych napraw. *Glasnosti* nie towarzyszy jednak żadna poważna reforma gospodarcza. *Pieriestrojka* jest więc jak dotąd jedną wielką fikcją. Kluczem do reformy jest oczywiście rozwiązanie kolchozów. Jeden z moich przyjaciół Rosjan odpowiada mi na to zawsze, że przecież w Polsce, gdzie nie ma kolchozów, sytuacja ekonomiczna jest równie katastrofalna. Kiedy jednak jedzie się z Polski do Sowietów, różnica widoczna jest gołym okiem. Po polskiej stronie granicy najmniejszy nawet kawałek ziemi wykorzystany jest pod uprawę,

po stronie sowieckiej zielsko i kamienie. W Rosji sytuacja ekonomiczna jest więc jeszcze gorsza. Co prawda Rosjanie są do tego bardziej od Polaków przyzwyczajeni, ale i w Sowietach dochodziło w przeszłości do zamieszek głodowych. Nawet dość niedawno, w latach 60-tych i 70-tych, czasami całe miasteczka opanowane były przez demonstrujący tłum. Pierwszym krokiem musi być zatem dekollektywizacja. Myślę zresztą, że kolchozy zostaną prędzej czy później rozwiązane.

R.K.: — *W ostatnich kilku latach mówi się coraz częściej o przyszłości krajów Europy wschodniej. Rozważane są szanse politycznej emancypacji sowieckich państw satelickich, mówi się o konieczności porozumienia międzynarodowego, które miałyby to nowe polityczne status quo zagwarantować. Czy Pana zdaniem jest na to realna szansa, czy też są to tylko marzenia wschodnich Europejczyków?*

R.C.: — Rozwój wydarzeń w Europie wschodniej jest oczywiście nieodłącznym elementem sytuacji w Związku Sowieckim. Europa wschodnia staje się szczególnie trudnym problemem w momentach kryzysowych, a już na pewno wtedy, gdy dochodzi do sowieckiej interwencji zbrojnej. Myślę, że w najlepszym wypadku spodziewać się można w państwach satelickich raczej stopniowych ustępstw rządów komunistycznych na rzecz społeczeństwa, niż jakichś bardziej radykalnych zmian. Trudno jest jednak przekonać na przykład Polaków, aby zgodzili się na częściową liberalizację czy częściową niepodległość, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Dlatego co pewien czas dochodzić będzie w tym czy innym kraju satelickim do politycznego wrzenia. Paradoksalne jest tylko to, że ostatnio niektóre wypowiedzi Moskwy na temat sytuacji w Polsce są rozsądniejsze niż oświadczenia polskiego rządu. Sowietci nie są jednak zainteresowani jakimiś zasadniczymi zmianami europejskiego *status quo*. Na pewno jeszcze nie teraz.

W wojsku a także w aparacie zajmującym się sprawami zagranicznymi słyszcy się natomiast coraz więcej głosów nawołujących do wycofania się Związku Sowieckiego na bardziej defensywne pozycje w innych częściach świata. Opowiadają się za tym nawet najwięksi rosyjscy nacjonalści. Jak wiadomo, nacjonalizmowi bliska jest, tak jak choćby w przypadku amerykańskiej prawicy, postawa izolacjonistyczna. Przywódcy sowieccy coraz częściej wypowiadają się przeciwko interwencji w krajach Trzeciego Świata. Padają argumenty, że to nie po marksistowsku i że kraje te powinny przejść wpierrw przez fazę kapitalizmu.

Jednocześnie sytuacja w Europie wschodniej staje się coraz bardziej zapalna. Głęboki kryzys ekonomiczny połączony z poli-

tycznym wrzeniem doprowadzić może w ciągu dwóch, trzech lat do bardzo poważnego wybuchu. Sowiecka dominacja w Europie wschodniej to czysta forma imperializmu: trzymamy się mocno i nie mamy zamiaru oddać tego co nasze. Jedynym wyjściem jest jednak stopniowe wycofanie się z państw satelickich. W innym wypadku prędzej czy później dojdzie w Europie wschodniej do katastrofy.

R.K.: — *Jesteśmy dzisiaj świadkami poważnych wstrząsów politycznych nie tylko w krajach Europy wschodniej, ale również w samym Związku Sowieckim. Problemem najbardziej zapalnym wydaje się być kwestia narodowościowa — tak jak w przypadku Armenii czy krajów bałtyckich. Czy sądzi Pan, że wydarzenia te świadczą o początku końca sowieckiego imperium?*

R.C.: — Jest to bardzo poważny problem wewnętrzny, z którym zmagali się wszyscy władcy rosyjscy, zarówno w czasach caratu jak i w Związku Sowieckim. Rosja okrojona do obszaru etnicznie rosyjskiego przestaje być wielkim mocarstwem. Wystarczy spojrzeć na mapę czy statystyki ludnościowe. Jeśli na przykład spełnić by żądania Estończyków, czyli przyznać im całkowitą autonomię teoretycznie utrzymując rządy komunistyczne, doprowadzić to może do reakcji łańcuchowej i rozpadu imperium. Problem polega na tym, że nawet estońscy komuniści opowiadają się za przyznaniem Estonii autonomii, protestują przeciwko rusyfikacji i żądają ujawnienia prawdy o pakcie sowiecko-nazistowskim, o jego tajnych klauzulach czy też o deportacjach Estończyków w latach 1940-1944.

R.K.: — *Mało mówi się natomiast o sytuacji na Ukrainie. Jak silne są dzisiaj na Ukrainie uczucia narodowe?*

R.C.: — Ktoś kiedyś powiedział, że imperium rosyjskie przetrwać może bez Polski czy Kaukazu, ale nie bez Ukrainy. *Glasnost* na Ukrainę właściwie nie dotarła. Nawet na Białorusi mówi się dziś więcej prawdy. Nie zapominajmy jednak o tym, że ujawnienie prawdy np. o okresie stalinowskim na Ukrainie jest jednoczesnym oskarżeniem zbrodniczego imperializmu Moskwy. Niemniej jednak zaczyna się coś w tej sprawie dziać. Jak już wspominałem, okres głodu przestał być absolutnym tabu. Wydaje mi się też, że Szczerbicki, który zawsze bardzo zaciekle tępił wszelkie przejawy ukraińskiego nacjonalizmu, zaczyna rozumieć, że karty narodowej użyć można w rozgrywkach z moskiewskim Politbiurem. Jeśli porozumienie między komunistami i nacjonalistami nie będzie całkowicie kierowane przez Moskwę, sojusz taki może być dla ukraińskich komunistów bardzo użyteczny — tak jak powiedzmy w przypadku polityki Ceausescu w Rumunii.

Jeśli chodzi o autentyczny ukraiński ruch narodowy, to jest on najsilniejszy na zachodniej Ukrainie. Związane to jest z odradzeniem się Kościoła unickiego. Wydawało się, że Kościół ten został całkowicie zniszczony. Okazuje się jednak, że na zachodniej Ukrainie są miliony potencjalnych wiernych. Nawet przy użyciu najbardziej brutalnych metod nie udało się Sowietom wypełnić uczuć religijnych właśnie dlatego, że są one tak silnie związane z uczuciami narodowymi.

Na głęboki kryzys sowieckiego systemu składa się oczywiście bardzo wiele czynników. Problemy narodowościowe są jednak dla imperium szczególnie niebezpieczne. Okazuje się, że komunizm nie jest w stanie zdławić uczuć narodowych. Nacjonalizm odradza się zresztą nie tylko w sowieckich republikach, ale także w krajach satelickich czy Jugosławii. Kwestie narodowościowe są więc dziś problemem najbardziej zapalnym. Próba zdławienia ruchów narodowych siłą na dłuższą metę nie rozwiązuje problemu. Związek Sowiecki stoi więc dziś przed alternatywą: radykalne zmiany albo nieuchronny upadek imperium.

R.K.: — *Chciałbym zakończyć naszą rozmowę uwagą natury osobistej. Poza tym, że jest Pan historykiem i powieściopisarzem, jest Pan również poetą i to z niemałym dorobkiem twórczym. Przyzna Pan, że połączenie sowietologii z poezją jest dosyć niezwykle...*

R.C.: — Aby zrozumieć istotę systemu sowieckiego czy istotę stalinizmu, potrzeba bardzo dużo wyobraźni. Ludzie na Zachodzie, którzy zajmują się zawodowo studiami sowieckimi, mają zupełnie mylne pojęcie o Związku Sowieckim głównie dlatego, że brakuje im wyobraźni na inny niż ich własny sposób myślenia. Większość tzw. sowietologów nie rozumie ani istoty komunizmu, ani nawet podstawowych różnic między systemem sowieckim a systemem demokratycznym. Poeci, w momentach kiedy nie piszą wierszy, są bardzo wnikliwymi badaczami rzeczywistości, zarówno przeszłości jak i dnia dzisiejszego. Poeta ma wyjątkowo silną potrzebę zrozumienia świata.

R.K.: — *Dziękuję Panu bardzo za rozmowę.*

Rozmawiał Robert KOSTRZEWA

Wywiady «Kultury»

Rozmowa z dr. Stanisławem Gomułką

MAREK KORAB: — *Kiedy w 1964 roku przygotowywał Pan razem z Kuroniem i Modzelewskim „Program klasy robotniczej”, był Pan jeszcze członkiem partii. Czym się Pan kierował wstępując do PZPR? Tradycjami rodzinnymi, przestankami ideowymi czy zwykłym oportunistycznym?*

STANISŁAW GOMUŁKA: — Tradycjami rodzinnymi na pewno nie, bo moi rodzice są wierzącymi katolikami i do partii nigdy nie należeli. Oportunistycznym też nie. Przez pierwsze lata studiów nie brałem udziału w żadnej działalności politycznej — miałem jeszcze w pamięci rok 1956, to od polityki odstręczało i nawet moja decyzja studiowania fizyki była próbą ucieczki od dramatycznych przeżyć roku '56. Do partii wstąpiłem pod koniec studiów, w styczniu 1962 roku, i przez rok byłem jej autentycznym, wiernym członkiem. Uważałem PZPR za jedyną partię z rozsądnym programem, która — tak się składa — jest równocześnie jedyną partią, która może w Polsce sprawować władzę, a więc jest naturalne, że każdy, kto chce prowadzić działalność polityczną, musi do PZPR należeć. We mnie akurat odżywały zainteresowania społeczne, ekonomiczne i polityczne, brałem udział w licznych debatach — co dalej? jakie reformy? jak daleko iść z tymi reformami? — i stopniowo moje zaufanie do partii malało. W 1964 roku nie miałem już wątpliwości, że z tym systemem należy walczyć.

M.K.: — *Sprawy gospodarcze uważał Pan wtedy za najważniejsze, tak? Stąd Pana decyzja wstąpienia na wydział ekonomii...*

S.K.: — Tak. Na początku lat sześćdziesiątych nastąpiło wyraźne wyhamowanie wzrostu gospodarczego Polski, trwał odwrót od

tw. idei Października. W kraju — a zwłaszcza w środowiskach uniwersyteckich, intelektualnych, wśród partyjnych rewizjonistów — narastał niepokój co do dalszego rozwoju polskiej gospodarki. Duże wrażenie wywarła opublikowana w 1961 roku książka Włodzimierza Brusa „Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej”. Choć pisana językiem marksistowskim, to jednak sugerowała, nawiązując do dyskusji prowadzonych w ZSSR w latach dwudziestych, potrzebę daleko idących reform. Osobiście w owych czasach byłem w sytuacji szczególnej, mogłem o tych sprawach rozmawiać z najwybitniejszymi polskimi ekonomistami: Kaleckim, Langem, Lipińskim, Brussem. Zostałem stażystą, a potem asystentem na wydziale Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego, w katedrze Oskara Langego, bez studiów ekonomicznych. Były to czasy ogromnego zainteresowania metodami matematycznymi w ekonomii i ja byłem jednym z nielicznych, który te metody rozumiał. A ponieważ poziom ekonomii był wtedy w Polsce niski, więc mogłem szybko nadrobić braki.

M.K.: — *Działalność naukową łączył Pan z działalnością polityczną, był Pan jednym z organizatorów klubu politycznego na Uniwersytecie Warszawskim.*

S.G.: — Wiosną 1963 roku zostałem wybrany do Komitetu Uczelnianego ZMS i do sekretariatu tego komitetu. Moim zadaniem było ożywienie dyskusji naukowych na terenie uniwersytetu. W ramach ZMS i poza nim. Pamiętam do dziś bardzo dramatyczne spotkanie w KC ZMS, w czasie którego Władysław Bieńkowski nawoływał wręcz do przeciwstawienia się starej generacji przywódców z Gomułką na czele, twierdził, że Polsce potrzebne są reformy i że tylko nowi, młodzi ludzie są w stanie taki program reform sformułować. Powstanie na UW Klubu Politycznego, któremu początkowo patronował ZMS i ja osobiście, jako członek sekretariatu do spraw ideologicznych i naukowych, było w pewnym sensie odpowiedzią na ten apel Bieńkowskiego. Kierownikiem klubu został Karol Modzelewski, którego wkrótce powołano do Komitetu Uczelnianego PZPR i mianowano łącznikiem między KU partii a ZMS. Wkrótce też i sam klub został odebrany organizacji młodzieżowej i przejęty bezpośrednio przez KU PZPR. To był wstęp do jego likwidacji.

M.K.: — *Co wam zarzucano?*

S.G.: — Decyzja o zawieszeniu klubu zapadła na samej górze, ponad głowami działaczy KU i Komitetu Warszawskiego. Sekretariat KC poprosił o dokładne sprawozdanie z działalności klubu, Karol Modzelewski je napisał i zaraz potem przyszła decyzja o

zawieszeniu. Nie było to dla nas specjalną niespodzianką. Już wcześniej przeprowadzano z nami rozmowy, wywierano naciski. Mnie nawet chodziło o to, kogo na swoje spotkania zapraszamy, a barziej o to, jak rozwija się dyskusja. Zarzucano nam, że jej nie kontrolujemy, a wręcz przeciwnie — pomagamy w sformułowaniu poglądów, które są jawnie antypartyjne.

M.K.: — *Ile było prawdy w tym oskarżeniu o antypartyjność?*

S.G.: — Wtedy, w 1963 i na początku 1964 roku — chyba niewiele. Chodziło nam o wypracowanie takiego programu zmian, który mieściłby się w ramach istniejącego systemu. Nawet Biełkowski nie wypowiadał się przeciwko wiodącej roli partii. Koncentrowaliśmy się na problematyce gospodarczej, bo była ona pierwszoplanowa, ale też, jak nam się wydawało, bezpieczna. W spotkaniach Klubu Politycznego brali udział profesorowie uniwersytetu i młodszy pracownicy naukowcy, członkowie partii związani ze skrzydłem rewizjonistycznym, a nawet członkowie rządu. Przychodził Brus, Bauman, minister Lesz, który — ku naszemu zaskoczeniu — również wypowiadał się krytycznie pod adresem rządu, którego był członkiem, Rakowski...

M.K.: — *Kożakowski?*

S.G.: — Kożakowski — nie, chociaż mieliśmy z nim kontakt i wiedzieliśmy o jego krytycznym nastawieniu. Kożakowski był wtedy — mimo że go z partii wyrzucono dopiero w 1966 roku — już właściwie poza partią. Nas zresztą mniej interesowały problemy kulturalne, więcej — sprawa reformy gospodarczej, spór o tak zwany rynkowy model socjalizmu, to jest o to, do jakiego stopnia można wykorzystać rynek jako instrument centralnego planowania i do jakiego stopnia centralne planowanie jest w ogóle potrzebne. W sferze politycznej dyskutowaliśmy o demokracji wewnątrzpartyjnej i wewnątrzpaństwowej, czy ta pierwsza możliwa jest bez tej drugiej? Przytłaczająca większość uczestników dyskusji dostrzegała, że demokracja wewnątrzpaństwowa jest niemożliwa, bo niemożliwe są wolne wybory do Sejmu ani swobodna działalność polityczna. Część dyskutantów była przeciw istotnym zmianom systemu politycznego, bo groziłoby to odebraniem partii władzy, ale była za demokracją wewnątrzpartyjną, w duchu Października '56. I dlatego też można mówić o części, a może nawet o większości uczestników klubowych debat jako o rewizjonistach, o opozycji wewnątrz — a nie antypartyjnej.

M.K.: — *Jaki był oddźwięk waszych dyskusji wśród studentów? Czy próbowaliście rozszerzyć działalność klubu na inne uczelnie?*

S.G.: — Klub był otwarty i udział w dyskusjach mogli brać także i ci, którzy do ZMS nie należeli. Na początku na spotkaniu przychodziło 50-60 osób, później nawet 150-200. Wiadomość o istnieniu klubu politycznego szybko się rozeszła i dyskusje się przeniosły do kół wydziałowych ZMS. Ale na dalsze rozwijanie działalności klubowej władze nie wyraziły zgody: jeden z naszych kolegów, który próbował zorganizować podobny klub na Politechnice Warszawskiej, został aresztowany.

M.K.: — *Czy te wasze debaty znajdowały odbicie na łamach prasy, czy dyskutowaliście dla samego dyskutowania?*

S.G.: — Wtedy nie było jeszcze takiej działalności wydawniczej, jaka jest teraz.

M.K.: — *Ja nie mówię o drugim obiegu, tylko o prasie studenckiej, o gazetkach ściennych, wydziałowych.*

S.G.: — Nie. Przygotowaliśmy referaty na piśmie, ale nie były one powielane. Ogół studentów nie interesował się wtedy, co się dzieje w ZMS. ZMS, jak najbardziej słusznie, identyfikowano z partią, wiadomość, że coś się w nim zmienia, rozchodziła się powoli. Ale partia obserwowała uważnie naszą działalność. W szczególności zaskoczyły ją wyniki wyborów do nowego KU ZMS, wiosną 1964 roku. Pierwszym sekretarzem został Marek Żelazkiewicz, drugim — Eugeniusz Chyla, a w skład KU wszedł jeszcze Karol Modzelewski. Był to pierwszy przypadek od Października '56, kiedy ludzie popierani przez górę partyjno-zetemesowską przepadli. Kiedy klub został zawieszony, postanowiliśmy przenieść nasze dyskusje do mieszkań prywatnych. I wtedy przestaliśmy już być opozycją wewnątrzpartyjną. Spotykaliśmy się i na każdym zebraniu inne osoby referowały inne tematy — chodziło nam o sformułowanie opozycyjnego programu i — w dalszej perspektywie — o rozpowszechnienie go, założenie partii opozycyjnej, konspiracyjną działalność w związkach zawodowych i ewentualne rozsadzenie PZPR od wewnątrz. Byliśmy pod wrażeniem pracy Dżilasza o nowej klasie i krytyki stalinizmu dokonanej przez Trockiego. Oczywiście, nie akceptowaliśmy idei Trockiego, że jak poddamy biurokrację kontroli, to wszystko będzie w porządku, dążyliśmy do zmian zasadniczych — do wolnej gry sił politycznych, ale z zachowaniem dominującej roli klasy robotniczej.

M.K.: — *W jaki sposób można pogodzić dyktaturę proletariatu z wolną grą sił politycznych?*

S.G.: — Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, którzy byli głów-

nymi autorami tej koncepcji, widzieli wtedy państwo jako coś w rodzaju republiki rad, gdzie oprócz rad pracowniczych istniałaby jeszcze rada centralna, sprawująca władzę. Istniałaby też druga izba, w której reprezentowane byłyby wszystkie grupy społeczne i polityczne, ale odgrywałaby ona rolę drugorzędną. Nie wszystkim oczywiście taki rewolucyjny program odpowiadał i po części dlatego w chwili aresztowania nasza grupa liczyła około dwudziestu osób. I nawet wśród tej dwudziestki były różnice w sprawach politycznych, gospodarczych, a zwłaszcza w kwestii realności takiego programu. Widząc, że się nie dogadamy, Jacek i Karol postanowili sami napisać dokument programowy. I napisali — to był właśnie ten „Program klasy robotniczej”, który milicja znalazła w moim mieszkaniu, a którego druga, zmieniona i skrócona wersja została później rozpowszechniona jako „List otwarty do członków partii”.

M.K.: — *W jaki sposób wpadliście? Czy spodziewaliście się aresztowania?*

S.G.: — Tak, byliśmy świadomi inwigilacji, trudno zresztą było nie dostrzec towarzyszących nam samochodów. Aresztowania i rewizje, jakie nastąpiły w nocy z 14 na 15 listopada 1964 roku, nie były dla nas specjalną niespodzianką, sam nawet — jak mi się wciąż wydaje — przypadkowo przyspieszyłem akcję Służby Bezpieczeństwa. Dokument był już gotowy, otrzymałem jego pierwszą wersję i opatrzyłem ją swoim komentarzem. Jacek i Karol nie bardzo się mogli zgodzić z moimi uwagami i mieliśmy się spotkać, by je przedyskutować. Nie będąc pewny, na kiedy się umówiliśmy, zadzwoniłem do Karola i zacząłem go przekonywać, że mamy się spotkać właśnie dzisiaj, że przecież poczyniliśmy z żoną pewne przygotowania techniczne... Miałem na myśli kanapki, a nie powielacz. Za jakąś godzinę przyszedł Karol i Jacek z Grażyną, a po nich kilkunastu panów z MSW.

M.K.: — *Na czym polegały rozbieżności między Panem a Kuro-niem i Modzelewskim?*

S.G.: — Zgadaliśmy się co do ogólnej oceny panującego w Polsce systemu, że jest to dyktatura, że potrzebne są daleko idące zmiany, że rewizjonizm to już nie to o co chodzi. Natomiast ja byłem przeciwny politycznemu uprzywilejowaniu jakiegokolwiek grupy i tworzeniu dwuizbowego parlamentu, nie zgadzałem się z implikacjami politycznymi, jakie Karol i Jacek wyciągali z marksowskiego podziału pracy na produkcyjną i nieprodukcyjną. Nie podzielałem też ich optymizmu co do szans stworzenia czy też samodzielnego powstania sytuacji rewolucyjnej w Polsce, bez skoordynowania naszej działalności z działalnością opozycyjną w innych

krajach bloku. Jacek i Karol doceniali oczywiście niebezpieczeństwo sowieckiej interwencji, ale uważali, że nie możemy podrzucić sąsiadom naszego problemu, że nie możemy na nich czekać, że od jakiegoś kraju trzeba zacząć. Różniliśmy się również w sprawach taktycznych — ich koncepcję zlikwidowania armii zawodowej uważałem za zupełnie utopijną. Bardzo mi się za to podobały te fragmenty programu, w których Karol i Jacek poddawali miazdzącej krytyce samo funkcjonowanie systemu, jak również napisany przez Jacka rozdział „Co robić?” — nie włączony z przyczyn oczywistych do „Listu otwartego” — który zawierał wskazówki dotyczące działalności antypartyjnej i konspiracyjnej.

M.K.: — *Czy aresztowania objęły całą waszą grupę?*

S.G.: — Tak, władze bezpieczeństwa miały dokładne rozeznanie. Zatrzymania były prawie równoczesne. W Warszawie, w Łodzi, a nawet pod Wrocławiem, gdzie akurat przebywał nasz kolega z Lublina.

M.K.: — *O co pytano was w czasie przesłuchań?*

S.G.: — Praktycznie o wszystko, byliśmy przesłuchiвани *non stop*. Jakieś zaprzeczenia czy odmowa składania zeznań nie miały sensu, zresztą Karol Modzelewski od razu w czasie aresztowania powiedział, że dokument programowy został napisany tylko przez niego i Jacka. Twierdziliśmy zgodnie, że jesteśmy pracownikami naukowymi, socjologami, ekonomistami, historykami, których interesuje problematyka społeczna, że spotykaliśmy się, żeby dyskutować o różnych sprawach, a zakwestionowane materiały służyły nam wyłącznie do celów wewnętrznych, do ułatwienia dyskusji. Po 48 godzinach wszystkich zatrzymanych zwolniono, nie wytoczono nam procesu, ale powyrzucano z partii i pracy. Niektórych natychmiast, jak na przykład Karola Modzelewskiego, który był doktorantem na wydziale Historii UW i w jego sytuacji wystarczyła decyzja ministra; innych — zatrudnionych jako asystenci, jak moja żona i ja — po paru miesiącach, po przeprowadzeniu procesów dyscyplinarnych.

M.K.: — *Rozstałiście się z partią z żalem?*

S.G.: — No, nie... Nasza przynależność do partii była już wtedy fikcją. Decyzja komitetu uczelnianego o skreśleniu Modzelewskiego, Kuronia, mojej żony czy mnie z listy członków PZPR, a Żelazkiewicza i Chyli z listy kandydatów, była jednomyślna. Nikt nie miał wątpliwości, że nasza działalność była antypartyjna, że sami postawiliśmy się poza partią. My również takich wątpliwości nie mieliśmy.

M.K.: — *Kuroń i Modzelewski chyba mieli, skoro usiłowali się odwoływać...*

S.G.: — Tylko w celach taktycznych, dla szerszego spopularyzowania swoich idei. Napisali „List otwarty do członków partii” i po przedstawieniu go różnym organizacjom partyjnym zostali aresztowani.

M.K.: — *Co Pan robił w tym czasie?*

S.G.: — Szukałem jakiejś sensownej pracy. Ale mimo protekcji takich ludzi, jak Lange, Pajestka czy Kalecki, pracy naukowej dla mnie nie było. Zatrudniono mnie w tak zwanym ZBiD-zie, czyli Zakładzie. Badań i Doświadczeń przy Zjednoczeniu Stoiarki Budowlanej. Dopiero po roku mój bliski przyjaciel, prof. Henryk Fiszel, poprzez swoje wysokie znajomości spowodował, że przeniesiono mnie do Instytutu Handlu Wewnętrznego. Było to już wygnanie mniej dotkliwe, chociaż i tam nie zajmowałem się niczym sensownym.

M.K.: — *Z jakimi myślami kładł się Pan wtedy spać? Z uczuciem wściekłości i chęcią dalszej walki czy z poczuciem przegranej?*

S.G.: — Wszyscy mieliśmy chyba wtedy świadomość przegranej, świadomość, że nasze oceny dotyczące możliwości prowadzenia działalności opozycyjnej były wysoce romantyczne. Doprowadziłyśmy do dyskusji na Uniwersytecie Warszawskim — wszystkie oddziałowe organizacje partyjne na UW, a także niektóre Komitety Wojewódzkie i ambasady otrzymały tekst skonfiskowanego nam dokumentu, tak że informacja o istnieniu „grupy antypartyjnej” się rozeszła ale nasze idee spotkały się z powszechnym potępieniem członków partii, a poza partię praktycznie nie wyszły. Sytuacja nieco się zmieniła, gdy Kuroń i Modzelewski zaczęli rozpowszechniać swój „List otwarty”, gdy został on wydrukowany przez Instytut Literacki w Bibliotece „Kultury”, a potem nadała go Wolna Europa — wtedy dyskusje przeniosły się do środowisk studenckich i szerzej. Nie wszyscy, oczywiście, zgadzali się z marksistowskimi ideami zawartymi w „Liście”, ale nawet samo jego istnienie, a później proces i uwięzienie autorów, pobudzało ludzi do działania, do głębszej refleksji nad naturą otaczającej nas rzeczywistości. W środowisku studenckim, wśród naukowców i pisarzy narastał ferment, ale to było dla mnie mierną pociechą; nasza grupa była rozbita, dwaj przywódcy uwięzieni, sprawa wydawała się przegrana. Obroniłem wtedy doktorat, publikowałem różne prace, miałem dobre stosunki z całą ówczesną czołówką polskich ekonomistów — to pomogło mi przetrwać te nieprzyjemne czasy, nie myśleć tylko w czarnych kategoriach.

M.K.: — *Marzec '68 jest kolejnym punktem zwrotnym w Pana życiu. Czy brał Pan udział w przygotowaniu „wydarzeń marcowych”, o co Pana oskarżano?*

S.G.: — Nie, ja się nawet nie spotykałem ze studentami, bojąc się, że jestem inwigilowany i mogę ich wpędzić w kłopoty. Zresztą Marzec nie był przez nikogo przygotowywany. Odbyło się zebranie, na którym postanowiono zwołać wiec w obronie Michnika i Szlajfera, ale ja w tym spotkaniu nie brałem udziału. O tym, że się ma odbyć wiec, dowiedziałem się przypadkowo, w kawiarence PIW-u, od Słonimskiego i Staszewskiego, którymś z znajomych mnie przedstawił. Byłem na tym wiecu, ale nie zostałem aresztowany. Zatrzymano mnie dopiero następnego dnia, razem z Barbarą Toruńczyk i Aleksandrem Smolarem, w mieszkaniu Adama Michnika, do którego przyszedłem, żeby dowiedzieć się, co się dzieje.

M.K.: — *Jaką taktykę zastosował Pan tym razem w śledztwie?*

S.G.: — Taką samą jak poprzednio. Dostałem sankcję prokuratorowską na trzy miesiące, którą później mi przedłużono. Podejrzewano mnie o udział w spotkaniach bezpośrednio poprzedzających wydarzenia marcowe, pytano o moje kontakty towarzyskie. Po miesiącu przesłuchań władze wiedziały o zatrzymanych wszystko, o mnie w szczególności to, że naprawdę nie brałem udziału w zebraniach, na których — zdaniem przesłuchujących — planowano zorganizowanie „wydarzeń”. Wtedy postanowiono dołączyć mnie wraz z Waldemarem Kuczyńskim do Antoniego Zambrowskiego i zrobić nam proces za rozpowszechnianie materiałów, które mogą wyrządzić istotną szkodę — artykuł 23 MKK, co najmniej trzy lata więzienia. Było to o tyle łatwe, że myśmy faktycznie, dla celów samokształceniowych, czytali i przepisywali na maszynie prace Deutschera, Trockiego...

M.K.: — *Znów ten Trocki!*

S.G.: — Przez przypadek. Czytaliśmy wszystko; co nam wpadło w ręce, bez jakiejś programowej selekcji.

M.K.: — *Ostatecznie do Pańskiego procesu nie doszło. Czy Pan wie dlaczego?*

S.G.: — Ze względu na zbieżność nazwisk — I sekretarza KC i mojego — Moczarowi mógł być na rękę proces z moim udziałem. Ale latem 1968 wpływy Moczara zaczęły maleć. W rezultacie chociaż w więzieniu na Rakowieckiej trzymano ponad sto osób, przed sądem stanęło tylko kilkanaście. Kiedy

po pięciu miesiącach wyszedłem na wolność, wystąpiłem nawet o odszkodowanie i ten mój wniosek oddalono z uzasadnieniem, że choć nie znaleziono dowodów winy, to wcale nie znaczy, że byłem niewinny.

M.K.: — *Wrócił Pan do pracy?*

S.G.: — Nie, wyrzucono mnie z niej jeszcze jak siedziałem w więzieniu. Szukałem innej, ale bezskutecznie — możliwości były nieporównanie gorsze niż przed 1968 rokiem. Gdy zorientowałem się, że jako ekonomista, naukowiec nie mam w Polsce szans, zdecydowałem się na emigrację. Moja żona jest pochodzenia żydowskiego — to umożliwiło nam ubieganie się o pozwolenie na wyjazd.

M.K.: — *Czy gdyby Pana żona nie była pochodzenia żydowskiego, to by Pan pozwolenia nie dostał? Czy ci Polacy, którzy wyrzucali innych Polaków z Polski, naprawdę tak drobiazgowo badali drzewka genealogiczne wyjeżdżających?*

S.G.: — Tak, nie dostałbym. A na decyzję czekaliśmy pięć miesięcy.

M.K.: — *Czy liczył się Pan z tym, że wyjeździecie z Polski na długie lata, kto wie — może na zawsze?*

S.G.: — Oczywiście. Sam fakt, że muszę się zrzec polskiego obywatelstwa był sygnałem, że nie jest to wyjazd na krótko. A poza tym nie sądziłem, by w najbliższym czasie nastąpiły w Polsce zmiany, które umożliwiłyby mi powrót. Moja decyzja była dramatyczna; pod względem zawodowym był to krok ryzykowny, skok do oceanu, ale dramatyczna byłaby też moja sytuacja, gdybym w Polsce pozostał. Byłem młody, wiedziałem, że mam w swojej dziedzinie coś do powiedzenia, nie mogłem — jak moi koledzy po pięćdziesiątce, już z pewnym dorobkiem naukowym — wegetować przez 2-3 lata, czekając aż mi władza łaskawie przebaczy.

M.K.: — *Czy Pana przygotowanie naukowe było wystarczające, by dać sobie radę w swoim fachu na Zachodzie?*

S.G.: — Nie, zarówno moja znajomość angielskiego, jak i przygotowanie ekonomiczne były niedostateczne — nawet, by wykładać na trzeciorzędnym uniwersytecie amerykańskim, co miałem robić przez rok. Ale dopisało mi szczęście. Z Polski przyjechalśmy do Włoch i tu czekaliśmy na amerykańską wizę. Wizy nie otrzymałem z powodu przynależności do PZPR — więc pojechalśmy do Danii, gdzie ja dostałem stypendium, a żona podjęła

pracę w swojej dziedzinie — jako matematyk. Po paru miesiącach otrzymałem ofertę z London School of Economics and Political Science i po *interview* dostałem pracę. Po sześciu latach pracy na LSE uzyskałem tzw. *tenure* i osiedliśmy się z żoną i synem w Londynie na stałe. Mówię o szczęściu, bo ktoś z LSE akurat odchodził na emeryturę i poszukiwano ekonomisty z dobrym przygotowaniem matematycznym i zainteresowaniem dla krajów Europy Wschodniej i ZSSR. Władze London School of Economics zdawały sobie sprawę, że moja znajomość ekonomii jest praktycznie zerowa, ale wiedziały też, że studiowałem fizykę teoretyczną, a moja praca magisterska ukazała się w poważnym, międzynarodowym piśmie naukowym. Były więc podstawy do przypuszczeń, że dam sobie radę.

M.K.: — *Czym w ogóle jest London School of Economics?*

S.G.: — To nie SGPiS ani Wyższa Szkoła Ekonomiczna, tylko normalny uniwersytet z około dwudziestoma wydziałami — jeden z wielu *college*'ów wchodzących w skład Uniwersytetu Londyńskiego. Można na nim studiować prawo, historię, socjologię, matematykę i statystykę, jest wydział komputerowy, ale przede wszystkim LSE słynie z ekonomii. Jest jednym z najsilniejszych ośrodków myśli ekonomicznej na świecie, a pod względem ilości publikacji naukowych zajmuje w tej dziedzinie pierwsze miejsce w Europie i jedno z pierwszych w świecie. Około czterdziestu procent naszych studentów to obcokrajowcy, LSE dostarcza elit rządzących licznym krajom Trzeciego Świata.

M.K.: — *Czy trudno się na LSE dostać?*

S.G.: — Tak, to szkoła bardzo elitarna. Dla studentów spoza krajów EWG istnieje ponadto bariera finansowa, studia tu są dość drogie.

M.K.: — *Czy na LSE studiują także Polacy?*

S.G.: — Owszem, zdarzają się. Przyjeżdżają również stypendyści z Polski.

M.K.: — *Czy są jakieś większe różnice w wykształceniu między młodymi studentami z Polski a ich angielskimi kolegami?*

S.G.: — Chociaż dzisiaj młodzi ludzie z Polski więcej czytają i lepiej znają angielski niż ja i moi koledzy przed dwudziestu laty, to różnica poziomów jest nadal duża, szczególnie od szczebla doktorantów.

M.K.: — *Jaki jest obecnie poziom polskiej ekonomii?*

S.G.: — Są w Polsce ekonomiści, zarówno po stronie rządowej, jak i opozycyjnej, którzy dobrze znają polską rzeczywistość, rozumieją rządzącą polską gospodarką mechanizmy i potrafią zaproponować interesujące, godne wprowadzenia w życie posunięcia. Od czasu śmierci Oskara Langego i Michała Kaleckiego polscy ekonomiści są jednak praktycznie nieobecni na rynku akademickim świata. Wyrazem tego jest m.in. fakt, że w wydanym ostatnio „Who's who in Economics” w latach od 1700 do 1986 znajdujemy wśród około 1.200 osób kilkunastu Polaków, ale wszyscy oni albo już nie żyją, albo pracują na uniwersytetach zachodnich. Program nauczania ekonomii jest w Polsce przestarzały i prowincjonalny. Program ten jest nastawiony na tzw. ekonomiki przemysłu, handlu i jeśli się mówi o kapitalizmie, to z reguły z pozycji ideologicznych, a nie w myśl zasad rzetelnej analizy naukowej. Wykłady są najczęściej powierzchowne, za mało teoretyczne, a publikacje — zbyt publicystyczne.

M.K.: — *Czy są jakieś szanse postawienia polskiej ekonomii na nogi?*

S.G.: — To nie będzie łatwe, bo znaczna część polskiej kadry naukowej nie ma kwalifikacji do prowadzenia wykładów na dobrym poziomie. Ci ludzie sami niewiele wiedzą — ich awans nastąpił albo w sposób biurokratyczny, albo ze względów ideologicznych. Trzeba by wyselekcjonować grupę młodych zdolnych absolwentów, wysłać ich na dłuższy pobyt za granicą, by tam się poduczili teorii i w oparciu o nich budować kadrę od nowa. To program na jakieś piętnaście lat. Kto miałby się go podjąć? Władze? Szczerze wątpię. Upokarzająco niskie płace odstręczają utalentowaną młodzież od kariery uniwersyteckiej, zachęcając do emigracji bądź pracy w sektorze prywatnym.

M.K.: — *Jak Pana — człowieka z marksistowską przeszłością — przyjął „polski Londyn”?*

S.G.: — Myślę, że bez uprzedzeń. Tu, w środowiskach emigracyjnych jest duży szacunek dla autorytetu naukowego, ludziom zależy na poznaniu opinii innych. Ja zresztą na początku nie zabiegałem o kontakty z tym środowiskiem — wyjątkiem był pan Rowmund Piłsudski, który od razu do mnie dotarł i zachęcił do pisania do organu ruchu „Niepodległość i Demokracja”, *Trybuny*. Pochłonięty byłem wtedy pracą naukową i własnym dokształcaniem. Ale po pewnym czasie londyński *establishment* dowiedział się o moim istnieniu, zaczęto mnie zapraszać na zebrania, do wygłaszania odczytów. Powstanie KOR-u, to, że środowisko zgrupowane wokół *Aneksu* miało kontakt z Kuroniem

czy Michnikiem, bardzo ułatwiło zbliżenie emigracji wojennej z tą pomarcową. Okazało się — i wielka w tym zasługa pani Lidii Ciołkoszowej — że ani emigracja pomarcowa nie jest taka czerwona, ani ta wojenna taka reakcyjna.

M.K.: — *Powstania KOR-u Pan, zdaje mi się, nie przewidywał. Tuż przed Radomiem i Ursusem pisał Pan w Aneksie, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych dwudziestopięcioletni dystans w standardzie życia między Polską a krajami zachodnimi utrzyma się; krytycznie oceniał Pan program Babiucha, lecz takiego kryzysu, jaki nastąpił, nie prorokował.*

S.G.: — Nie przewidywałem też grudnia 1970 i sierpnia 1980. Opuszczałem Polskę z przekonaniem, że nasze przedmarcowe analizy były zupełnie księżycowe, że w tym systemie żadna zbiorowa, zorganizowana akcja nie jest na razie możliwa. Że może — owszem — nastąpić wybuch, ale na zasadzie odruchu rozpacz, jak w Poznaniu w 1956 roku. I do pewnego stopnia grudzień 1970 był takim odruchem, tyle że na dużo większą skalę, trwał dłużej i zakończył się poważnymi zmianami. Potem przyszła polityka otwarcia na Zachód, z którą wiązałem pewne nadzieje, pojawił się interesujący dla ekonomisty problem, w jakim stopniu kraj należący do bloku komunistycznego może bez zmiany systemu politycznego zaabsorbować zachodnią technologię i rozpocząć eksport na szerszą skalę, żeby spłacić pożyczki. Początkowo odpowiedź na to pytanie była kwestią otwartą. W połowie lat siedemdziesiątych sytuacja gospodarcza Polski zaczęła się pogarszać, stało się jasne, że musi nastąpić zmniejszenie konsumpcji wewnętrznej i zwiększenie eksportu. Ale polityka rządu nie była konsekwentna, rząd odsuwał problemy na później i to, że w 1976 roku ustąpił pod naciskiem klasy robotniczej, spowodowało, że kryzys, który przyszedł, okazał się głębszy.

M.K.: — *W jaki sposób narosły nasze długi? Dlaczego zachodnie banki i rządy tak chętnie udzielały Polsce kredytu?*

S.G.: — W środowiskach bankowych też panuje inercja; zanim nastąpi poważne rozpoznanie sytuacji, podejmuje się decyzje na bieżąco. Od czerwca 1976 roku banki otrzymywały sygnały alarmowe, ale przedstawiciele polskiego rządu twierdzili, że Polska jest w fazie kończenia i rozruchu inwestycji, że na to są właśnie potrzebne pieniądze i że jak tych pieniędzy nie będzie, to kryzys zacznie się natychmiast. Trzeba by bardzo dokładnej analizy poszczególnej przedsięwzięć inwestycyjnych, żeby ocenić prawdziwość tego argumentu. A wtedy — praktycznie — ani informacji, ani ekspertyzy nie było. Ja sam pamiętam, że jak przyjechałem do Polski po jedenastu latach, w maju 1980 roku i spotkałem

się z całym KOR-em, to nikt z uczestników dyskusji nie wiedział, co będzie dalej. Tylko Kuroń mówił z przekonaniem o zbliżającym się kryzysie, ale on zawsze przewidywał kryzys, więc jego proroctwo dla nikogo nie było czymś zaskakującym.

M.K.: — *Jak Pan ocenia ekonomiczną część gdańskich postulatów?*

S.G.: — Jak najgorzej. Żądanie znacznej podwyżki płac i zahamowania wzrostu cen musiało doprowadzić do załamania się rynku konsumpcyjnego, do kolejek, do rozprzężenia całej gospodarki i — z czasem — obrócić się politycznie przeciwko samej „Solidarności”. Strajkującym się wydawało, że jak będą mieli więcej pieniędzy, to automatycznie będą mieli więcej towaru, ich doradcy albo nie zdali egzaminu, albo zostali zignorowani...

M.K.: — *A rząd?*

S.G.: — Rząd myślał, że drukowaniem pieniędzy ugasi pożar.

M.K.: — *Nie była to przypadkiem polityka świadoma?*

S.G.: — Myślę, że nie. Rząd dawał podwyżki strajkującym i tym samym aktywizował strajki, zamiast je gasić. Przynajmniej na początku — w lipcu i sierpniu. Później, gdy ruch strajkowy objął całą Polskę, można już było tylko albo godzić się na żądania płacowe, albo od razu wprowadzić stan wojenny. Ta ostatnia możliwość była rozpatrywana i jestem skłonny wierzyć prof. Pa-jestce, który podczas spotkania w ambasadzie polskiej w Londynie powiedział, że stan wojenny mógł zostać ogłoszony już wtedy, w sierpniu czy wrześniu, ale oni, to znaczy frakcja liberalno-reformatorska w KC, do tego nie dopuścili i poparli ruch strajkowy z myślą, że ten później poprze ich zabiegi o przeprowadzenie reformy.

M.K.: — *„Solidarność” miała swoją własną wizję reformy. Która z koncepcji, Bugaja czy Kurowskiego, była Panu bliższa?*

S.G.: — Instynktownie i intelektualnie — Kurowskiego. Bliższa mi jest idea daleko idących rozwiązań rynkowych niż gospodarki zdecentralizowanej z regulowanym rynkiem, bo formuła regulowanego rynku może być wygodną furtką do utrzymania różnych instrumentów centralnej kontroli, które — dla uzdrowienia polskiej gospodarki — należałoby bardzo ograniczyć. W Polsce ludzie wydają się być bardzo przywiązani do takich cech socjalizmu, jak niezbyt duża rozpiętość dochodów, bezwarunkowe prawo do pracy, opiekuńcza rola państwa, chcieliby te dobre strony ustroju socjalistycznego zatrzymać, ale — równocześnie —

chcieliby korzystać z dobrych cech kapitalizmu, nie chcą wiedzieć, że te sprawy niełatwo pogodzić. A tymczasem zawsze jest coś za coś. Albo się chce mieć zagwarantowane prawo do pracy i odrzuca się ideę, że przedsiębiorstwo może zbankrutować bądź ulec likwidacji, albo przyjmuje się, że gospodarka jest żywym organizmem, że niektóre przedsiębiorstwa czy nawet całe gałęzie przemysłowe się rodzą, a inne wymierają. Że jak się chce mieć w sklepach więcej towaru, towaru wyższej jakości, że jak się chce, żeby złotówka była wymienialna, to może trzeba się pogodzić z utratą pewnych przywilejów — zgodzić się na przekwalifikowanie, zmianę miejsca pracy czy w ogóle zmianę swojego stosunku do pracy.

M.K.: — *Czy uniknięcie stanu wojennego i delegalizacji „Solidarności” było możliwe?*

S.G.: — Raczej nie, byłoby to sprzeczne z logiką systemu komunistycznego, który zakłada zniszczenie siłą każdego konkurenta politycznego. Wypowiedzi Jaruzelskiego czy Rakowskiego były jednoznaczne. „Solidarność” musiałaby się wyrzec ambicji politycznych, uznać prerogatywy rządu komunistycznego, nie domagać się wolnych wyborów ani rządu niezależnego od partii. Było prawdopodobnie błędem „Solidarności”, że nie przeprowadziła wśród swoich członków jakiejś szerszej dyskusji na temat zakresu ewentualnego samoograniczenia się.

M.K.: — *Odbywały się takie dyskusje... Zresztą ich wynik był z góry wiadomy.*

S.G.: — Wiadomy — wśród działaczy średniego i niższego szczebla. Doły „Solidarności” nie były być może takie radykalne, bały się konfrontacji, mniej istotne było dla nich samo istnienie „Solidarności” niż pozycja Kościoła, groźba kolektywizacji na wsi czy otwartej okupacji przez Armię Czerwoną. Na ten problem nie należało patrzeć przez okulary aktywu związkowego, który był wtedy zaangażowany w setki lokalnych bitew z aparatem partyjnym i miał oczywiście rację w prawie każdym z tych konfliktów, ale z perspektywy globalnej, geopolitycznej — czy tego chcemy, czy nie, Polska nie jest w końcu wolnym krajem. A to, czy do takiej wpasowanej w komunistyczne struktury „Solidarności” byłoby warto należeć, to już zupełnie inna kwestia.

M.K.: — *Jak wpłynął na polską gospodarkę stan wojenny?*

S.G.: — Stan wojenny wprowadzono nie po to, żeby ratować polską gospodarkę, ale po to, by zniszczyć przeciwnika. Opanowanie kryzysowej sytuacji w gospodarce było celem drugorzęd-

nym. Pierwszym efektem stanu wojennego było dalsze pogorszenie się sytuacji gospodarczej, dezorganizacja. Zmniejszyły się możliwości importowe, nastąpił spadek produkcji, ale — z drugiej strony — rząd uzyskał wolną rękę do posunięć o charakterze stabilizacyjnym: militaryzacji zakładów pracy, zwiększenia dyscypliny pracy, drastycznych podwyżek cen.

M.K.: — *A w sferze propagandowej do usprawiedliwiania kryzysu wpływem amerykańskich sankcji...*

S.G.: — Rola zachodnich sankcji była w rzeczywistości symboliczna. Zachód nie mógł tak naprawdę Polski uderzyć, nawet gdyby chciał. Zerwanie stosunków gospodarczych, a więc coś w rodzaju wojny ekonomicznej, oznaczałoby — z jednej strony — bezpowrotną stratę pożyczonych Polsce pieniędzy, a z drugiej — poprzez ograniczenie polskiego importu — doprowadziłoby do spadku produkcji przemysłowej o dalsze 20-30 %. Jak mocno dotknęłoby to polskie społeczeństwo, jak obniżyłoby to jego stopę życiową i jakie wywołałoby reakcje, tłumaczyć chyba nie muszę.

M.K.: — *Czy rozważano możliwość ogłoszenia Polski bankrutem?*

S.G.: — Polska jest już *de facto* bankrutem od marca 1981 roku, kiedy poinformowała teleksami banki zachodnie, że nie może honorować przyjętych zobowiązań. Potem były nowe negocjacje, nowe porozumienia, których stroną Polska również nie dotrzymywała. Polityka polskiej ekipy rządzącej — dość krótkowzroczna zresztą — jest taka, by inaczej traktować banki prywatne, a inaczej pożyczki gwarantowane przez zachodnie rządy. Tym pierwszym odsetki się płaci. Polskie zadłużenie ocenia się obecnie na około 50 miliardów dolarów, z czego 40 miliardów Polska jest winna Zachodowi, około 6 miliardów Związkowi Sowieckiemu i 3-4 miliardy — własnym obywatelom. Na jakiegokolwiek umorzenie przez Zachód tego ogromnego polskiego długu liczyć oczywiście nie można. Polska nie jest przecież jakimś małym, biednym i nękanym przez klęski żywiołowe krajem Trzeciego Świata, tylko średniorozwiniętym państwem europejskim, członkiem wymierzonego przeciw Zachodowi paktu wojskowego, głównym sojusznikiem ZSSR. To także państwo o stosunkowo wysokim poziomie konsumpcji, które mogłoby — w razie wyższej konieczności — zwiększyć, bez szczególnie dramatycznych konsekwencji, swój eksport o miliard dolarów czy dwa.

M.K.: — *Polska długo starała się zostać członkiem Międzynarodowego Funduszu Walutowego i w końcu nim została. Jaki był racjonalny powód, dla którego MFW zgodził się przyjąć do swojego grona tak chory organizm, jakim jest Polska?*

S.G.: — MFW pełni rolę banku banków państwowych i jest zupełnie naturalne, że jeśli jakiś kraj wpada w kłopoty, to MFW interesuje się jego sytuacją, stara się mu pomóc, sugeruje odpowiednie reformy. Zachód nie może powiedzieć Polsce „nie”, kiedy ta wyciąga rękę i prosi o przyjęcie. I chociaż w imieniu Polski występują władze komunistyczne, nie mające społecznego mandatu, to jednak zakłada się, że one też w jakimś stopniu reprezentują interes Polski. Byłoby wielkim błędem odcięcie się od nich i popchnięcie w ten sposób Polski w kierunku jeszcze ściślejszej integracji politycznej i gospodarczej z ZSSR. Poza tym państwa i banki zachodnie traktują MFW jako instytucję, która sugerując Polsce określony program reform, pomoże w odzyskaniu pożyczonych pieniędzy.

M.K.: — *Czy są już jakieś wymierne, materialne korzyści płynące z członkostwa Polski w MFW?*

S.G.: — Nie. Rządowi polskiemu zależało i nadal zależy na nowych kredytach, ale jak dotąd ich nie otrzymał. I trudno, żeby otrzymał, skoro efektywność polskiej gospodarki nie poprawia się. Strona polska wciąż deklaruje chęć przeprowadzenia prawdziwej reformy, ale dla potencjalnych kredytodawców liczą się fakty, a nie deklaracje. Jakoś zaś nie widać, by ta wprowadzana w życie reforma prowadziła na przykład do zmniejszenia roli nomenklatury partyjnej i odpolitycznienia życia gospodarczego na szczeblu przedsiębiorstw, zwiększenia roli rynku, konkurencyjności itp. Drobne, kosmetyczne posunięcia nie zadowolą zaś ani MFW, ani zachodnich rządów. Pierwszy etap reformy zakończył się fiaskiem, drugi — którego teoretyczne założenia są skądinąd całkiem rozsądne — rozmywa się na etapie wykonawczym, na poszczególnych ogniwach aparatu administracyjno-gospodarczego. Ceny nadal nazbyt często nie są cenami równowagi, tylko cenami opartymi na kosztach lub narzuconymi przez rząd. W dalszym ciągu forsuje się inwestycje surowcowe, nie eliminuje się surowcochłonnych i energochłonnych technologii. Nadal istnieje i działa ogromny centralny aparat do kierowania przedsiębiorstwami. Utrzymuje się bardzo duże zużycie energii i marnotrawstwo, mały jest eksport wyrobów przemysłu elektromaszynowego na rynki zachodnie. MFW i Klub Paryski oczekiwały, że nadwyżka w polskim bilansie handlowym osiągnie w roku 1990 ok. 2,5 miliarda dolarów, w chwili obecnej utrzymuje się ona na poziomie 1-1,2 miliarda, tj. mniejszym niż na przykład w roku 1984. To, że sytuacja płatnicza Polski jest w pewnym sensie stabilna — nie polepsza się, ale i też dramatycznie nie pogarsza — wynika z nie przewidywanego jeszcze kilka lat temu, a bardzo poważnego wzrostu tak zwanego eksportu wewnętrznego. Od Polaków mieszkających bądź pracujących za granicą wpływa rocznie do Polski

ok. 1-1,5 miliarda dolarów. Poważna część dewizowych oszczędności społeczeństwa znajduje się na kontach bankowych, a te — zgodnie zresztą z ogólnie przyjętymi regułami bankowymi — pokryte są tylko częściowo, w jakichś dwudziestu procentach. Pozostałe osiemdziesiąt procent rząd wykorzystuje do finansowania zobowiązań zewnętrznych.

M.K.: — *Ten dewizowy kapitał w rękach polskiego społeczeństwa jest znacznie większy, ale ludzie nie mają zaufania do Banku PKO.*

S.G.: — I całkiem słusznie. Nie można się przecież zadłużać w nieskończoność. Jeśli ten 3-4 miliardowy dług wobec własnych obywateli wzrośnie do 10-15 miliardów, to rząd — w obliczu niewypłacalności — stanie przed koniecznością zamrożenia kont dewizowych lub jakiejś nieekwiwalentnej wymiany.

M.K.: — *Wspomniał Pan o reformach sugerowanych stronie polskiej przez MFV. Jakiego typu miałyby to być reformy?*

S.G.: — Najogólniej rzecz biorąc są dwie możliwości. Pierwsza typu południowoamerykańskiego: ograniczenie importu oraz przesunięcie części produkcji z rynku wewnętrznego na eksport. Ta strategia nie wymaga zmiany systemu gospodarczego i może przynieść poprawę bilansu płatniczego bardzo szybko. Ale oznacza też ona natychmiastowe, kilkuprocentowe zmniejszenie spożycia bieżącego i odczuwalne ograniczenie możliwości rozwojowych kraju na wiele lat. Taką w gruncie rzeczy politykę prowadził rząd Jaruzelskiego po ogłoszeniu stanu wojennego. A więc pierwsza możliwość to większa dawka tej polityki. Ja, jako doradca MFV, sugerowałem natomiast wprowadzenie takich zmian systemowych, których wynikiem byłoby istotne zmniejszenie marnotrawstwa surowców i materiałów oraz zwiększenie konkurencyjności polskich wyrobów przemysłowych na rynkach międzynarodowych. Mielibyśmy w ten sposób więcej pożytecznej produkcji z tej samej ilości energii i innych surowców, a więc możliwość zwiększenia nadwyżki eksportu nad importem bez konieczności obniżania poziomu konsumpcji czy inwestycji. Ogólnie chodzi o zmiany, których kumulatywnym wynikiem byłoby silne pchnięcie Polski w kierunku modelu austriackiego czy szwedzkiego. Nie reprzywatyzacja — bo to w chwili obecnej zupełnie nierealne — ale pełne usamodzielnienie przedsiębiorstw, efektywna decentralizacja własności państwowej. Reforma reformy bądź też — by pozostać przy terminologii strony rządowej — drugi etap tej reformy. Z czym wiąże się oczywiście pewne koncesje polityczno-ideologiczne komunistycznego aparatu władzy, jak i pewne koszty społeczne — zgoda społeczeństwa, dobrowolna czy wymuszona, na odejście od niektórych przywilejów związanych z socjalizmem.

M.K.: — *Jak Pan sobie wyobraża to „wymuszanie”?*

S.G.: — Samo życie zmusza ludzi do zaakceptowania tezy, że chcąc żyć lepiej w przyszłości, powinni już dziś zgodzić się na zwiększenie nierówności dochodowych, silniejsze powiązanie płacy z wydajnością, ryzyko utraty pracy i konieczność przekwalifikowania się. Ze to chyba jedyna szansa powstrzymania cywilizacyjno-ekonomicznego upadku Polski.

M.K.: — *Czy widzi Pan jakieś siły społeczne, które są zainteresowane reformą poważnie, a nie tylko werbalnie?*

S.G.: — Są ludzie świątliwi, po obu zresztą stronach, którzy rozumieją konieczność reformy i są w stanie przewidzieć jej skutki — te bezpośrednie i te dalekosiężne. Zdają sobie oni sprawę, że w istniejących warunkach geopolitycznych należy iść na ustępstwa. Społeczeństwo musi się pogodzić z przewodnią rolą partii komunistycznej, z jej kontrolą nad polityką zagraniczną, obronnością i administracją szczebla centralnego oraz — być może — z tym, że nie będzie mieć swojej reprezentacji ogólnonarodowej, która mogłaby temu prymatowi PZPR zagrozić. Władze zaś muszą się zgodzić na rezygnację z politycznej kontroli nad ludźmi i nad produkcją przynajmniej na szczeblu zakładów pracy. Czy taki scenariusz jest możliwy? Profesor Brus, z którym przed dziesięcioma laty na ten temat polemizowałem, twierdzi, że sama istota systemu komunistycznego wyklucza możliwość takiej niezależności przedsiębiorstw, jaka miała miejsce w Korei Południowej przez ostatnie 35 lat czy w Hiszpanii za czasów Franco. Ja nie twierdzę, że jest odwrotnie, że taka reforma jest z pewnością możliwa, ja twierdzę tylko, że choć historia nie zna jeszcze przykładu na tak, to sprawa jest nadal otwarta. I w tym przekonaniu podtrzymuje mnie to, co dzieje się dziś w Chinach, czy nawet — na mniejszą oczywiście skalę — w samym Związku Sowieckim. Wracając zaś do pytania o grupy społeczne zainteresowane reformą, to — niestety — odpowiedzieć trzeba, że ich wpływ jest niewielki. Władza przystępuje do działań reformatorskich pod przymusem, w dramatycznej sytuacji gospodarczej, grożącej niekontrolowanym wybuchem. Kościół, ze swojej natury, nie może popierać dalszego wzrostu nierówności społecznych, ubożenia ubogich i bogacenia się bogatych i bardziej zaradnych; zasada sprawiedliwości społecznej, opieka nad słabszym to przecież najistotniejsze punkty katolickiej doktryny społecznej. „Solidarność” zaś, jak każdy związek zawodowy, nie może nawoływać do zaciskania pasa, do likwidowania zakładów pracy, nawet jeśli są nierentowne, do zwiększania bezrobocia. Na linii władza — „Solidarność” pojawił się zresztą na tym tle element nowy. Otóż ekipa rządząca

w warunkach zdecentralizowanej gospodarki i pluralizmu związkowego może wygrywać jedne zakłady przeciwko drugim, jedne grupy zawodowe przeciwko innym. Ostatnie rozmowy ze strajkującymi toczyły się na szczeblu dyrekcji poszczególnych zakładów pracy, a nie na szczeblu centralnym, jak w roku 1980 czy 1981. Rząd rozkładał ręce i mówił robotnikom: pertraktujcie ze swoim kierownictwem, ono wie najlepiej, czy stać wasze przedsiębiorstwa na realizację waszych postulatów. Taka polityka musi prowadzić do podziałów. Ci, którzy mają wyższe kwalifikacje, pracują w nowocześniejszych, bardziej wydajnych zakładach, muszą dojść do wniosku (o ile jeszcze nie doszli), że ich płace są niższe, że nie ma pieniędzy na inwestycje, bo między innymi trzeba dopłacać do nierentownej stoczni. Reforma, decentralizacja ośrodków decyzyjnych staje się — rzecz paradoksalna — czymś korzystnym dla władz komunistycznych. Zapewnia im — tym systemem zero-jedynkowym, a więc stabilniejszym niż demokrację, gdy się nic nie dzieje, i destabilizującym się bardzo szybko, gdy zaczynają się kłopoty — większą stabilność.

M.K.: — *Czy wynik referendum w sprawie reformy był dla Pana zaskoczeniem?*

S.G.: — Tak, ale w pozytywnym znaczeniu. Zdziwiło mnie, że tylu ludzi, ludzi pozbawionych dostępu do informacji i przekonywanych, że każda reforma, to tylko i wyłącznie kolejne podwyżki, opowiedziało się za reformą.

M.K.: — *Czy łatwy do przewidzenia, negatywny wynik referendum nie miał być przypadkiem atutem w rozmowach z zachodnimi rządami i MFW?*

S.G.: — Tak też myślałem początkowo. Podejrzewałem również, że to niepotrzebne referendum jest elementem rozgrywki w aparacie władzy. Ale tak chyba nie było. Dalsze posunięcia polskiego rządu świadczą o jego zupełnym niezrozumieniu społecznych nastrojów, o jego naiwności politycznej, o jakiejś irracjonalnej wierze, że społeczeństwo mu znowu zaufa i pozwoli tym, którzy zepsuli polską gospodarkę, psuć ją nadal.

M.K.: — *Czy od ekipy Rakowskiego oczekuje Pan większego realizmu?*

S.G.: — Na odcinku propagandy — z pewnością. Rakowski jest niewątpliwie dobrze poinformowanym i inteligentnym politykiem. Od lat zabiega o jakieś, chociaż bliżej niesprecyzowane reformy. W partii uważany jest za skłonnego do eksperymentu liberała. Ale z drugiej strony Rakowski to także partyjny pro-

pagandysta, zaufany pomocnik Jaruzelskiego, dla którego celem nr 1 jest utrzymanie partii komunistycznej przy władzy. Będzie więc przede wszystkim realizował cele PZPR i jej aparatu, tak jak to zresztą zapowiedział, może tylko nieco zrzęczniejsz od Messnera.

M.K.: — Wśród części opozycji panuje przekonanie, że współpraca z rządem Rakowskiego nie ma sensu, gdyż rząd ten rychło upadnie, a przywódcy komunistyczni zmuszeni zostaną do zaakceptowania rządu ekspertów.

S.G.: — To raczej nieprawdopodobne. Strażnikiem systemu komunistycznego w Polsce jest ZSSR, a tam, mimo głośności, pierestrojki, wszystkich tych napawających nadzieją reform Gorbaczowa, niewiele się zmienia. I najpewniej nie zmieni się jeszcze przez lata. Nie ma oznak destabilizacji w podstawowych ogniwach sowieckiego imperium — w armii, KGB, milicji ani nawet wśród aparatu partyjnego. Gorbaczowowska jawność jest zjawiskiem pozytywnym, ale służy przede wszystkim wyłonieniu nowej kadry przywódców i działaczy, młodszych, bardziej rzutkich i mądrzejszych, przyczynia się relatywnie — mimo nieuniknionych kosztów własnych — do wzmocnienia, a nie osłabienia ZSSR. Wiara, że Gorbaczow zapomniał o doktrynie Breżniewa, wydaje mi się szczytem naiwności. Polska to nie Afganistan. Polska ma dla ZSSR istotne znaczenie polityczne, gospodarcze, militarne. Przez Polskę biegą najważniejsze szlaki komunikacyjne, tu znajduje się bezpośrednio zaplecze armii sowieckiej stacjonującej w NRD. Prawdopodobieństwo jakiejś zasadniczej zmiany w polityce Moskwy wobec Polski, a więc na przykład porozumienie się z Polakami ponad głowami ich zdyskredytowanych komunistycznych przywódców i zaakceptowanie uległego, ale niekomunistycznego rządu, jest więc na tyle nikłe, że możemy go nie brać pod uwagę. Wydaje mi się, że rozumie to dobrze większość polskiego społeczeństwa i że to właśnie wpłynęło na jego bierność i stosunkowo ograniczone poparcie udzielone „Solidarności” w czasie stanu wojennego i ostatnich strajków. Są oczywiście działacze radykalni, którzy nie wierzyli w możliwość wprowadzenia stanu wojennego w 1981 roku i nie wierzą w podobną, a nawet gorszą ewentualność i teraz. Ja w latach 1980-1981 byłem pesymistą. W tej chwili jestem pesymistą optymistycznym. System komunistyczny ulega niewątpliwie poważnej ewolucji. Duże nadzieje wiąże z długofalowymi efektami politycznymi kryzysu gospodarczego w wielu krajach Europy Wschodniej, a także w ZSSR. Nie można bagatelizować drobnych reform, bo kumulatywnie mogą one prowadzić do istotnych zmian.

Rozmawiał Marek KORAB

Mafia im. 50-lecia PRL

Słowo „mafia” padło po raz pierwszy na Forum Społecznej Rady Konsultacyjnej, w obecności samego generała Jaruzelskiego. Dla zilustrowania „partykularnych grup interesu oraz klik o charakterze mafijnym” mówca posłużył się przykładem budowlanego lobby, które wznosi w Starej Miłosnej pod Warszawą osiedle dla nomenklatury, ochrzczone imieniem „50-lecia PRL”. Ojcem chrzestnym, w każdym razie w pierwszym znaczeniu tego określenia, jest wicepremier Szałajda. Popularna nazwa „Bończakowo” pochodzi od nazwiska Głównego Inspektora Sanitarnego, generała profesora Bończaka, który dał całej inicjatywie zielone światło.

Właśnie kilku panów z inicjatywą, zajmujących wysokie stanowiska w organach administracji państwowej, postanowiło podchwycić jakże popularne w Polsce hasło „Więcej mieszkań” i podzielać po godzinach pracy na niwie budowlanej. Zawiazali spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, wnieśli po 10 tys. złotych każdy (ryzyko osobiste minimalne) i rozkręcili interes pod nazwą Międzyresortowy Pracowniczy Zespół Budowy Domów Jednorodzinnych i Wielorodzinnych. Ta prywatna instytucja, utworzona na podstawie przedwojennego prawa o spółkach, prowadzi inwestycje opiewające, wedle cen dzisiejszych, na ok. 110 miliardów złotych. Skąd pochodzą te pieniądze? Zagadka.

Bilans MPZBD jest sprawą tajną. Ale ciekawskim udało się wygrzebać w dokumentach różnych instytucji kilka elementów. Wiadomo więc już, że budowa urządzeń komunalnych — dróg, ulic, przekładników energii elektrycznej, wody, ciepła, kanalizacji i gazu — ma być finansowana przez Urząd Miasta Stołecznego Warszawy, a decyzja taka zapadła paradoksalnie w Radzie Narodowej podwarszawskiego miasteczka Wesoła. Do końca 1987 roku tylko na oczyszczalnię ścieków dla Starej Miłosnej wpłynęło ze stołecznego Funduszu Gospodarki Wodnej i Ochrony Środowiska 181 milionów złotych (przy czym sama Warszawa oczysz-

czalni ścięków nie ma). I jeszcze Ministerstwo Finansów zwolniło prywatną spółkę MPZBD od podatku od kupna ziemi, na czym skarb państwa stracił ok. 480 milionów złotych.

Adres spółki: Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, Warszawa, ul. Nowogrodzka 1-3-5. (Czyżby ta dziwna spółka zreprezentowała część ministerstwa PRL?). W kopertach z nadrukiem tegoż ministerstwa przychodziły groźby do właścicieli ziemi, na której mają stanąć domy dla aparatczyków — „ostateczne oferty” przed wywłaszczeniem. Zastraszonym przez urzędowe pismo rolnikom płacono po 320 zł za metr kwadratowy gruntu (dziś metr kwadratowy ziemi kosztuje od 5 do 10 tys. zł).

Mafia szantażuje i przekupuje. Urząd Miejski w Wesołej łąmie prawo na korzyść spółki w zamian za obietnicę, że cała Wesoła będzie podłączona do mającej powstać oczyszczalni (dopiero dużo później Wesoła dowiędzie się, że nic z tego). Ministerstwa będą po właściwej stronie za przydziały domków. Opinia publiczna jeszcze nie dowiedziała się, między kogo je rozdzielono, ale warto rzucić okiem na skład zarządu spółki. Zasiadli tam przedstawiciele szerokiego wachlarza pożytecznych instytucji: Ministerstwa Finansów, administracji, rolnictwa, leśnictwa, hutnictwa, Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, a i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (Ośrodek Rehabilitacyjny — *sic*). Dyrektorem zarządu i współwłaścicielem spółki jest Andrzej Bem, dyrektor departamentu w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Zagrożony Instytut Kardiologii poparł inwestycję być może za obiecane 32 „jednostki mieszkalne” w „Bończakowie”, w tym dla córki szefowej Instytutu. Spacyfikowano też gazety — członkowie Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL i pracownicy RSW Prasa będą mieli 300 domków.

Z przekwalifikowaniem ziemi rolniczej na nieużytki poszło gładko, podobnie jak ze zgodą na lokalizację osiedla, sprzeczną z planem zagospodarowania regionu. Naczelny architekt Warszawy podjął uchwałę, powołując się na paragraf zlikwidowany przez Sejm kilka miesięcy wcześniej. Wreszcie w odpowiednim momencie zablokowano uchwałę chroniącą te tereny jako Mazowiecki Park Krajobrazowy.

Właściciele spółki MPZBD (która w międzyczasie przedzierzgnęła się w spółkę akcyjną) wybrali sobie nie byle jakie miejsce na siedzibę dla rodzin i przyjaciół: sosnowe lasy okolic Otwocka, o kilkanaście kilometrów od centrum Warszawy, już przed wojną słynęły z kurortów, a dziś dają schronienie trzem szpitalom o randze krajowej. Osiedle dla dwudziestu kilku tysięcy osób nie może jednak wyrosnąć na piasku. Nieuczbrojony teren, przylegający do Mazowieckiego Parku Krajobrazowego — płuc Warszawy — nie był przewidziany w planach pod zabudowę. Wybrano rozwiązanie tyleż nielogiczne, co wygodne dla przyszłych mieszkańców. Wodę będzie się czerpać na miejscu, ze studni głębinowych. Dziennie osiedle zabierze lasom i ziemi i tak już ubogiej 12.750 m³ wody. Fatalne konsekwencje ekologiczne nie każą na siebie długo czekać. Powstanie lej depresyjny o promieniu kilku kilometrów, uschną „chronione” lasy.

W niebezpieczeństwie są też ludzie. Na terenie nowego miasteczka nie będzie kominów. Ogrzewanie ma płynąć z sąsiedniego Mędzylesia, z kotłowni ZWAR (Zakładów Wytwórczych Aparatur Radiowej), specjalnie do tego celu rozbudowanej. W promieni 300 metrów wokół ciepłowni o mocy 140 Kcal/h obowiązuje zakaz mieszkania. Tymczasem już dziś w zagrożonej strefie istnieją zakłady pracy i osiedla, a w planie jest jeszcze hotel dla pielęgniarek z pobliskiego Instytutu Kardiologii. Filtry ZWAR już teraz są niesprawne, brak urządzeń, zatrzymujących tlenki węgla, siarki i pyłów. Rozbudowany trzykrotnie ZWAR spalałby na dobę 1.000 ton podłego zasiarczonego węgla. Z tego powstanie 200 ton żużlu, 60 ton pyłów, 24 tony dwutlenku siarki i 7,2 ton tlenków azotu. Nie ma gdzie składować odpadów. Wywożenie wymaga dróg, samochodów i dodatkowo zwiększa groźbę zanieczyszczenia. Do tego prototypowe kotły WRP-46 pracują bez atestu GIGE, często się psują. Rada Ordynatorów Centrum Zdrowia Dziecka bezskutecznie protestuje od dwóch lat. Wyziewy z ciepłowni już spadają na chore dzieci.

Wreszcie sprawa najważniejsza. W sąsiedztwie Centrum Zdrowia Dziecka, wybudowanego za pieniądze z ranicznych fundacji, powstanie oczyszczalnia ścieków z osiedla prominentów. Urządzenie prototypowe o nazwie Bioksyblok (nie sprawdzilo się w Gliwicach) ma odbierać ok. 10.500 metrów sześciennych ścieków na dobę (przy założeniu, że mieszkańcy nie będą się rozmnażać), czyli już o 2.500 więcej niż przewiduje konstruktor. Stąd część ścieków popłynie w stanie surowym, razem z resztą, oczyszczoną gorzej lub lepiej, otwartym kanałem wśród osiedli, pod oknami domów, do Wisły.

Kanałek Wawerski to dziś malowniczy rów melioracyjny, suchy przez większą część roku. Toteż ścieki będą płynęły tam nie rozcieńczone. Dotrą do ludzi poprzez studnie, ujęcia wody pitnej, opłyną prywatne posesje, ośrodek dla dzieci niepełnosprawnych i pawilon dla dzieci chorych zakaźnie. Groźba epidemii w strefie, która uchodzi za leczniczą i klimatyczną, jest niebezpieczna realna. Te 87 litrów ścieków na sekundę będzie spadać do Wisły powyżej powierzchniowych ujęć wody pitnej dla lewo-brzeżnej Warszawy. I to wszystko w najlepszym razie. A zdaniem specjalistów Polska nie zna bezawaryjnych oczyszczalni. Wobec potencjalnej katastrofy biologicznej wizja Warszawy zalanej odchodami z osiedla nomenklatury — wystarczy wysoki stan wód Wisły, by zamknąć na zasuwę ujście kanałku: wtedy część ścieków z osiedla prominentów popłynie drugą odnogą do Goławia, Saskiej Kępy aż do Jeziorek Skaryszewskich, prosto do środka stolicy — wydaje się absurdalnym żartem.

Tymczasem budowa oczyszczalni idzie pełną parą. chociaż MPZBD nie ma jeszcze tzw. zezwolenia wodno-prawnego. Czy uda im się jeszcze jeden krok metodą faktów dokonanych, tym razem na oczach zaalarmowanej opinii publicznej? Dotychczas wylewano beton w lesie, wycinano po kryjomu drzewa, zakopując nieopodal wykarczowane korzenie. Polskie budownictwo nie znało

takiego tempa pracy: na trzy zmiany, dniem i nocą, rękami wojska, ZOMO i więźniów. „Wolnym” pracownikom podsuwano do podpisu zobowiązanie, że nie zdradzą tajemnicy służbowej i państwowej. Ale wydało się.

Do sprawy dobrali się ekologowie z Warszawy oraz bezpośrednio zagrożeni mieszkańcy Anina i Międzyzlesia. Nie dość, że obserwowali uważnie posunięcia mafii w terenie, spisując nawet numery służbowych samochodów na budowie, ale z niemałym trudem wydobywają z urzędów oficjalne akta sprawy. Zbierają niezależne ekspertyzy i opinie. Znaleźli sprzymierzeńców w PRON-ie i w Radzie Konsultacyjnej, zebrali krytyczne głosy Konserwatora Przyrody i alarmujące apele Centrum Zdrowia Dziecka. Posunęli się nawet do tego, by wskrzesić ducha demokracji i wysunęli swoich kandydatów w wyborach do rad narodowych. Wygrali i mają teraz swoich radnych, którzy będą razem z nimi bronić wody, lasów i powietrza. Na ich zebrania w anińskim kinie „Wrzos” przychodzą setki ludzi. Zapraszają na nie inwestorów ze Starej Miłosnej i każą im się tłumaczyć. Pod petycją do generała Jaruzelskiego podpisało się 8 tysięcy osób na 11 tys. dorosłych mieszkańców. Prośby, wnioski i odwołania do władz o wstrzymanie procesu dewastacji przechodzą bez echa. Budowa trwa. Wreszcie z solidną dokumentacją w rękach w kwietniu 1988 roku komitety mieszkańców Anina i Międzyzlesia podają MPZBD do sądu.

Na pierwszej rozprawie zabrakło ekspertyz. Na drugą nie stawia się strona pozwana z powodu wakacji. Akt trzeci odbył się we wrześniu 1988. „Sąd zebrał się jednoosobowo na posiedzeniu niejawnym i odrzucił pozew komitetów osiedlowych, ponieważ te ostatnie nie bronią interesów ludu pracującego”.

Mafia nie pozostaje dłużna tym, którzy wchodzą jej w drogę. W samochodzie pani, która pisze od półtora roku petycje, odkręciły się śruby trzymające koła. Ksiądz Anina oskarżony został o oszczerstwa. Dziennikarka telewizyj, która nakręciła o Aninie program przedwyborczy, znalazła swój samochód, zniszczony, przed lokalem komisji wyborczej. Przewodniczącemu Komitetu Osiedlowego Anina ktoś zepsuł hamulce w samochodzie i obciął linię telefoniczną. Inni dostają anonimowe telefony z pogroźkami, między innymi grożące więzieniem i zgwałceniem dzieci.

Na łamach trzech poziomów prasy rozlewa się rzeka polskiej głośności, przekraczając dotychczasowe linie podziałów: za lokomotywą gazet podziemnych, które do niedawna miały monopol na krytykę władz, ruszyła oficjalna prasa niepartyjna. „Ekologiczna bomba... Budowę osiedla popierają mocarze” — *Reporter*. „Potrzeba marszów ekologicznych, by sprawę ruszyć dalej” — *Ład*. „Będziemy zwalczać przejawy anarchii” — odpiera, klasycznie, *Trybuna Ludu*. Ale oto *Aktualności KW PZPR* dokładnie zdają sprawę z przebiegu konfliktu, a PRON-owski *Konfrontacje* piszą wręcz o arogancji i bezprawiu. Podziemny *KAS* zastanawia się, skąd ta budowa na łeb na szyję, po trupach prawa i przyrody? „Buduje się tam obecna ekipa prominencka, która

wie, że tak narozrabiała, że wkrótce będzie musiała odejść. Być może to ostatnia szansa, żeby zagarnąć ile się da". Wobec wrażliwości społeczeństwa na jaskrawe bezprawie wystarczy wprowadzić nowe ustawy o własności prywatnej, które zaskoczą niejednego teoretyka komunistycznego systemu. Ciekawe, kto i gdzie będzie obchodził tytułową rocznicę 50-lecia PRL.

Maria WIERNIKOWSKA

P.S. Polakom nie brak czarnego humoru. Mówi się, że sprawę Starej Miłosnej rozwiąże eksperyment w pobliskim Instytucie Badań Jądrowych, w Świerku. Zdezelowany reaktor „Maria” przygotowuje się do symulacji awarii elektrowni jądrowej. Operacja nazywa się, bardzo stosownie, „Petla”.

M.W.

**NOWOŚCI WYDAWNICZE
OFICYNY POETÓW I MALARZY**

Peter Raina

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI

Tom III

W trzecim tomie biografii Prymasa Tysiąclecia obejmującym lata 1961-64 autor opisuje działalność ks. Prymasa na tle przebiegu wydarzeń życia Kościoła i losu narodu. Jego rozmowy z władzami wyższymi w kraju i dostojnikami Kościoła w Rzymie.

Stron 682 + ilustracje

Londyn 1988

Cena: £ 15.00

Peter Raina

SPRAWA ZABÓJSTWA BOHDANA PIASECKIEGO

Tematem niniejszej monografii jest do dziś niewyjaśniona sprawa zabójstwa w styczniu 1957 roku 16-letniego Bohdana Piaseckiego. Na podstawie materiałów archiwalnych autor odtworzył przebieg wydarzeń.

Stron 88 + ilustracje

Londyn 1988

Cena: £ 4.00

Do nabycia w księgarniach lub u wydawcy:
146 Bridge Arch, Concert Hall Approach,
London SE1 8XV, England

O religii bez namaszczenia

Biskup na ławie oskarżonych

Rośnie konflikt między Watykanem i episkopatem brazylijskim. W drugiej połowie września największe dzienniki brazylijskie były rozchwytywane w Rzymie. Kardynał Bernardin Gantin, prefekt Kongregacji d/s Biskupów i kardynał Józef Ratzinger, prefekt Świętej Kongregacji Obrony Wiary, obaj z najbliższego otoczenia papieża, zażądali od nuncjusza w Brazylii, aby jak najszybciej nadesłał wszystkie gazety z opisami sprawy biskupa Casaldaligi z diecezji Sao Felix de Araguaia w stanie Goiás, w głębi dżungli amazońskiej. Don Pedro Casaldaliga (tytuł DON przysługuje tu wszystkim dostojnikom kościelnym) otrzymał ostrzeżenie z Watykanu. Nie chciał go przyjąć do wiadomości i rozwinął swój sztandar rewolty. Ostrzeżenie nadeszło pocztą, wysłane przez nuncjaturę apostolską w stołecznej Brasílii. W kopercie było pismo Kurii, bez podpisu i bez pieczęci Kongregacji. Pismo zabraniało biskupowi odwiedzania Nikaragui, zażądało milczenia w sprawach teologii wyzwolenia i zabraniało publikowania tekstów w obronie uciśnionych i prześladowanych. Don Pedro odmówił potwierdzenia odbioru anonimowego pisma i oświadczył, że nadal będzie odwiedzał Nikaragwę, że nie ustanie w obronie teologii wyzwolenia i że nie zaprzestanie wydawania tekstów religijnych.

Biskup Pedro Casaldaliga, człowiek chudy i wąty, ważący 55 kilogramów, urodzony przed 60-ciu laty w Hiszpanii, jest zdolny do tworzenia najgroźniejszych komplikacji, nawet z samym papieżem nieomylnym: „Papież nie zna rzeczywistości Trzeciego Świata, nigdy nie mieszkał w dżungli wśród Indian, nędzarzy i ich prześladowców. Dlatego, gdybym miał Go uważać za nieomylnego, to musiałbym Mu przyznać większą wartość niż Ewangelii. Gdyby Karol Wojtyła został biskupem w dżungli,

byłby w swych zasadach absolutnie podobny do mnie". Don Pedro stał się symbolem postępowego Kościoła w Brazylii. Jego postępowanie jest o wiele groźniejsze od oskarżenia Kongregacji, wskazuje bowiem, że w Brazylii istnieje wielu innych biskupów będących w opozycji do Watykanu i związanych z teologią zwolnienia, a co najważniejsze, otwarcie krytykujących imperialny styl rządów Watykanu. Biskup Erwin Kräutler, z diecezji w Xingu, w stanie Para i przewodniczący zgromadzenia miejscowych misjonarzy, wystąpił w obronie Casaldaligi: „Watykan nie wie, że miliony i miliony Latynosów są skazane na śmierć z głodu i nędzy, że w samej tylko Brazylii 10 milionów bezdomnych dzieci dociera do miast, gdzie śpią na ulicach a żywią się z kradzieży, żebranińy i napadów a tylko sprytniejsi z nich stają się gośćcami handlarzy kokainą, co im zapewnia najedzenie się do syta. Watykan zdaje się nie wiedzieć, że księża spotykają się z nieustannymi groźbami śmierci za swoje żądania obrony i pomocy dla biednych". Biskup Kräutler oskarża, że Don Pedro padł tym razem ofiarą tych osób z otoczenia Ojca Świętego, które są wyraźnymi krótkowidzami.

Papież a Casaldaliga

Różnice dzielące „zbuntowanych” biskupów od kardynała Ratzingera mają dwie bardzo ważne przyczyny. Pierwsza z nich to problem geograficzny, ekonomiczny i społeczny, jaki różni biskupa wykonyującego swe obowiązki pasterskie na terenach nędzy od niemieckiego kardynała pracującego w zaciszu swego gabinetu w Watykanie. Druga przyczyna wyraża się w tym, że według tych zbuntowanych dostojników kościelnych, istnieje konflikt między linią polityczną Watykanu, który obecnie stara się dokonywać rewizji postanowień Soboru II a konferencjami kleru Ameryki Łacińskiej, w pierwszym rzędzie kleru brazylijskiego w sprawach właściwego podziału władzy. Według tych wyjaśnień Watykan II udzielił więcej władzy lokalnym biskupom, ale pozostawił nietkniętą władzę „absolutnej monarchii” Rzymu, władzę wykonywaną przez najbliższe otoczenie papieża. Z jednej strony Ojciec Święty nie poczuwa się do żadnej zależności od swych kardynałów, jako że jest wyznaczony przez Ducha Świętego, a z drugiej strony zwolennicy Kościoła postępowego domagają się wprowadzenia pewnej demokracji w monarchii Watykanu. Ten konflikt rozwija się bardzo wyraźnie i wielu pesymistów widzi finał najtragiczniejszy: schizmę. Nieunikniona konfrontacja wybuchnie z całą pewnością na konferencji episkopatu Ameryki Łacińskiej, która odbędzie się w San Domingo, stolicy Republiki Dominikańskiej w roku 1989. Jam, jak się

przewiduje, dojść musi do rozstrzygnięcia konfliktu między duchowieństwem z dżungli i duchowieństwem z gabinetów Watykanu.

Biskup Casaldaliga znalazł się w sytuacji raczej niefortunnej. W tydzień po otrzymaniu pisma Kongregacji ukazał się październikowy numer miesięcznika *Jezus*, w którym jest zacytowana polemika między nim a Watykanem. Casaldaliga mówi tam jak on by postąpił gdyby został papieżem. Przede wszystkim zmieniłby bazylikę Świętego Piotra na bazylikę Świętego Jana Laterańskiego, która jego zdaniem jest autentyczną siedzibą biskupa Rzymu. Wszystkie skarby, kosztowności i muzea Watykanu ofiarowałby UNESCO, aby miliony wiernych mogły je podziwiać, a porad dla siebie szukałby w codziennych konferencjach nie tylko z przedstawicielami duchowieństwa ale i z socjologami, dziennikarzami i z dziećmi. Te nieprzemysłane i demagogiczne pomysły biskupa zrobiły najgorsze wrażenie. Tydzień wcześniej papież zadecydował, że kobiety nie mają prawa do sprawowania obowiązków pasterskich a Casaldaliga w wywiadzie zamieszczonym w tymże miesięczniku *Jezus* domagał się uznania tych praw dla kobiet. „Jestem pewien — pisał — że wobec Boga nie istnieją najmniejsze różnice biblijne, ani tradycyjne czy nawet teologiczne”.

Diecezja Sao Felix

Don Pedro w swej diecezji uznawany jest za pól świętego. Jej terytorium rozciąga się na przestrzeni tysiąca kilometrów z siedmioma biednymi miasteczkami i kilkudziesięcioma osadami i koloniami, licząc 120.000 dusz, składających się z Indian (w chwili odkrycia Brazylii było ich sześć milionów a dzisiaj pozostało już tylko 200 tysięcy), z bezrolnych chłopów i z ziemian, którzy posiadają tam swe majątki ziemskie, w większości nieuprawiane. Chłopi często napadają na te ziemie, aby zasiać na nich trochę fasoli i kukurydzy, ale najemnicy właścicieli przy pomocy policji likwidują te wysiłki paląc zasiewy. Don Pedro jest nieugiętym obrońcą pokrzywdzonych. Sutannę nosi jedynie w swoim kościele, na co dzień zaś koszulę z krótkimi rękawami, parę starych wyblakłych jeansów i tenisowe pantofle. Na palcu nie ma biskupiego pierścienia, tylko drewniany pierścionek z krzyżem, wyrzeźbiony przez Indian. Starym pogruchotanym autobusem wiejskim objeżdża po zakurzonych drogach i w tropikalnym upale wszystkie skupiska. Nikt go tam nie nazywa księdzem biskupem, tym mniej ekscelencją, nazywają go po prostu po imieniu. Za autobusem biegnie zwykle gromada dzieci, krzycząc: Pedro przyjechał do nas! Jego plebanią jest mały prymitywny domek z drzewa, bez sufitu i z ubitą ziemią zamiast podłogi.

Jego „katedrą” jest biedny kościółek pozbawiony jakichkolwiek ozdób. I tak od roku 1968 sprawuje tam swą misję, uwielbiany przez ludność. Tam, w czasie dyktatury, był siedmiokrotnie wyrzuca, y przez wojsko i kilkakrotnie padał ofiarą zamachów na życie, zawsze ratowany przez Indian. Na jego życie czyhają również właściciele majątków ziemskich. Przy braku racjonalnej reformy rolnej walka o ziemię czyli walka z głodem jest nieustająca.

Zdarzyło się w roku 1977, że podczas kłótni między chłopami i policją, ktoś zabił policjanta i uciekł. Do komisariatu sprowadzono żonę zabójcy i jej matkę i obie poddano wymyślnym torturom, żądając aby wydały miejsce ukrywania się zabójcy. Dowiedziawszy się o tym zjściu Don Pedro w towarzystwie księdza Bosco Penido Burniera pojechał do komisariatu policji celem ratowania kobiet. Podoficer policji zaatakował ich i strzałem rewolwerowym zabił księdza Burniera. Tenże podoficer zeznał potem, że chciał zabić biskupa, ale ksiądz Burnier był wyższy i lepiej ubrany i dlatego wziął go za biskupa. Casaldaliga pochował swego towarzysza, po czym zorganizował manifestację. Tłum chłopów rozbił komisariat i podpalił budynek. Policjanci uciekli w popłochu a kobiety uwolniono. Takie to i jeszcze wiele innych historii nadały biskupowi mityczną aureolę bohatera. Diecezja Sao Felix jest beczką prochu, gdzie w ostatnich sześciu latach zamordowano 228 ludzi, zawsze w konfliktach o ziemię. Wiedząc, że tego rodzaju konflikty są nieuniknione Don Pedro stara się, aby ta beczka prochu wybuchła w stronę ziemian a nie w stronę głodnych nędzarzy.

W obronie bohatera

Bunt biskupa Casaldaligi odbił się szerokim echem w całej Brazylii. Biskup sąsiedniej diecezji w Goiás Velho, Don Tomas Balduino, zorganizował pochód tysięcy ludzi, do których przemówił słowami nieznanymi w słownictwie kościelnym. Wystosowano pismo do papieża, zredagowane w słowach wzruszających: „Ojcie Świąty, Janie od Boga! Nie pozwól, aby Don Pedro był zmuszony do milczenia, gdyż on musi nadal spełniać swoje piękne obowiązki, które stworzą z tej ziemi kraj ludzkiej radości”. Liczni biskupi postępowi nadsyłają Casaldalidze swe wyrazy solidarności. Konferencja Narodowa Biskupów wystosowała komunikat, w którym odmawia słuszności żądaniu ukarania biskupa. Konferencja doradza mu jednak, aby skontaktował się z obiema kongregacjami rzymskimi celem wyjaśnienia konfliktu, ale aby nadal szedł po swej linii postępowania. Teolog franciszkański, mnich brat Leonardo Boff, który swego czasu był także ukarany rocznym milczeniem, ale któremu skrócono później ten wyrok,

rozpoczął publiczną obronę biskupa Casaldaligi: „Ukaranie biskupa jedynie wzmocni postawę Kościoła postępowego, ale niestety zwiększy również zuchwałość bogatych ziemian”. Boff oznajmił, że „w dyplomacji watykańskiej znana jest praktyka wysyłania pism anonimowych bez podpisów celem oskarżania niewygodnych kapłanów, ale ja wiem, że Ojciec Święty nie bierze udziału w tych spiskach”. Trzeba tu przypomnieć, że w roku 1987 miało miejsce w Rio de Janeiro sympozjum na temat: Kościół w Polsce — Kościół w Brazylii. Ze strony polskiej brali udział między innymi Jerzy Turowicz, naczelny redaktor *Tygodnika Powszechnego*, Stefan Wilkanowicz, naczelny redaktor *Znaku* i ojciec Andrzej Kłoczowski, dominikanin, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Polacy uczeni odwiedzili brata Leonarda w Petropolis pod Rio de Janeiro i byli zachwyceni jego wspaniałą działalnością opiekuńczą nad biedną ludnością mieszkającą w lokalnych fawelach czyli w prymitywnych barakach skleconych z blachy i drzewa. W opinii polskich profesorów brazylijska lewica teologiczna nie opiera się na marksizmie. Ojciec Andrzej Kłoczowski nazwał to zjawisko „anarcho-syndykalizmem” i dodał, że komunizm w Brazylii dlatego nie posiada szans rozwojowych i że jest jedynie straszakiem w rękach wojskowej dyktatury. Żadna z dwóch istniejących tu partii komunistycznych, ani ta prosowiecka, a już na pewno nie proalbańska nie może zagrażać krajowi.

Do ogólnej dyskusji włączył się także brazylijski socjolog — marksista, Michel Loewy, osiadły w Paryżu. W jego mniemaniu błędem Rzymu jest wiara w jednolitość Kościoła rzymskiego. Tego rodzaju doktryna jest już pogrzebana, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej. Kościół argentyński błogosławił juntę i tolerował jej zbrodnie ludobójstwa. Kościół w Nikaragui jednomyślnie zwalczał dynastię Somozy. Kościół chilijski jest potężną siłą w zwalczaniu krwawej dyktatury generała Pinocheta. Kościół brazylijski jest potężną siłą w zwalczaniu krwawej dyktatury generała Pinocheta. Kościół brazylijski zaciekle broni reform społecznych i praw ludzkich. Ten Kościół był załącznikiem Teologii Wyzwolenia, która da jeszcze wiele do myślenia dzisiejszemu światu i, kto wie, czy nie może stać się zbawieniem dla Kościoła rzymskiego.

Teologia Wyzwolenia w centrum wszystkich problemów

Jest to zagadnienie centralne, najważniejsze w brazylijskim życiu religijnym. W roku 1980, podczas pielgrzymki do Brazylii, Ojciec Święty we wszystkich swych przemówieniach, wygłoszonych do członków rządu wojskowego, do inteligencji, do robot-

ników i do młodzieży, podkreślał swoje intencje: potępienie chciwości bogatych, grzech ponizania godności ludzkiej, walka z uciskiem dyktatur oraz obrona wolności człowieka. Teologię Wyzwolenia papież wówczas zdefiniował mówiąc, że wyzwolenie może istnieć jedynie przez stosowanie metod ewangelicznych, a nigdy przez dialektykę walki klas. Konserwatywni biskupi chcieli papieżowi pokazać Brazylię potężną, a biskupi postępowi — panującą tu nędzę, otwierając mu oczy na wielką biedę i na niesprawiedliwość społeczną. W spotkaniach z nędzarami na północy kraju i z Indianami, którzy go błagali, aby biały papież modlił się do białego Boga, aby biali ludzie przestali nękać czernych braci — papież płakał. W tym czasie Teologia Wyzwolenia rozwijała się wykazując, że nie ma nic wspólnego z socjalizmem, a raczej wiele wspólnego z polską „Solidarnością”. Komórki kościelne, dziś w liczbie stu tysięcy, wykonują misje pomocy wśród parafian.

W Brazylii był wciąż żywy entuzjazm dla Ojca Świętego. Podczas pielgrzymki tłumy wołały: Nasz brat! Nasz wódz! Jan od Boga! uznając go za przywódcę wszystkich ludzi dobrej woli. Ale potem zaczęły powstawać pytania: dlaczego w Polsce papież jest nieubłaganym obrońcą narodu nękanego przez reżym, podczas gdy w Argentynie stanął po stronie episkopatu, który w swej większości popierał dyktaturę wojska? Dzisiaj spotyka się liczne głosy chcące zrozumieć pozycję Jana Pawła II, wspaniałego wodza narodów, a równocześnie twardego teologa, głoszącego „staroświeckie”, jak mówią, teorie teologiczne w sprawach rodzinnych, medycznych i seksualnych w krajach nędzy i masowego płodzenia dzieci, od urodzenia skazanych na głód.

Trzeba wziąć pod uwagę, że Kościół w Brazylii walczy z poważnymi trudnościami. Istnieje wyraźny brak księży. W kraju o ludności 135 milionów opiekę pasterską roztacza zaledwie 13 tysięcy księży, z poważnym odsetkiem cudzoziemców: Włochów, Hiszpanów, Niemców, Holendrów i Francuzów oraz 250 księży polskich: chrystusowców, misjonarzy i werbistów. Narodowa Konferencja Biskupów, licząca 340 dygnitarzy kościelnych, jest podzielona na trzy grupy. Większość stanowią biskupi postępowi i umiarkowani, a w mniejszości pozostają konserwatyści. Istnieje poważny antagonizm między nimi. Stara portugalsko-brazylijska religijność jest oparta na tradycjach z XVI wieku i nadal wyznawana przez konserwatystów, podczas gdy religijność rzymska, oparta na Watykanie II jest wyznawana przez kler postępowy. I właśnie w tym miejscu powstaje konflikt. Otoczenie Jana Pawła II prowadzi politykę wybitnie konserwatywną, dążącą do zaniżania wpływów biskupów, zwłaszcza w niebezpiecznym świecie Ameryki Łacińskiej, podczas gdy skrzydło postępowe coraz głośniejszymi głosami przypomina o swej sprawie. Najlepszym przykładem takiej

sytuacji jest fakt, że niedawno papież powołał na stanowisko arcybiskupa Salvadoru, stolicy stanu Bahia — najstarszej diecezji brazylijskiej, utworzonej w roku 1551 — biskupa Lucasa Moreirę Nevesa. Od trzynastu lat mieszkał on w Watykanie, a od roku 1979 zajmował stanowisko prefekta Kongregacji d/s Biskupów, które objął po nim kardynał Gantin. Na swym nowym stanowisku w Salvadorze arcybiskup, a obecnie już kardynał, Neves otrzymał tytuł prymasa Brazylii. Ta nominacja wywołała wielkie rozgoryczenie w episkopacie. Liberalni biskupi uważali, że nowy prymas, po trzynastu latach nieobecności w Brazylii, nie posiada warunków do kierowania tą archidiecezją, pełną problemów w rejonie nędzy i z wysoce rozwiniętym spirytyzmem. Biskupi byli zdania, że prymasem powinien zostać przewodniczący Narodowej Konferencji Biskupów, Don Luciano Mendez de Almeida. Ale tu wyłonił się problem rozstrzygający. Biskup Almeida był dotąd sufraganem arcybiskupa Sao Paulo, kardynała Paula Evarista Arnsa. Jest to najgorętszy wielbiciel Teologii Wyzwolenia i najbardziej nieugięty przeciwnik kardynała Ratzingera. Dlatego Watykan zażądał wobec niego dwie represje. Po pierwsze, jego sufragan, biskup Almeida, został mianowany arcybiskupem i przeniesiony z archidiecezji Sao Paulo do prowincjonalnego miasta Mariana. Po drugie, archidiecezja Sao Paulo, największa na świecie, z 14 milionami ludności, zostaje rozdzielona na cztery diecezje. Centrum miasta, największego w całej Ameryce Południowej, ze swym kolosalnym przemysłem, z międzynarodowymi bankami i z najwyższym stopniem bogactwa i rozwoju — bez żadnych zgrzytów społecznych — pozostanie w rękach kardynała Arnsa. Natomiast na pozostałych terenach podmiejskich i stanowych powstaną cztery nowe diecezje, które nie będą rządzone przez dotychczasowych biskupów sufraganów, lecz przez nowych biskupów mianowanych przez Kongregację d/s Biskupów w Rzymie.

Brazylia zawsze posiadała siedmiu kardynałów. Pięciu z nich, kardynałowie Lucas Neves, José Falcao oraz trzej inni należą do skrzydła konserwatystów. Jedynie kardynał Paulo Evaristo Arns z Sao Paulo i kardynał Aloisio Lorscheider z Fortalazy są kapłanami postępowymi. Kardynał Lorscheider był przewodniczącym Rady Episkopalnej Ameryki Łacińskiej (CELAM).

Coraz bardziej zapalna atmosfera spowodowała reakcję Kongregacji d/s Biskupów. Wydała ona komunikat-sprostowanie, w którym wyjaśniła, że pismo Kurii było jedynie chęcią zaalarmowania biskupa, aby wziął pod uwagę nauki jakie otrzymał od Ojca Świętego podczas wizyty w Rzymie w czerwcu bieżącego roku. A więc nie była to kara, ale tylko ostrzeżenie. To wyjaśnienie nie zmieniło jednak sytuacji. Don Pedro w rozmowie z dziennikarzami wytłumaczył, że choć każdy biskup jest zobowią-

zany do składania wizyt Ojcu Świętemu w odstępach pięciu lat, nie jeździł do Rzymu przez siedemnaście lat, gdyż jako cudzoziemiec w Brazylii, obawiał się, że w okresie wojskowej dyktatury wyjeżdżając z kraju nie otrzyma więcej wizy powrotnej. Nie był to dobry argument — bał się jechać do Rzymu, ale nie bał się jechać do Nikaragui na spotkanie ze swym przyjacielem księdzem Miguelem D'Escoto, ministrem spraw zagranicznych w rządzie sandynistów. Swoją ostatnią czerwcową wizytę w Watykanie Don Pedro opisał w sposób pełen ironii. Rozmowa z papieżem trwała zaledwie dziesięć minut i w ciągu tego czasu mówiono o sprawach bez większego znaczenia. W długich rozmowach z kardynałami Ratzingerem i Gantinem postępowanie Casaldaligi poddano krytyce, zarzucając mu ekscesy w stosowaniu Teologii Wyzwolenia. Zażądano, aby podpisał akt zgody z doktryną tradycji Kościoła. Casaldaliga odmówił. Komentując tę rozmowę z dziennikarzami biskup pomocniczy w Kurytybie Don Ladisław Biernaski przypomniał, że Święty Tomasz był również karany, a później jego myśli przerodziły się w doktrynę wiary.

Głos Konferencji Biskupów

Ostatni zabrał głos arcybiskup Luciano Mendez de Almeida, przewodniczący Konferencji, pominięty przy nominacji na kardynała i zgnębiony przeniesieniem do prowincjonalnej diecezji w Marianie. Za wszelką cenę starał się pomniejszyć kryzys. „Ja bym podpisał odbiór pisma Watykanu — powiedział — Don Pedro powinien wyjaśnić podłoże konfliktu, ale również winien nadal iść swoją drogą pasterską. Opcja opieki nad biednymi nie jest wyłączną doktryną biskupa Casaldaligi — powinna być opcją nas wszystkich. Jego cele są naszymi celami i dlatego wszyscy odczuwamy szacunek i poważanie dla tego brata za jego pełne poświęcenia apostołskie oddanie się ludziom biednym i ubolewamy, że jest za to oddanie potępiony”. Na zakończenie dodał jednak, że ta wspaniała działalność powinna być uzgadniana z władzami Kościoła. Udzielając dodatkowych wyjaśnień na pytania dziennikarzy, Don Luciano powiedział: „Nie ulega wątpliwości, że burza się wznaga nad naszymi głowami i dlatego musimy wyrażać umiarkowanie w naszych ocenach, bo nikt nie jest sędzią biskupa Casaldaligi i tu warto przypomnieć — podkreślił — że Kościół przez długi czas starał się nakłaniać do posłuszeństwa francuskiego biskupa Marcela Lefebvre, parokrotnie otwierając jemu i jego zwolennikom furtkę powrotu na łono Kościoła uniwersalnego. Ale należy wyraźnie stwierdzić, że Kościół Lefebvre'a, w odróżnieniu do Kościoła Casaldaligi, nie miał absolutnie nic wspólnego z wiernymi, narzucając im jedynie archaiczne

rytuały i myśli już dawno przebrzmiały". Między tymi dwoma biegunami konfliktu kryzys ostatnich tygodni w Brazylii nie był dobry dla Kościoła.

Poza biskupem Casaldaligą, pięciu innych biskupów otrzymało w ciągu ostatnich miesięcy ostrzeżenia na piśmie. Fakt ten został potwierdzony dopiero teraz. Treść tych ostrzeżeń kardynała Gantina, za uprzednią zgodą Jana Pawła II, została ujawniona przez wielki dziennik *Folha de Sao Paulo*, a potem potwierdzona przez Watykan. Jednym z adresatów jest kardynał Aloisio Lorscheider, arcybiskup Fortalezy, stolicy stanu Ceara, były prezydent Narodowej Konferencji Biskupów. Czterema pozostałymi są: Don José Maria Pires, arcybiskup w Joao Pessoa w stanie Paraiba, Don Marcelo Cavalheira, biskup w Guarabira, również ze stanu Paraiba, oraz Don Adriano Hypolito i Don Waldir Calheiros, obaj z diecezji w stanie Rio de Janeiro. Wszystkie pisma były tym razem podpisane przez kardynała Bernardina Gantin, prefekta Kongregacji d/s Biskupów. Najmocniejszą krytykę skierowano do kardynała Lorscheidera, który nie zgadza się na edukację kleryków w tradycyjnych seminariach teologicznych. Chce aby młodzi klerycy uczyli się w swoich miastach rodzinnych, dzieląc czas między naukę i pracę na roli. Krytycy takiego systemu nazywają go „Teologią Kilofa”, a papież jest absolutnie przeciwny tego rodzaju wychowaniu, które bardziej przekazuje wiedzę o nasionach niż o duszy. Kardynał Lorscheider uważany jest również za zbyt łagodnego wobec żonatych księży, którzy chcieliby powrócić na łono Kościoła. W seminarium w Fortalezie kardynał mianował profesorem byłego żonatego księdza holenderskiego, Eduarda Hoornaerta, uznanego za specjalistę od historii Kościoła. Papież jednak zabronił tego rodzaju praktyk, uznając celibat za absolutny warunek w życiu kapłańskim.

Arcybiskup José Maria Pires jest Murzynem. Jest on oskarżony o tolerowanie w swej diecezji rytuałów i śpiewów afrykańskich Candoblé i Umbandy, zamiast liturgii rzymskiej. Prawdopodobnie to zjawisko jest jednym z objawów tolerowanych od dawna przez Kościół w Brazylii pod nazwą synkretyzm religijny.

W ubiegłym tygodniu ukazała się wiadomość, że poza tymi pięcioma biskupami, czterech innych otrzymało ostrzeżenia, wyrażające absolutny brak zgody na ich kierowanie sprawami diecezji. Są to biskupi Mauro Morelli, José Rodrigues, José Campos i Tomas Balduino. W stosunku do tego ostatniego ma być wystosowane w najbliższym czasie drugie pismo, wyznaczające mu karę dyscyplinarną za zorganizowanie manifestacji przeciw Watykanowi w obronie biskupa Casaldaligi. Okazuje się obecnie, że pismo wysłane do Casaldaligi przed paru tygodniami

W sowieckiej prasie

Dnia 6 listopada br., w przeddzień obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej, ukazała się w *Izwiestiach* lakoniczna wiadomość o budowie pomnika polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Komentując tę decyzję rządu, W. Ananjew, zajmujący niezbyt eksponowane stanowisko głównego inspektora muzeów i twórczości artystycznej RSFSR, podkreślił, że pomnik uczci pamięć ofiar hitlerowców, którzy wymordowali polskich oficerów w 1943 roku (!).

Wiem, że niektórzy czytelnicy zarzucają mi zbytni sceptycyzm wobec „rewolucyjnych przemian” w ZSSR. Otóż przyznaję, że w tym przypadku zaszła prawdziwa zmiana. Przed *pieriestrojką* także mógł stanąć pomnik ofiar katyńskich, ale wówczas sowiecki urzędnik pisałby w komentarzu o wrogich knowaniach antysowieckich, poddających w wątpliwość, kto dokonał mordu. Teraz W. Ananjew przyznaje, że niektórzy ludzie na Zachodzie twierdzą, iż polscy oficerowie zostali zgładzeni na rozkaz kierownictwa NKWD, ale dodaje: „Nie mogę być sędzią w tej polemice (proszę, jacy skromni i obiektywni naczelnicy zajmują się *pieriestrojką!* — A.K.), ale wiem, że w swoim czasie specjaliści badali groby katyńskie i dowiedli, że polscy oficerowie zginęli od broni niemieckiej”. W 1943 roku! Jak potem nie mówić o dobrodziejstwach *pieriestrojki*?

Decyzję o wystawieniu w Katyniu pomnika można uważać za jeden z wyrazów obecnego baczniejszego zainteresowania Polską. PRL stała się dla Gorbaczowa swojego rodzaju poligonem doświadczalnym. Na jej terenie wypróbowuje możliwości dostosowania starego systemu do nowych warunków. „Kryzys rządowy” w Polsce wzbudził w Moskwie duże zainteresowanie. Historyk M. Pawłowa-Silwanskaja poświęciła mu duży artykuł w *Literaturnoj Gazecie* (z 12 października 1988): za główną nauczkę z dymisji premiera Messnera uważa fakt, że dowiodła ona, jak niebezpieczna jest „ściska więz między rządem i partią”. Jest

to jedna z naczelnych myśli Gorbaczowa: zdjąć z partii odpowiedzialność za kryzysy. Pawłowa-Silwanskaja pisze o Polsce: „Przy osłabionej gospodarce i poważnych konfliktach politycznych społeczeństwo z byle powodu staje twarzą w twarz z rządzącą partią i systemem...”. Problem odnosi się w stu procentach do Związku Sowieckiego i jest znaną sowiecką kwadraturą koła: wszechwładna, kontrolująca wszystko partia nie chce odpowiadać za kryzysy i katastrofy. Istota politycznej reformy Gorbaczowa polega na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak zwiększyć odpowiedzialność rządu, rad i związków zawodowych, nie zmniejszając zarazem ani o włos władzy partii. Polski poligon pozwala wypróbować rozmaite sposoby. Zakres „nowych rozwiązań” jest zresztą niebywale skromny. Marian Orzechowski, członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR, opisuje w *Prawdzie* (z 19 października 1988) rodzące się w Polsce „nowe oblicze socjalizmu”. Główne rysy „nowego oblicza” są bliźniaczo podobno do „starego oblicza”: „przewaga społeczna własności środków produkcji, kierownicza rola klasy robotniczej, kierownicza i przewodnia rola PZPR...”. Marian Orzechowski zapewnia jednak, że jest to „nowy model PZPR”, która — prawdziwa nowość! — jest „wiodącą siłą społeczną i kierowniczą siłą w państwie...”. Polska partia dąży do tego samego, co KPZS: chce być równocześnie partią przemian społecznych i partią opozycyjną. Próby jeszcze trwają, bo niełatwo być w opozycji do samego siebie. O ile wiem, w psychiatrii nazywa się to schizofrenią...

Starszy Brat nierzadko natychmiast stosuje u siebie wyniki polskiego eksperymentu. Pawłowa-Silwanskaja stwierdza z zadowoleniem: „Pięć głosów przeciw Rakowskiemu i trzydzieści pięć wstrzymujących się nie oszołomiło nikogo ani w Polsce, ani za jej granicami”. Kilka dni później (28 października 1988) podczas głosowania w Radzie Najwyższej ZSSR trzynastu z 1.350 deputowanych głosowało przeciw ustawie o obowiązkowej uprzedniej zgodzie na demonstracje, a 35 osób przeciw rozszerzeniu pełnomocnictw wojsk specjalnych. Zrobiło to wielkie wrażenie na świecie i utwierdziło go w przekonaniu, że demokracja wkroczyła do Moskwy szeroką ławą.

Moskwę bardzo interesuje to, co Orzechowski nazywa „historycznym kompromisem”, „dialogiem państwa z Kościołem”. W danym przypadku polski eksperyment jest unikatem. Moskwa z zadowoleniem stwierdza, że rezultaty są zadowalające. Korespondent *Moskowskich nowostiej* w Warszawie uzyskał audiencję u prymasa Polski (7 listopada 1988). Na główne pytanie — „czy Kościół weźmie bezpośredni udział w polityce państwowej? — kardynał Glemp odpowiedział: „Nowy premier śmiało bierze się za rozwiązywanie trudnych zadań. Wiemy, jak niełatwa jest teraz sytuacja i nie możemy, niezależnie od emocji, utrudniać mu pracy. Na odwrót, chcemy uczestniczyć w stworzeniu takich warunków, które pozwoliłyby krajowi ruszyć na przód. Kościół nie będzie uczestniczył bezpośrednio w polityce

państwowej, ale świeccy katolicy uważający się za kompetentnych specjalistów mogą wnieść swój wkład do wspólnej sprawy**.

Na tej samej stronie gazety widnieje inny „polski” materiał: wywiad z Dżuną Dawitaszwili, którą przyjął papież. Słynna znachorka, która podobno leczyła Breżniewa i wielu innych przywódców partii i rządu (nie licząc pośledniejszego narybku) po śmierci trzech kolejnych generalnych sekretarzy odeszła na jakiś czas w cień. Dziś znowu wróciła na scenę. Pojechała do Włoch, gdzie — jak zapewnia — poraziła wszystkich siłą emanujących z niej „sensorialnych sygnałów”. Na audyencji stawiała się — tak twierdzi — na zaproszenie papieża. Przyniosła mu w podarunku obraz własnego pędzla pod tytułem „Maria Magdalena” oraz wyraziła życzenie, by bóg (z małej litery) dał Mu zdrowie i szczęście i „by na ziemi zawsze panował pokój”.

Rozmawiający z Dżuną dziennikarz zrozumiał jej opowiadanie jako jeszcze jeden dowód pozytywnych zmian, jakie zaszły w Kościele: w średniowieczu — rzucił wykształcony dziennikarz — spalono by panią na stosie jako „czarownicę”, a dziś — papież przyjmuje! „Historyczny kompromis” ma mocny fundament — nadzieję, że Kościół robi postępy w pożądanym kierunku.

Polski poligon jest dla Moskwy niezwykle ważny, ponieważ tylko w Polsce toczy się dziś prawdziwa walka polityczna, walka o władzę. Kwestia władzy była dla Gorbaczowa zawsze — a zwłaszcza od chwili, kiedy został sekretarzem generalnym — najważniejsza. Poluzowawszy więzy, które spajają społeczeństwo sowieckie (ponieważ w żyłach systemu sowieckiego krew niemal przestała płynąć) Gorbaczow zaczyna teraz badać, w jaki sposób odtworzyć pełną kontrolę nad społeczeństwem. Jak zwykle — pisałem o tym nie raz — „apele KC KPZS” ogłaszane z okazji 1 maja i 7 listopada zawierają główne wytyczne polityczne na dany etap. Apel z okazji 71-ej rocznicy rewolucji (*Prawda* z 24 października 1988) potwierdza tę regułę. Najaktualniejsza z wytycznych brzmi: „Obywatele ZSSR! Zbudujemy socjalistyczne, praworządne państwo, umacniające prymat prawa i wolności, autorytet władzy!”.

„Autorytet władzy” jest głównym celem prac ustawodawczych ostatniego okresu. Pod koniec października opublikowano projekt zmian i uzupełnień do konstytucji ZSSR. *Prawda* w komentarzu do projektu stwierdza dawno znaną prawdę: „Istniejący obecnie system polityczny przez dziesięciolecia przystosowany był nie do organizowania społecznego życia na demokratycznych zasadach, a przede wszystkim do wypełniania nakazów administracji. Charakteryzowało go coraz większe skupienie zarządzania w rękach aparatu partyjno-politycznego. Rady narodowe straciły wszelką władzę...”. Pięćdziesiąt lat temu Boris Suwarin pisał: „ZSSR jest od góry do dołu kłamstwem. Cztery litery będące czterema inicjałami, zawierają co najmniej cztery kłam-

* W tym samym numerze publikujemy wspomniany wywiad prymasa Glempa w tłumaczeniu PAP-u.

stwa". *Prawda* przyznaje dziś przynajmniej jedno z nich — że władza rad jest mitem.

Przyznanie się do kłamstwa nie znaczy jeszcze, że zamierza się mówić prawdę. Gadanina o tym, że koniecznie należy „odać całą władzę w ręce rad” sprowadza się — sądząc po projektach zmian w konstytucji — do umocnienia przede wszystkim jedynowładztwa przyszłego przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR. Będzie nim — twierdzą bez najmniejszego ryzyka błędu — generalny sekretarz KC KPZS Gorbaczow. Przeciw zmianom w konstytucji wystąpiły ostro narodowe fronty Estonii, Łotwy i Litwy, widząc w nich przede wszystkim umocnienie władzy Moskwy i zagrożenie nadziei na większą autonomię, którą im obiecał Gorbaczow. Do Nadbałtyki posłano trzech „starszych sekretarzy”, członków Biura i sekretarzy KC W. Czebrikowa (przewodniczącego komisji polityki prawnej), N. Śluńkowa (przewodniczącego komisji polityki społeczno-ekonomicznej) i W. Miedwiediewa (przewodniczącego komisji ideologicznej). W chwili, kiedy piszę niniejszy przegląd, nie ma jeszcze informacji o przebiegu rozmów moskiewskich delegatów w Nadbałtyce, można jednak bez większych wątpliwości przypuszczać, że przedmiotem ich są granice autonomii i odpowiednich działań ruchów narodowych. Można także przypuszczać, że znowu zostanie zastosowana „metoda oymiańska”: rozmowy, obietnice, gra na zwłokę w nadziei na to, że ludzie chcący coś od Moskwy uzyskać tracą siły. Trzeba zresztą wziąć pod uwagę, że w tym przypadku Gorbaczowowi bardzo się spieszy: nie może się doczekać posady Przewodniczącego.

Drugi projekt ustawy nie został opublikowany, ale jest dość szeroko znany. Chodzi o ustawę prasową. Pierwsi komentatorzy pytają, co lepsze: nie mieć ustawy prasowej i pozostać we władzy wszechmocnych cenzorów, czy mieć ustawę, nawet jeśli będzie ona bardzo ograniczała wolność słowa. Jest to spór scholastyczny, ponieważ nowa ustawa pozostawia cenzorom ogromne pole swobody. Uczestnicy zwołanej 3 listopada br. w Paryżu konferencji prasowej wysłuchali taśmy z nagraniem opinii Andrieja Sacharowa o nowym projekcie. Akademik Sacharow wypunktował główne wady projektu: osobom prywatnym nie wolno posiadać żadnych przyrządów powielających (tzn. nie tylko komputerów z drukarkami, ale — teoretycznie — nawet maszyn do pisania); tylko zarejestrowane, czyli oficjalne organizacje społeczne mają prawo wydawania druków; nie wolno wydawać — jak powiedział Sacharow — „praktycznie niczego, co przedstawia jakąkolwiek wartość społeczną”, ani tego, co „nastawione jest na zmianę (Sacharow podkreślił, że nie chodzi o obalenie, a o zmianę) istniejącego ustroju socjalistycznego”. Uchwalenie projektu pogorszy sytuację nawet w porównaniu z epoką Breżniewa.

Doskonałą ilustracją „nowych” tendencji może być „sprawa Sołżenicyna”. W dziesiątym numerze *Nowego mira* ukazała się na ostatniej stronie okładki następująca zapowiedź: „Aleksander Sołżenicyn wyraził zgodę na publikację swych utworów”. Pismo

obięcywało je czytelnikom w 1989 roku. Kiedy wydrukowano już kilkadziesiąt tysięcy okładek, rozległ się dzwonek telefonu i „głos z góry” kazał zedrzeć wydrukowaną okładkę z pisma i oddać na przemiał, a następnie drukować bez Sołżenicyna. Zważywszy, że numer podpisali do druku naczelny redaktor pisma Żatygin i cenzor, głos musiał płynąć z bardzo wysoka, najprawdopodobniej od głównego ideologa, Wadima Miedwediewa. Miłośnikom historii przypominam, że podobna historia wydarzyła się sześćdziesiąt dwa lata temu. Piąty numer tego samego *Nowego mira* zawierał powieść Borysa Pilniaka „Opowieść o niewygasłym księżyciu”. Zanim zaczęto rozsyłać numer do prenumeratorów, rozległ się „głos z góry” i kazał zlikwidować cały nakład.

Czasy się jednak zmieniają. „Opowieść o niewygasłym księżycu” czekała na ukazanie się sześćdziesiąt dwa lata. Kilka dni po konfiskacie okładki *Nowego mira* odbyła się w październiku 1988 w Barcelonie konferencja prasowa z udziałem pisarzy moskiewskich i emigracyjnych (ściślej tych spośród nich, którzy gorąco popierają Gorbaczowa). Na jednym z posiedzeń kierownik sowieckiej delegacji Ales Adamowicz oświadczył, że dopiero co rozmawiał z generalnym sekretarzem, który dzwonił do Barcelony i prosił między innymi, by zawiadomił zebranych, że „Sołżenicyna wydamy, wydamy, kiedy będzie można. Na razie — nie można z powodu rozdziałów o Leninie. Cóż to — spytał Gorbaczow białoruskiego pisarza — chcielibyście, żeby wybuchła wojna domowa z Ligaczowem i jego stronnikami???”.

Ales Adamowicz oczywiście nie chce wojny domowej. Któż by jej chciał? Znaczy to, że: 1. trzeba się pogodzić z wszechwładzą cenzury, 2. trzeba walczyć o zwiększenie władzy rozumiejącego wszystko generalnego sekretarza.

Porównując obie historie *Nowego mira* można twierdzić, że zmieniają się czasy, ale także, że zmieniają się metody i generalni sekretarze, stosujący metody odpowiadające ich naturze.

Gorbaczow nadal jest wszędzie. Przypomina inteligencji, że w ostatecznym rachunku może liczyć tylko na niego. Przewodniczy zebraniu komisji, która przygotowuje „Zarys historii KPZS”. Padnie nareszcie ostatnie słowo o przeszłości, oficjalna historia, której tak rozpaczliwie brak agitatorom i propagandygom. Gorbaczow wychowuje kadry partyjne. Dnia 12 października br. odbyło się w KC zebranie na temat najważniejszej w tej chwili reformy rolnej. Żadna z dotychczasowych administracyjnych reform rolnictwa niczego nie dała. Zaopatrzenie w żywność pogarsza się z dnia na dzień. Gorbaczow doszedł do wniosku, że kluczem do rozwiązania jest oddanie kołchoźnikom ziemi w długoterminową (do 50-ciu lat) dzierżawę. W listopadzie br. odbędzie się plenum KC, które na pewno zatwierdzi odpowiednią ustawę. Na razie Gorbaczow zaprosił zwolenników reformy na rozmowę. Zebrani robotnicy rolni mówili o niepoko- nanych (jeszcze) trudnościach, które piętrzą się przed reformą. Kołchoźnicy mianowicie nie wierzą, że będą mogli prowadzić

własne gospodarstwa, nie ufają władzy, nie chcą pracować, bo w kołchozie i bez pracy mają zapewnione niezbędne minimum. Mówili też, że żadne ustawy nie gwarantują jeszcze praw chłopów. Ale Gorbaczowowi się spieszy. Za przykład stawia leninowski NEP. Pokazał nawet zebranym żywego farmera, Estończyka M. Saldre, który wydzierżawił od swojego kołchozu 28 hektarów ziemi i osiągnął wspaniałe wyniki. Farmer ów, kułak, jak mówiono w epoce kolektywizacji, jest w KC postacią niespotykaną, toteż Gorbaczow przedstawił go tak: „Jeszcze wczoraj był sekretarzem organizacji partyjnej. Dobry farmer. Nasz”. Oto marzenie Gorbaczowa: „nasz”, „swój”, partyjny farmer, kochający władzę sowiecką i pracujący dla niej (a przy okazji trochę i dla siebie) od rana do nocy. Taki cud zdarzył się w Związku Sowieckim — o ile się nie myłę — na razie tylko w jednym egzemplarzu.

„Czekają nas niełatwe lata, zwłaszcza najbliższe 2-3-4 lata” — zapowiedział Gorbaczow w rozmowie z wydawcą tygodnika *Spiegel*, Rudolfem Augsteinem (*Prawda* z 24 października 1988). Zwążywszy, że naród sowiecki czeka już na poprawę, którą mu Gorbaczow obiecał w najbliższej przyszłości ledwie doszedł do władzy, tj. prawie cztery lata temu, perspektywy — jak lubi mawiać generalny sekretarz — nie są proste. Można jednak zwrócić się o pomoc do Zachodu, który jej Związkowi Sowieckiemu nigdy naprawdę nie odmówił. W pierwszych latach władzy Gorbaczow odnosił się nieufnie do myśli o dużych zachodnich kredytach, mając świeżo w pamięci doświadczenie Gierka w Polsce. Wiosną bieżącego roku ekonomista Nikołaj Szmielew opublikował artykuł o rewolucyjnej sytuacji w ZSSR („góra” nie może więcej rządzić, a „doły” nie chcą więcej żyć po staremu) i zaproponował jako jeden ze środków zaradczych, zapewniających natychmiastową poprawę sytuacji, „znaczny wzrost importu towarów powszechnego użytku”. Niebędne do tego dewizy Szmielew proponował zdobyć dzięki sprzedaży złota i zachodnim kredytom. Należy sądzić, że rada została wysłuchana. Wystarczy spojrzeć na liczby. W latach 1982-1984 ZSSR dostał 2,3 miliardy dolarów pożyczek i kredytów, od 1985 do końca 1987 roku — 8,4 miliardów. W toku dziesięciu dni października 1988 banki handlowe RFN, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch i Japonii oświadczyły, że mają zamiar pożyczyć Związkowi Sowieckiemu 9 miliardów dolarów. To dopiero początek. U bram Kremla stoi już kolejka ofiarodawców i czeka na przyjęcie pożyczki. Włoch Benedetti rzucił myśl o zorganizowaniu — w celu pomóżenia Gorbaczowowi — nowego „planu Marshalla”. Przypomnijmy, że Europa korzystała z pomocy „planu Marshalla” po sześciu latach niszczycielskiej wojny, a Związek Sowiecki od lat ponad czterdziestu żyje w pokoju (nie licząc napaści na Afganistan), przypomnijmy też, że Stalin nie tylko zrzędnował z pomocy, ale zabronił też przyjmowania jej innym „krajom demokracji ludowej”, ale zauważmy, że myśl Benedettiego podchwyciły szerokie kręgi kapitalistów. A Gorbaczow bynajmniej się nie wzbrania. Gotów jest oddać kapitalistom przysługę i przyjąć ich kapi-

tały, ale tylko na własnych warunkach. „Nie czekamy na ‘pomoc’” — oświadczył *Spiegelowi* — ale „gotowi jesteśmy wykonać w pełni także te możliwości, jakie dają stosunki zagraniczne”. W odpowiedzi na dyżurne rozważania kanclerza Kohla o możliwości zjednoczenia Niemiec Gorbaczow kategorycznie odrzucił taką perspektywę. Tak samo potraktował Augsteina, nieśmiało pytającego, czy jest możliwe, by Związek Sowiecki wyrzekł się kiedyś, za 5-10 lat, „antyfaszystowskiego wału obronnego”, który biegnie przez Niemcy i Europę Środkową. Sam fakt, że Augstein użył dla oznaczenia państw obozu socjalistycznego starej stalinowskiej formuły dowodzi, że wspominał o tym tylko z obowiązku. W odpowiedzi Gorbaczow oświadczył, że należy myśleć o budowie „wspólnego europejskiego domu” i dodał: „Nie marzyłbym o tym, o czym za wcześniej mówić”. Wydawca *Spiegla* nie wrócił do tego pytania.

Do Paryża przyjechał na kilka dni Sergiej Paradżanow ze swym nowym filmem. Znany reżyser był nad Sekwaną po raz pierwszy i bez przerwy udzielał wywiadów. Doskonały znawca ludzkich charakterów, wiele mówił o Gorbaczowie, u którego dostrzegł wybitny talent aktorski. Kreml przypomina reżyserowi Elsinor, a generalny sekretarz duńskiego księcia Hamleta. Z punktu widzenia Paradżanowa w Gorbaczowie za mało jest okrucieństwa: w toku *perestrojki* generalny sekretarz i głowa państwa sowieckiego powinien być okrutny.

Można jednak zarzucić autorowi „Cieni zapomnianych przodków”, że Hamlet, który także był niepoślednim aktorem, zarządził Poloniusza, posłał na śmierć Rosenkrantza i Gildensterna, zabił króla, a potem także Laertes. Nikt nie wątpi, że Hamlet był synem swoich czasów. A Gorbaczow?

Adam KRUCZEK

12 listopada 1988

Kronika niemiecka

W dziedzinie ekonomiczno-gospodarczej stosunki sowiecko-zachodniemieckie nabierają nowych wymiarów. Poza oficjalnym potwierdzeniem wcześniej przygotowanych, spektakularnych umów — o udzieleniu Sowietom kredytu w wysokości 3 mld marek i o budowie nad Dnieprem reaktora atomowego wartości 1 mld marek — podpisano prawie 30 umów o dostawach, kooperacji, *joint-ventures* o wartości setek milionów marek. ■ W dniach 20-21 października odbyło się w Berlinie Zachodnim zorganizowane przez *Literarisches Colloquium* seminarium *Frauen — Literatur — Sozialismus* (Kobiety — Literatura — socjalizm). Pierwszy dzień poświęcony był literaturze węgierskiej. Drugiego dnia dyskusję prowadziła mieszkająca w Berlinie Zachodnim pisarka i dziennikarka Ewa Maria Slaska; omawiano zagadnienia literatury polskiej. Udział brały m.in. prof. Maria Janion, Dorota Siwicka

oraz znana poetka Ewa Lipska. ■ Zachodniobrzeńska polska oficyna veto urządziła w księgarni *Stodiek* wieczór autorski Tomasza Jastruna, w czasie którego sprzedawano wydany tu dwujęzyczny zbiór poematów *Fast zweihundert Jahre schon — Od prawie dwustu lat*. Wiersze tłumaczone przez Waję Ronge czytali autor i aktor berliński *Schiller-Theater* K. Ulrich Meves. ■ Kieleckie Zakłady Drobiarskie Poldrop eksportują do RFN 1.300 ton gęsi rocznie. ■ W 46tym numerze redagowanego m.in. przez Güntera Grassa i Johana Strassera pisma *L'80*, poświęconego literaturze i polityce (kwartalnik prawdopodobnie przestanie się ukazywać — brak czytelników!) ukazał się obszerny blok wierszy młodych poetów polskich — Mirosława Spychalskiego, Adama Poprawy, Piotra Sommera, Gwidio Zlatkasa, Ryszarda Holzera, Zbigniewa Macheja, Krzysztofa Winnickiego oraz Jarosława Brody w przekładach wybijającej się tłumaczki Renate Schmidgall. ■ W Akwizgranie obradował Europejski Zjazd Konfederacji Grup Popierających Działalność „Solidarności” (CSSO). Na sprawnie zorganizowany zjazd przybyło ponad 64 przedstawicieli grup „Solidarności” zrzeszonych w CSSO. Wieczór inauguracyjny otworzył kierownik biura brukselskiego „Solidarności”, Jerzy Milewski. Oprócz grup zrzeszonych w CSSO obecne były też organizacje związane z ruchem „Solidarności”, jak *Solidarność Walcząca* czy *Niezależne Zrzeszenie Studentów*. W czasie obrad wystąpił działacz „Solidarności” z Dolnego Śląska Krzysztof Turowski, który omawiał sytuację w kraju. Podczas dyskusji szczególnie poruszono problem pojawienia się nowej generacji działaczy opozycyjnych i ich wpływu na ewentualną zmianę krajobrazu politycznego Polski. W drugiej części obrad Krzysztof Turowski, Konrad Tatarowski i dr Witold Pronobis przedstawiali rozwój niezależnego ruchu wydawniczego w małych ośrodkach i tzw. eksplozję prasy młodzieżowej. W trakcie obrad odbyła się premiera programu telewizyjnego satelitarnej, przygotowanej przez paryski *Kontakt* przy życzliwej pomocy *Parlamentu Europejskiego*. ■ Według statystyk amerykańskich, PRL jest ósmą potęgą zbrojeniową świata. Wydaje o połowę więcej na zbrojenia niż RFN. ■ Na zamku Horneburg w miejscowości Datteln-Horneburg (Nadrenia-Północna Westfalia) czynna była wystawa malarstwa i rysunku polskiego artysty-malarza Andrzeja J. Piwarskiego (Essen). Ekspozowano blisko trzydzieści prac powstałych w latach 1984-1988. ■ Rada Państwa PRL przyznała medale Rodła 18 działaczom przeżyłym w Berlinie Zachodnim. Medale wręczyli — szef *Misji Wojskowej* w Berlinie Zachodnim Zygmunt Zieliński oraz przewodniczący *Stowarzyszenia „Wisła-Odra”* poseł Edmund Męclewski. Tych 18 działaczy związanych jest z *Towarzystwem Śpiewu Polskiego „Organ”*. ■ Między rokiem 1970 a 1986 produkcja mleka na 1 mieszkańca spadła w Polsce o 38 litrów, a w tym czasie wzrosła w NRD o 134 litrów. Produkcja mięsa na 1 mieszkańca wzrosła w PRL w ostatnich szesnastu latach o 16 kg, w NRD o 53 kg. ■ Podczas zjazdu działaczy *Niemiecko-Polskiego Towarzystwa* w Badenii-Wirtembergii delegacja z PRL skarżyła się z powodu trudności w utrzymaniu na terenie RFN ok. 8 tys. polskich pracowników budowlanych. ■ Ambasada RFN w Warszawie wydała w pierwszych 8 miesiącach br. ponad 480 tys. wiz, prawie o połowę więcej niż w tym samym okresie roku ubiegłego. ■ *Studiobühne* w Kolonii wystawiła oryginalne grafiki i rysunki Janusza Pac-Pomarnackiego i Krzysztofa Trussa. ■ *Wspólnota Europejska (EG)* przekazała ambasadzie PRL w Brukseli i Kolonii pismo, iż przychyliła się do wniosku rządu PRL o nawiązanie stosunków dyplomatycznych. ■ W czasie *Tygodnia Polsko-Niemieckiego* socjaldemokratyczni i chadeccy klerkowie zachodniobrzeńskiego ratusza nie chcieli pokazać na wystawie książki Andrzeja Szczypiorskiego *Początek* (Instytut Literacki, Paryż 1986) tłumacząc się brakiem miejsca... ■ Nowe przedstawicielstwo krajowego niezależnego wydawnictwa *Przedświt*: Wojciech Drodzdek, *Stodiek's Buchhandlung*, Richard-Wagner-Str. 39, D-1000 Berlin 10. ■ *Börsenblatt für d. Deutschen Buchhandel* poinformował, że

dr Bronisław Geremek nie otrzymał paszportu na wyjazd do Frankfurtu na Międzynarodowe Targi Książki, gdzie oficyna *Artemis* (Monachium) przedstawiała jego *Geschichte der Armut* (*Historia biedy*). Władze PRL nie odpowiedziały wydawnictwu na pytanie, czym uzasadniają swoje staowisko. Książka Geremka miała bardzo dobre recenzje. ■ Spotkanie z Andrzejem Drawiczem zorganizował w Monachium tamtejszy Klub Niezależnej Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego. Andrzej Drawicz jest m.in. autorem rozpraw literacko-publicystycznych pt. *Inna Rosja* (Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1988) — i taki był też temat spotkania. Okazało się jednak, że przytaczająca większość publiczności (a byli to zarówno tzw. „starzy” emigranci, jak i nowo przybyli oraz przyjezdni z kraju) wszelkie nawoływanie do szukania „innej Rosji” uznaje za przedwczesne. Dyskusja miała charakter polemiczny, przeważało przekonanie, że *perestrojka* i reformy gorbaczowowskie mają charakter posunięć kosmetycznych i że wobec wschodniego sąsiada należy nadal zachować stosunek wyczekujący, nie angażując się w „nowe przyjaźnie”. ■ Powieść Witolda Gombrowicza *Opetani* (Instytut Literacki, *Varia*, Paryż 1973) jest drukowana w odcinkach we *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, w przekładzie Klauza Staemmlera. ■ Według ankiety przeprowadzonej przez rozgłośnie *Südwestfunk* *Dzienniki* Witolda Gombrowicza uplasowały się na I miejscu listy *best-seller*’ów w miesiącu listopadzie 1988. Książki Andrzeja Szczępiorskiego — *Die schöne Frau Seidenman* (*Początek*) i *Eine Messe für die Stadt Arras* (*Msza za miasto Arras*) utrzymują się stale w pierwszej dziesiątce listy *best-seller*’ów wielkiego hamburskiego tygodnika *Der Spiegel*. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* poświęca całą kolumnę opowiadaniu Andrzeja Szczępiorskiego — *Der reservierte Tisch* (*Zarezerwowany stół*). Tłumaczył Klaus Staemmler. ■ Z okazji 50-lecia pogromu hitlerowskiego (*Reichskristallnacht*) przemawiał w Sztutgarcie prof. Władysław Bartoszewski, który wystąpił również w Moguncji, jako gość premiera Nadrenii-Palatynatu, Bernarda Vogla. ■ *Wschodnioeuropejskie Centrum Kulturalne IGNS* w Kolonii urządziło spotkanie dyskusyjne poświęcone zagadnieniom związanym z pojęciem państwa (*Państwowość polska w przeszłości, dziś i w perspektywie przyszłości*). Spotkaniu przewodniczył i słowo wprowadzające wygłosił mgr Tadeusz Folek, prawnik i publicysta z Kolonii. ■ Jadwiga Zeleszkiewicz i Waclaw Stawny opracowali dla zachodniobermberskiej rozgłośni RIAS interesującą audycję pt. *Kraków i Warszawa. Historia pewnej rywalizacji*. ■ *Francke Verlag* w Tybindze wydał zbiorową pracę pt. *Die politische Kultur Polens* (*Polityczna kultura Polscy*) pod redakcją Gerda Meyera i Franciszka Ryski. ■ Tematyka niemiecka coraz częściej pojawia się na łamach krajowej prasy niezależnej. Sprawy Niemiec ujmowane są jednak głównie z punktu widzenia RFN. Problemy NRD pomijane są raczej milczeniem. Szkoda. Ciekawe głosy w dyskusji na temat zjednoczenia Niemiec można znaleźć w pismach *Veto* (nr 16), *Nowa Republika* (nr 23) i *Kurs* (nr 26). ■ Władze PRL już nie usiłują pomniejszać wagi sporu o tor wodny w Zatoce Pomorskiej, spowodowanego rozszerzeniem pasa NRD-owskich wód terytorialnych. Rzecznik warszawskiego MSZ-tu, Stefan Staniszewski, powiedział, że polsko-enerdowski spór jest „bardzo poważny”; musi zostać wypracowane takie rozwiązanie, które zapewni PRL „wolny dostęp do portów w Szczecinie i Świnoujściu”. *PAP* mówiła nawet o „incydentach” na wodach Zatoki Pomorskiej. Polskie pogłębiarki mimo braku wyraźnej zgody NRD-owskich władz wpłynęły na tor wodny (w asyście śmigłowców i ścigaczy *Marynarki Wojennej*) i przystąpiły do pracy nad pogłębieniem spłyconego i zamulonego dna morskiego. W sprawie ostatecznego rozwiązania kwestii granicznej w Zatoce Pomorskiej wypowiedział się nawet ordynariusz diecezji Szczecin-Kamień, bp Kazimierz Majdański. ■ W Warszawie odbyły się *Dni kultury RFN*; głównie młodzież słuchała świetnych pisarzy — Bienka, Grassa i Hårdlinga; wystąpił balet sztutgarcki z choreografią Johna Neumaiera na motywach sztuki Williamsa,

odbyły się liczne sympozja i konwersatoria naukowe oraz literackie, m.in. dr Karl Dedecius mówił o teorii i praktyce przekładu literackiego. W warszawskim kinie Bajka pokazano filmy Wima Wendersa (m.in. *Paryż — Teksa: Hammet* i *Amerykański przyjaciel*). Po spotkaniach z Grassem, Bienki n i Härtlingiem na Uniwersytecie Warszawskim odbyły się projekcje filmów zrealizowanych na podstawie ich powieści (*Blaszany bębenek*, *Pierwsza polka* i *Jakub za niebieskimi drzwiami*). ■ Malarstwo i rysunki Janusza Nowackiego (ur. w 1945 roku w Lutomiersku) wystawiała *Galerie KIK w Berlinie Zachodnim*. ■ *Federalny Instytut Spraw Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych* w Kolonii wydał starannie opracowaną i udokumentowaną pracę dr. Dietera Bingena pt. *Die Stellung Polens in der „sozialistischen. Gemeinschaft“* (Pozycja Polski we „wspólnocie socjalistycznej”).

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

29 marca br. utworzono w Kijowie stowarzyszenie ekologów „Zelenyj Swit”; jego przewodniczącym został Jurij Szczerbak, znany autor licznych artykułów na temat Czarnobyla. ■ 26 kwietnia br., w drugą rocznicę katastrofy w Czarnobylu, na wezwanie „Klubu Kultury i Ekologii” 500 manifestantów przemarszerowało bulwarem Kreszczatik niosąc plakaty z napisami: „Precz z zakładami atomowymi z Ukrainy”, „Jawność i demokracja do końca”, „Ukraina strefą bezatomową” i inne. Po rozproszeniu demonstracji zatrzymano około 50 osób, w tym próbujących przemawiać: Ołesia Szewczenkę, Serhija Nabokę i Leonida Milaskiego. O. Szewczenko został następnie skazany na 15 dni aresztu. ■ 12 członków lwowskiej pacyfistycznej Grupy Zaufania podpisał apel skierowany do uczestników wiedeńskiej konferencji pohelskiej przez 180 Węgrów, 21 Polaków, 15 Niemców, 26 Jugosłowian, A. Sacharowa i 61 sygnatariuszy z Moskwy i Leningradu. 15 marca br. Grupa Zaufania skierowała list z wyrazami solidarności do opozycji polskiej w związku z rozpędzeniem przez milicję manifestacji rocznicowych w dniu 8 marca. W sierpniu br. Grupa Zaufania protestowała przeciwko wojnie w Afganistanie i wyraziła swoją solidarność z ruchem „USA precz z Ameryki Środkowej”. ■ Policja zatrzymała grupę Ukraińców, która udawała się do Moskwy na spotkanie 28 maja br. z prezydentem Reaganem. Członkowie delegacji biskupa unickiego Wasyłyka, ojca Hawryłowa, Mykoła i Hryhoriya Simkajów oraz Zenowija Krasiwskiego wyciągnięto z pociągu przed Tarnopolem. Do Moskwy dotarli Waczesław Czornowił, Mychajło Horyń i jego żona Ola, Iwan Hel i Petro Ruban. Czornowił w czasie rozmowy z Reaganem poruszył sprawę legalizacji ukraińskiej Cerkwi katolickiej, wolności religii i kwestię narodową w ZSSR. ■ 11/12 czerwca br. utworzono we Lwowie Komitet Koordynacyjny Ruchów Patriotycznych narodów ZSSR. ■ 21 czerwca br. na Stadion „Drużba” przybyło 50 tysięcy ludzi. Władze odmówiły otwarcia bram, przywieziono natomiast autobusami robotników jednego z dużych zakładów pracy. Mieli oni przeszkadzać wystąpieniom opozycjonistów, ale przyłączyli się do wieńczących i nie dopuścili do głosu sekretarza partii z własnego zakładu. Padły żądania legalizacji ukraińskiej Cerkwi katolickiej, powtórnego wyboru delegatów na

konferencję moskiewską i nadania ukraińskiemu statusu języka państwowego. Następny wiec odbył się 28 czerwca pod pomnikiem Lenina. Przybyło nań około 30 tysięcy uczestników. Jednym z przemawiających był inżynier Makar, który wezwał do zebrania się 7 lipca pod pomnikiem Iwana Franki celem omówienia miejsca dla przyszłego pomnika Tarasa Szewczenki i utworzenia „Demokratycznego Frontu Popierania Przebudowy”. 7 lipca w wiecu wzięło udział 20 tysięcy ludzi. Tym razem władze przygotowały się starannie; aktywiści partyjni zajęli miejsca pod pomnikiem i gdy tylko ktoś chciał mówić na inny temat niż wybór miejsca na pomnik Szewczenki, starali się go zagłuszyć gwizdami i krzykiem. Po pewnym czasie ludzie zorientowali się i zaczęli w ten sam sposób zagłuszać oficjalnych mówców. Gdy do mikrofonu podszedł prof. Zdoroweha, inż. Makar poinformował zebranych, że mówca uczestniczył jako ekspert w procesach początku lat siedemdziesiątych. Wówczas podniosły się krzyki „hańba” i nie dopuszczono go do głosu. Postanowiono, że pomnik stanie między operą a pomnikiem Mickiewicza w centrum, a nie na przedmieściu, jak chciały władze. Inżynier Makar poinformował też, że Front już powstał. Utworzyły go m.in.: Miejski dyskusyjny klub polityczny, który już rozpadł się na skrzydło marksistowskie i socjaldemokratyczne, Grupa Zaufania, Społeczny Komitet ukraińskiej Cerkwi katolickiej, Ukraiński Związek Helsiński, Towarzystwo Lwa, Towarzystwo Języka Ojczystego, Towarzystwo Kultury i Literatury Żydowskiej. Głównym kierunkiem działalności Demokratycznego Frontu powinien stać się udział w wyborach i kontrola stosowania procedury demokratycznej przy ich przeprowadzaniu. Pierwszy wiec Frontu inżynier Makar zapowiedział na 4 sierpnia br. 27 lipca władze partyjne powiadomiły Iwowiua za pośrednictwem prasy i radia o zakazie odbywania dalszych wieców. Mimo to następnego dnia pod pomnik Iwana Franki przybyło około tysiąca osób, by jak co czwartek dyskutować i czytać niezależne publikacje. Naczelnik wydziału MSW ogłosił, że jest to sprzeczne z prawem i wezwał zebranych do rozejścia się. Wywiązała się sprzeczka między milicją i ludźmi, którzy powoływali się na *glasnost*. Nie trwało to długo i milicja zaatakowała tłum, rozbijając go na izolowane grupy, a następnie rozpędzając je: ludziom wykręcano ręce i wciągano ich do milicyjnych samochodów. Zatrzymano około 50 osób, które jeszcze tego samego wieczora postawiono przed sądem. Zostali oni skazani na kary grzywny, przymusowej pracy z utratą 20 % zarobków lub aresztu do 15 dni. 4 sierpnia rano aresztowano inżyniera Makara, który od razu rozpoczął głodówkę protestacyjną. W połowie listopada przebywał on jeszcze w więzieniu Iwowskim. 4 sierpnia wieczorem na ulicach przyległych do placu, na którym wznosi się pomnik Iwana Franki, zebrało się 3 tysiące ludzi. Do ich rozpędzenia użyto specjalnych oddziałów milicji. W odpowiedzi na stwierdzenia oficera, że wiecu nie będzie, ktoś z tłumu krzyknął „Wolność dla Ukrainy”. Zebrani podchwycili to hasło i zaczęli skandować „wolność”. Żądano także uwolnienia inżyniera Makara. Funkcjonariusze oddziałów specjalnych wyciągali z tłumu ofiary i wleki je do samochodów. Gdy oddział specjalny ruszył na demonstrantów, ci zaczęli skandować: „Hańba, hańba”, następnie wzięli się za ręce i spychani przez milicję wycofali się w kierunku Opery. Śpiewano pieśni ludowe. Kiedy jednak zaintonowano Międzynarodówkę, oddział specjalny zaatakował tłum. Ludzi brutalnie bito. Aresztowano co najmniej 30 osób, które następnie skazano na kary podobne do wymierzonych po demonstracji z 27 lipca. ■ 23 czerwca br. we Lwowie Komitet Obrony Ukraińskiej Cerkwi katolickiej zorganizował na cmentarzu Łyczakowskim obchody ku czci ofiar stalinizmu i więźniów sumienia, którzy zmarli w obozach. W uroczystościach wzięło udział około 3 tysięcy osób. Mszę żałobną odprawili dwaj księża grekokatolicy. ■ 5 lipca br. utworzono w Kijowie przy Ukraińskim Towarzystwie Przyjaźni i Kontaktów Kulturalnych z Zagranicą polską sekcję kulturalno-oświatową, która jest „stowarzyszeniem społecz-

nym obywateli radzieckich pochodzenia polskiego". Sekcja ma m.in. pomagać w nauczaniu języka polskiego, dbać o pamiętki kultury polskiej itp. Przewodniczącym sekcji został S. Szański. ■ 7 lipca br. Ukraińska Grupa Helsińska opublikowała program Ukraińskiego Związku Helsińskiego, który ma być federacją organizacji ukraińskich działających na rzecz obrony praw człowieka na Ukrainie i poza granicami Republiki oraz zgłosiła jako pierwsza swój akces do nowej organizacji. W programie Związku czytamy: „odrodzenie państwowości ukraińskiej, która dziś istnieje tylko na papierze, stanowiłoby podstawową gwarancję praw gospodarczych, społecznych, kulturalnych i obywatelskich zarówno dla narodu ukraińskiego, jak też dla mniejszości narodowych zamieszkujących terytorium Ukrainy”. ZSSR należy więc przekształcić najpierw w „federację suwerennych i demokratycznych republik”, a następnie w „konfederację niezależnych państw”. Autorzy programu domagają się od rządu republikańskiego otoczenia opieką ludności ukraińskiej zamieszkałej poza obecnymi granicami Republiki zarówno na terenie ZSSR jak też w państwach sąsiednich, a także sugerują potrzebę zmian granic między Ukrainą i innymi republikami ZSSR. Proponuje się także wprowadzenie odrębnego obywatelstwa ukraińskiego; warunkiem przyznania byłaby znajomość języka ukraińskiego (tj. państwowego). W sprawie mniejszości narodowych proponuje się nadanie im autonomii kulturalno-narodowej, obejmującej m.in. własne stowarzyszenia narodowe, szkoły, teatry, muzea, prasę i Kościoły oraz utworzenie narodowych jednostek administracyjnych na poziomie wsi, gmin i powiatów dla narodów żyjących w zwartych skupiskach. System polityczny oparty na wolnych wyborach i gospodarka wolnorynkowa uzupełniają program przyszłego związku. W odpowiedzi na ataki władz związek wydał 28 lipca oświadczenie w sprawie stosunku do mniejszości narodowych, potwierdzając w nim swoje stanowisko. We wrześniu ukraińscy członkowie Związku Demokratycznego utworzyli w Moskwie tamtejszy oddział Ukraińskiego Związku Helsińskiego. ■ 24 lipca br. władze podjęły akcję represyjną przeciwko działaczom „Klubu Kultury i Ekologii”; 16 osób pobito i wywieziono poza Kijów. ■ 12 września br. *Prawda* poinformowała o prowadzonej od dwudziestu lat przez KGB i SB akcji pod kryptonimem „Bumerang”, która polega na tworzeniu przez agentów KGB rzekomej siatki OUN(b) na Ukrainie i przechwytywaniu zachodnich kurierów. ■ 24 września br. władze oficjalnie odmówiły rehabilitacji zmarłego w żagrze poety Wasyla Stusa i sprowadzenia jego zwłok na Ukrainę. ■ 24/25 września br. odbyła się w Rydze narada przedstawicieli ruchów narodo-demokratycznych Łotyzy, Litwinów, Estończyków, Ukraińców, Rumunów z Mołdawii i Tatarów krymskich. Stronę ukraińską w Komitecie Koordynacyjnym ruchów reprezentują O. Szewczenko i Hryhorij Prychodko. Zebrani uchwalili m.in. rezolucję, w której potępił hierarchię rosyjskiego Kościoła prawosławnego za współpracę w przesładowaniach ukraińskich katolików i prawosławnych oraz stwierdzili, iż najgorsze jest położenie ludzi wierzących na Ukrainie. ■ 29 września br. w niezależnych uroczystościach w Babim Jarze — miejscu straceń Żydów — wzięło udział około tysiąca osób. ■ 1 listopada br. od 15 do 20 tysięcy ludzi wzięło udział w panichidzie odprowianej na cmentarzu Janińskim we Lwowie, gdzie znajdują się groby Strzelców Siczowych. Mszę odprawił ksiądz grekokatolicki, który następnie poprowadził procesję do grobów generałów Ukraińskiej Armii Halickiej (UHA) Tarnawskiego i Lewyckiego. Pisarz R. Bratun, znany ze swych walk z „białymi płamami” w historii Ukrainy, wygłosił mowę, w której powiedział: „Zebraliśmy się tutaj dziś, by złożyć kwiaty na grobach tych, którzy walczyli o wolność Ukrainy”. Śpiewano także pieśni patriotyczne poświęcone Strzelcom. ■ Ukazały się kolejne numery 9/10 oraz 11/12 niezależnego *Ukrajinskoho Wisnyka*, wydawanego we Lwowie przez W. Czornowota. Pojawiały się również cztery pierwsze numery kwartalnika literackiego *Ka-*

tedra, wydawanego we Lwowie jako organ Ukraińskiego Stowarzyszenia Niezależnej Inteligencji Twórczej — UANTIL, z siedzibą w Kijowie. W Kijowie grupa studentów, która utworzyła stowarzyszenie „Hromada”, rozpoczęła wydawanie niezależnego czasopisma *Dziwin*. Dotychczas ukazały się trzy numery. „Hromada” domaga się przede wszystkim ukrajinizacji Republiki. 26 czerwca br. „Hromada” zorganizowała demonstrację, w której wzięło udział tysiąc osób, na znak protestu przeciwko prowadzeniu robót budowlanych na obszarze Akademii Mohylańskiej. W Kijowie ukazał się też pierwszy numer biuletynu informacyjnego Klubu Kultury i Ekologii — *Koło*. Pojawiły się także 32/33 numer *Kroniki Kościoła Katolickiego na Ukrainie* oraz 2 numer nowego czasopisma *Chryścijański Hołos*. ■ Rosyjski działacz prawosławny Władimir Poresz zwrócił się w liście otwartym do patriarchy Pimena z wezwaniem o pomoc nielegalnej ukraińskiej Cerkwi katolickiej. ■ 5 czerwca br. Klub Kultury i Ekologii zorganizował niezależną uroczystość u stóp pomnika św. Wołodymyra w Kijowie, upamiętniającą Millenium chrztu Rusi-Ukrainy. Pod pomnikiem zebrało się około 200 osób. Dla upamiętnienia tysiąclecia chrztu 29 maja i 5 czerwca miały też miejsce greckokatolickie msze święte w pobliżu Lwowa, w których wzięło udział około 2 tysięcy wiernych. W charkowskich niezależnych uroczystościach millenijnych, zorganizowanych przez Stepana Sapeliaka, wzięło udział około 300 osób. W uroczystościach we wsi Hrusziw (miejsce ukazania się Matki Boskiej) uczestniczyło 8 tysięcy wiernych (10 lipca). 17 lipca w centralnych niezależnych obchodach tysiąclecia chrztu we wsi Zarwanczia w *oblasti* Tarnopolskiej udział wzięło 15 tysięcy pielgrzymów, mimo przeciwdziałania policji i aktywistów komsomołu. Biskup Wasyłyk za udział w uroczystościach został skazany na tysiąc rubli grzywny. Już około 30 tysięcy osób podpisało petycję domagającą się zalegalizowania ukraińskiej Cerkwi katolickiej. Władze nie przeszkadzały w spotkaniu kardynała Willebransa, który przybył na oficjalne uroczystości millenijne, z dwoma biskupami greckokatolickimi oraz kilku księżmi. 8 września biskup Joseph Stimpfe z RFN spotkał się z arcybiskupem greckokatolickim Sterniukiem we Lwowie i przekazał mu w darze 100 egzemplarzy Biblii, które następnie zostały skonfiskowane przez KGB. ■ Ze względu na „brak papieru” ograniczono nakład miesięcznika Związku Pisarzy Ukrainy *Literatura Ukrainy*, który należy do czołówki gazet popierających *glasnost*. We wrześniu br. *Literatura Ukrainy* zamieściła artykuł omawiający represje, które w latach 1930 dotknęły ponad 500 pisarzy i poetów ukraińskich.

Józef DARSKI

Kronika litewska

Prezydium Rady Najwyższej Litwy postanowiło nadać językowi litewskiemu status państwowego języka republiki oraz zezwolić na wywieszenie w pewnych okolicznościach (np. imprezy młodzieżowe, sportowe, regionalne) tradycyjnej flagi litewskiej. Dnia 7 października br. w Wilnie na górze Giedymina (Górze Żankowej) została uroczystie wywieszona żółto-zielono-czerwona flaga narodowa. ■ Po licznych manifestacjach z okazji rocznic masowych deportacji i rocznicy podpisania 23 sierpnia 1939 roku paktu Ribbentrop-Mołotow odbyła się w Wilnie 28 sierpnia 1988 roku kolejna demon-

straja. Wobec coraz bardziej nieprawomyślnych hasł kierownictwo litewskiej kompartii znecierpliwilo się i posłało liczne oddziały milicji, która interweniowała zbyt energicznie, bo byli ranni. Wywołało to wielkie oburzenie w kołach ruchu *pieriestrojki* na Litwie, zwanego *sajudis*, który właśnie szykował swój kongres w Wilnie w dniach 20-23 października 1988. W kołach *sajudisu* głośno się odrażano, że przywódca litewskiej kompartii Sungaila będzie publicznie wygwizdany przez wielotysięczny tłum. Na dwa dni przed kongresem Sungaila przeszedł na emeryturę (w wieku lat 57) i nowym przywódcą litewskiej kompartii został Brazauskas, który dotychczas prowadził rozmowy z *sajudisem*, jako czwarty w hierarchii partyjnej. Na kongresie obradowało ponad tysiąc delegatów partyjnych, hepartyjnych i niedawno uwolnionych więźniów politycznych. Żądano szerokiej autonomii Litwy, a nawet niepodległości, postawienia pomnika ofiar stalinowskiego terroru, usunięcia Rosjanina ze stanowiska zastępcy szefa litewskiej kompartii. Domagano się także własnej, wymiennej waluty, wstrzymania imigracji z innych republik, powołania litewskiego komitetu olimpijskiego i osobnego udziału Litwy w olimpiadach, bowiem Litwini przysporzyli Sovietom sporo medali. Skrajne głosy wzywały do wycofania z Litwy „wojsk okupacyjnych”, ale tego nie uwzględniono w uchwałach, jak również nie usunięto Rosjanina ze stanowiska zastępcy sekretarza litewskiej kompartii. Były też żądania ekologiczne dotyczące zanieczyszczenia Bałtyku i elektrowni nuklearnych. Godzono się na wspólną obronę i politykę zagraniczną. Domagano się jednak, aby rekruci litewscy mogli odbywać służbę wojskową w miarę możliwości na terenie Litwy, a nie jak obecnie zawsze w odległych prowincjach. Kongres „Frontu Ludowego” czy *sajudisu* odbywał się przy udziale licznych dziennikarzy zagranicznych w wigilie wizyty w Moskwie niemieckiego kanclerza i kilkudziesięciu przemysłowców i bankierów, którzy chętnie by inwestowali w dobrze im znanym Memlu (Kłajpedzie) czy Rydze. Na kongres zostali zaproszeni przedstawiciele litewskiej emigracji. Już poprzednio na kongres łotewski oficjalnie zaproszono przedstawicieli emigracji litewskiej z Kanady, ale tamtejszy konsulat sowiecki odmówił im wizy. Na kongres litewski zaproszono około stu dziennikarzy zagranicznych. Dyskusje i uchwały kongresu były tłumaczone na języki rosyjski i angielski. Zaproszeni byli przedstawiciele ruchu *pieriestrojki* z Rosji i innych republik. W czasie kongresu zwrócono Kościołowi katedrę wileńską, w której była galeria obrazów, gdzie kardynał litewski Sładkevicius odprawił uroczyste nabożeństwo, transmitowane na całą Litwę. Podobnie w Rydze w czasie kongresu odbyło się nabożeństwo w zwróconym kościele luteranckim. Na kongresie zażądano m.in. zaniechania propagandy ateistycznej w szkołach i ewentualnego zezwolenia na zakładanie szkół katolickich. W przemówieniach wspomniano o tolerancji względem mniejszości rosyjskiej, polskiej, żydowskiej i innych już tu osiadłych. ■ Przez 18 lat internowany na łotewskim pograniczu biskup wileński J. Steponavicius dostał niespodziewanie zezwolenie na wyjazd do Watykanu, gdzie miał audiencję u papieża, po czym powrócił przez Moskwę na Litwę. Brał on udział w uroczystościach konsekracji na arcybiskupa ks. Backisa, od dawna pracującego w dyplomacji watykańskiej. Ks. Backis jest synem b. przedstawiciela rządu litewskiego w USA. Obecnie arcybiskup będzie reprezentował papieża w Holandii. Na uroczystościach byli obecni litewscy biskupi z kraju i emigracji, oraz biskup łomżyński, jako opiekun litewskich katolików w PRL (Sejny). ■ Wileński Czerwony *Sztandar* wystąpił przeciw znieszczeniu polskich imion i nazwisk. Chodzi zarówno o ich nieuzasadnione zlitewszczenie, jak też idące w ślad za tym podawanie w języku rosyjskim nie z pierwotnej wersji polskiej, lecz jej litewskiej odmiany. Stowarzyszenie Kulturalne Polaków na Litwie powstało w maju bież. roku. Szkoda, że nie czterdzieści lat wcześniej. Przed półwieczem Polacy na Wileńszczyźnie stanowili warstwę najbardziej oświeconą, a obecnie najmniej, z liczną tylko grupką inteligencji, wychowanków Instytutu

Pedagogicznego i stosunkowo nielicznych studentów z uniwersytetów. Spodziewane jest ożywienie kontaktów z Polską. W Wilnie ma niebawem zostać otwarty konsulat PRL. ■ Dawne arcybiskupstwo wileńskie zostało przedzielone granicami w następujący sposób: 87 parafii w granicach Litwy, 217 w granicach Republiki Białoruskiej i 51 w PRL. ■ Rzecznik Armii Czerwonej oświadczył, że w walkach w Afganistanie brało udział ponad dwa tysiące Litwinów. Nie powróciło 81 żołnierzy, 91 było rannych i 36 inwalidów. ■ Jedenastościoro Litwinów prowadziło głodówkę przed wileńską katedrą, domagając się uwolnienia ośmiu litewskich więźniów politycznych: Po uzyskaniu obietnicy, że sprawy ich będą ponownie rozpatrzone, strajk głodowy został zakończony. ■ Więzień polityczny, ks. Svarinskas został zwolniony i zezwolono mu na wyjazd na kurację do Niemiec, gdzie obecnie przebywa. Odwiedził on Rzym i został przyjęty przez papieża. ■ Litewska prasa emigracyjna wskazuje, że niezależnie od tego jakie będą dalsze losy *pieriestrojki*, uświadomienie młodych Litwinów o ich przeszłości i obudzenie uczuć narodowych, to zjawiska nieodwracalne.

E. ŻAGIELL

W NUMERZE 38 „PULSU”

JAN KUCHARZEWSKI: Należało zdać sobie sprawę... ■ Rozmowa ANDRZEJA MIETKOWSKIEGO z WIKTOREM SŪWOROWEM ■ JAN GERHARD: Miara nieskończoności ■ ZBIGNIEW MENTZEL: Gdy osuwa nam się kopiec... ■ JERZY PILCH: Hierarchia banknotów ■ POJEDYNKI: Leszek Szaruga: Realista. ■ KAZIMIERZ ZAMORSKI: Ekipa ■ FELIKS TOPOLSKI: Portrety polskie ■ STANISŁAW BARAŃCZAK: Koszmary i piosenki ■ PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY: Andrzej Werner: Białe plamy a zdrowie kultury □ On nie wróci? ■ KWARTAŁ ■ RECENZJE: Krzysztof Powośki: Cień Iwana Groźnego □ Ewa Czerwiakowska: *Weiser Dawidek* — pamięć obudzona ■ DRUGI BRZEG ■ ARCHIWUM EMIGRACYJNE ■ MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO ■ SOW SHOW ■ POCZTA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

EDWARD RACZYŃSKI, TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI: „Od Cieny do Jałty” (£ 6.50) ■ WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI: „Los Żydów Warszawy 1939-1943” (2 wyd., £ 4.00) ■ OLGIERD WOŁYŃSKI: „Głos z Gułagu” (£ 5.00) ■ MACIEJ POLESKI: „Mały jawniak” (£ 4.50) ■ JERZY PILCH: „Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej” (£ 5.00) ■ MILAN KUNDERA: „Życie jest gdzie indziej” (£ 7.00)

PULS PUBLICATIONS
ECM Box 697, GB-London WC1N 3XX
Great Britain

WARUNKI PRENUMERATY

Roczna (4 numery): pocztą zwykłą £ 15.00, pocztą lotniczą £ 20.00. Prenumerata dla bibliotek, instytucji oraz organizacji jest wyższa o 50 %. Należność za prenumeratę oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy przysyłać w formie czeku/PO/IMO wystawionego na Puls Publications.

Ci, co odeszli

Na odejście Zygmunta Kallenbacha

2-go listopada 1988 zmarł w Genewie Zygmunt Kallenbach. Ta data zamyka ważny etap w życiu emigracji polskiej, w szczególności w stosunkach między emigracją a Krajem.

Był Kallenbach na terenie Szwajcarii tym, co Anglicy określają mianem *grand old man*. Był autorytetem moralnym i obywatelskim. Był opiekunem i doradcą wszystkich, którzy opieki i rady szukali. Był w centrum polskich poczynań kulturalnych w Szwajcarii, zwłaszcza tych, które promieniowały daleko poza jej granice. Przez gościnny dom Zygmunta i Zofii Kallenbachów w Genewie przewijały się nieprawdopodobne ilości ludzi, ze Szwajcarii, z diaspory, przede wszystkim zaś z Kraju. Starzy i młodzi, pisarze i uczeni, studenci i aktorzy niezmiennie pielgrzymowali do załadowanego po brzegi książkami mieszkania Kallenbachów. Najwyraźniej znajdowali tam coś, czego szukali i potrzebowali, w atmosferze ciepła i życzliwości gospodarzy.

Co się złożyło na tę wyjątkową pozycję Zygmunta Kallenbacha wśród rodaków? Skąd się wziął ten autorytet, którego, jak wiadomo, nie można zadekretować, jeszcze mniej — auto-zadekretować? Paradoksem jest, że odpowiedź na te pytania znajdują łatwiej ludzie z Kraju niż ludzie z emigracji, że rozgłos nazwiska Kallenbacha był większy w Kraju niż za granicą. Ten paradoks nie jest przypadkiem: wynikał z działalności na Kraj, którą Kallenbach podjął lata temu i którą prowadził do ostatniego tchu. Wypada tedy spróbować podsumowania: kim był ten człowiek, czego chciał, co osiągnął, czym zdobył sobie tak wielki mir.



„Bo nie ma ziemi wybieranej, jest tylko ziemia przeznaczona...” (Wierzyński). Otóż i nie. Wbrew urodzie poetyckiej frazy, nie jest ziemia wybierana. Polską ziemię wybierali Estreicherowie i Anczyce, Tetmajerowie i Oppmanowie, Mikołaj Chopin i Konstanty Regamey. Polską ziemię wybrali Kallenbachowie.

Saga rodu Kallenbachów sięga początków XVI wieku, dokładnie roku 1510, od kiedy to rodzina zapisana jest nieprzerwanie w księgach gminy Rheinfelden koło Bazylei. Jej polska sekwencja zaczyna się w rodzinnej oberży Pod Trzema Królami w onymże Rheinfelden, w chwili kiedy zatrzymał się tam Tadeusz Kościuszko. Bohater trzech narodów wdał się w rozmowy z synem oberżysty, Melchiorom; niebanalne musiały to być rozmowy, skoro podarował chłopcu szablę, która *nota bene* po latach znalazła się w zbiorach Ossolineum we Lwowie. Polski „Słownik Biograficzny” dodaje, że Melchior odwiedzał jeszcze Kościuszkę w Solurze. Nawet bez świadectw dokumentarnych jest oczywiste, że spotkanie z Kościuszką stało się jakimś zasadniczym przełomem, jeśli nie wręcz szokiem, w życiu Melchiora, skoro zaświadcza o fakty: młody Szwajcar rzuca ojcowską oberżę, zabiera szablę i osiada w Polsce.

Bakcyl książkowy pojawia się u polskich Kallenbachów niemal od początku. Jeśli brak danych o losach polskich Melchiora, to już wiadomo dokładnie, że syn jego, Henryk, był znanym księgarzem i wydawcą we Lwowie. Synem zaś Henryka był Józef, wybitny historyk literatury polskiej, profesor uniwersytetów we Lwowie, w Wilnie i Krakowie, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, w ciągu 10 lat również profesor uniwersytetu fryburskiego¹. Wtedy właśnie, we Fryburgu, na ziemi przodków, z matki Szwajcarki, przychodzi na świat w roku 1901 Zygmun, imię nadane na cześć Krasińskiego, który wówczas stanowi przedmiot ojcowskich badań.

Taką więc tradycję rodzinną i takie dziedzictwo przejmie Zygmun Kallenbach na dalszą drogę życia.

W Polsce niepodległej kariera młodego Kallenbacha zapowiada się równie znakomicie co spokojnie. Należy przecież do pierwszego od rozbiorów pokolenia, od którego oczekuje się już nie dokonań niezwykłych, ale solidnej, konstruktywnej pracy dla dobra Kraju. Więc po epizodzie ochotniczej służby wojskowej w roku 1918 Kallenbach kończy studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, specjalizuje się w ekonomii i podejmuje pracę w Państwowym Banku Rolnym, początkowo jako kierownik Biura Ekonomicznego, w końcu jako dyrektor oddziału Banku w Krakowie. Nie poprzestając na pracy czysto zawodowej, poświęca się pracy społecznej w Unii Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych i pracy samorządowej jako radny miejski Warszawy za prezydentury Stefana Starzyńskiego. Za tę działalność odznaczony zostaje Złotym Krzyżem Zasługi w roku 1938.

Kariera „spokojna” kończy się z wybuchem wojny. Rzucony wydarzeniami wojennymi z powrotem na ziemię szwajcarską, Kallenbach osiada w Genewie, gdzie — równoległe do pracy zawodowej w banku — od razu podejmuje działalność społeczną w ramach Stowarzyszenia Polonia, którego w dalszym ciągu wy-

1. Biogramy Henryka i Józefa Kallenbachów, *Polski Słownik Biograficzny*, tom XI, str. 490-493.

darzeń zostaje prezesem. Ale działalność czysto emigracyjna Kallenbachowi nie wystarcza. Bowiem należy on do tego gatunku wychodźców, którzy — jak pięknie a słusznie powiedział o sobie Jan Nowak — nigdy z Polski nie wyjechali. Jest cały ukierunkowany na Polskę. Nasłuchuje głosów z Kraju, osiąga znakomite rozpoznanie krajowych spraw we wszystkich ich aspektach i — szuka dróg pomocy. I tak właśnie zaczyna się niezwykła przygoda Zygmunta Kallenbacha z Krajem, przygoda, której głębokich źródeł wolno dopatrywać się w jego tradycji rodzinnej. Bowiem ze wszystkich nabołałych spraw narodowych wybiera sobie odcinek kultury polskiej jako pole walki, a książkę jako broń.

U podstaw pracy Kallenbacha dla Kraju leży wyostrzona świadomość zagrożenia kultury polskiej, czyli samej substancji duchowej narodu. Jednym z istotnych elementów tego zagrożenia jest odcięcie Polski od świata zachodniego. W takim rozeznaniu porywa się Kallenbach na walkę o kulturę narodową, w warunkach pozornie beznadziejnych: albowiem walkę tę podejmuje jako człowiek pojedynczy, samotny, bez zaplecza społecznego, bez aparatu organizacyjnego, bez środków finansowych. Tak więc, w oparciu o nic, planuje dwa tory działania, oba mające na celu otwarcie okna na zachód, przerzucenie mostów między Polską a światem: dwa strumienie, jeden w postaci dopływu literatury naukowej do Kraju, drugi w postaci umożliwienia naukowcom i intelektualistom polskim, w drodze stypendiów, choćby krótkich pobytów na Zachodzie. Zamysł wydaje się czystą donkiszoterią, skoro Kallenbach nie dysponuje żadnymi instrumentami działania. Ale w swojej determinacji potrafi potrzebne instrumenty stworzyć. W roku 1957 zakłada szwajcarski oddział polskiej YMCA i pod tą znaną i cenioną firmą nawiązuje stosunki z uniwersytetami, bankami — co więcej, zaczyna kwestować. Oba te zabiegi przynoszą niespodziewanie pozytywne rezultaty, szwajcarska polska YMCA staje się nie tylko pententem, ale partnerem do rozmów, zaczynają napływać dotacje, najpierw skromne, w miarę narastających sukcesów coraz poważniejsze. I tak zaczyna się kallenbachowska robota na Kraj, która w swoim aspekcie stypendialnym będzie trwała dobrych kilka lat², a w swoim aspekcie książkowym do ostatnich chwil jego życia, czyli trzydzieści lat z okładem. Przez tych z górą trzydzieści lat napłyną do Kraju niezliczone tysiące książek i publikacji zachodnich — do bibliotek, do uniwersytetów, do indywidualnych pracowników naukowych. Przez tych trzydzieści lat będzie Kallenbach przerzucał mosty między poddaną wiadomej presji Polską a wolną myślą świata zachodniego. Przez trzydzieści lat będzie rosła kallenbachowska fama w Kraju, jak będą rosły zapotrzebowania, jak będzie rosła ilość wdzięcznych odbiorców, z których właśnie będzie się rekrutowała wielka

2. Kallenbach zawiesił swoją działalność stypendialną, kiedy podjął ją na Zachodzie takie giganty jak Fundacja Forda, nie mówiąc o wielu innych instytucjach.

część pielgrzymów do genewskiego domu, zawsze dla nich otwartego.

Trudno oprzeć się refleksji, że jest w tym, początkowo szalonym, przedsięwzięciu polska determinacja i szwajcarska pedanteria. Trzeba sobie bowiem jasno uświadomić, że u podstaw tego niebywałego sukcesu jednoosobowej instytucji, jaką stał się Zygmunt Kallenbach, leży ciężka, codzienna, systematyczna, wytrwała i bardzo prozaiczna praca: nawiązywanie odpowiednich kontaktów, stałe śledzenie i identyfikowanie potrzeb krajowych i — równolegle — zachodniego ruchu wydawniczego, założenie i rozbudowa ogromnej dokumentacji, przyłączająca rozmiarami korespondencja, wreszcie optymalnie wyselekcjonowany zakup książek i organizacja ich wysyłki do Kraju. Takie prace wykonują normalnie całe zespoły ludzi, instytucje, fundacje, komitety z sekretariatami, wyposażeniem technicznym, całą infrastrukturą biurową. Kallenbach wykonywał tę całą robotę sam, metodą chałupniczą, z niezmienną pieczołowitością i precyzją, wnosząc nieproporcjonalny do sił jednego człowieka wkład w ratowanie narodowej kultury, *ergo* narodowej identyczności.

W tym samym duchu i w tej samej intencji rozwijała się działalność Kallenbacha w ramach Fundacji imienia Kościelskich. Powstała w roku 1961 w Genewie Fundacja ma za zadanie przyznawanie nagród literackich młodym pisarzom polskim zarówno w Kraju, jak za granicą. W roku 1964 Kallenbach obejmuje po Kajetanie Morawskim funkcję prezesa Rady Fundacji, którą pełni przez dwadzieścia lat, do roku 1984, kiedy zostaje jej prezesem honorowym. W krótkim czasie Fundacja staje się, zwłaszcza na terenie Kraju, szeroko znaną i cenioną instytucją, a jej nagrody ostrogami literackimi młodych twórców. Tym samym staje się wielką maszyną, która wymaga stałej i systematycznej obsługi, od mądrego gospodarowania majątkiem testatorki począwszy, a kończąc na maksymalnie dobrym doborze zarówno członków Rady i jury, jak i kandydatów do nagród. Tu już Kallenbach nie jest samotny, działa we współpracy z kolegami, ale przecież dla wszystkich, łącznie z tymiż kolegami, jest jasne, że jest wśród nich *primus inter pares*, który jest tej Fundacji duszą i gospodarzem.

Rozmiary pracy Fundacji ilustrują cyfry i nazwiska: w okresie swojej działalności przyznała 90 nagród na ogólną sumę około 250 tysięcy franków szwajcarskich laureatom, wśród których znajdują się czołowe nazwiska współczesnej literatury polskiej. Nie zaniedbała Fundacja nigdy pisarzy emigracyjnych, ale przecież, z samej natury rzeczy (zastrzeżenie młodego wieku) uwaga jej musiała coraz intensywniej kierować się na Kraj. Jeśli uwzględnić tradycję, która, w miarę możliwości, każe przyjeżdżać krajowym laureatom po odbiór nagrody do Genewy, to okaże się, że jest Fundacja jeszcze jednym mostem przerzucanym przez Zygmunta Kallenbacha — indywidualnie czy zbiorowo — między Polską a światem zewnętrznym.

W sumie: oba najważniejsze — acz zaiste nie jedyne — tereny

pracy Kallenbacha: akcja książkowa i Fundacja, skierowane były czy to wyłącznie, czy głównie na Kraj. Stąd właśnie większy rozgłos jego nazwiska w Kraju niż na uchodźstwie. Nie oznacza to przecież żadną miarą, że w ośrodkach emigracyjnych nie dostrzeżono i nie doceniono jego zasług. W 1981 roku otrzymał nagrodę przyjaźni *Kultury*, a 14 października br. przeżyliśmy w Genewie wzruszającą uroczystość odznaczenia Zygmunta Kallenbacha Krzyżem Oficerskim orderu Polonia Restituta, nadanym mu przez Prezydenta RP na uchodźstwie. Dokładnie trzy tygodnie później żegnaliśmy go po raz ostatni.

Zygmunt Kallenbach niósł swój samorzutnie na barki wzięty ciężar do samego końca, bez chwili zniechęcenia czy słowa skargi, także i wtedy, kiedy zaczęło dotkliwie ubywać sił. Trwał na wybranym posterunku nieprzerwanie i nieustępliwie poprzez wszystkie odmiany polskich losów, rzutujące na jego pracę. Swoją narodową służbę pełnił bez rozgłosu i bez patosu, w ciszy i dyskrekcji.

Chcę uszanować tę dyskrekcję. Ale jakże pożegnać odchodzącego, jakże oddać mu sprawiedliwość, nie wypowiadając słowa, którego on sam nigdy by nie wypowiedział, nie nazywając po imieniu tego, co było istotnym motorem jego życia i pracy: umiłowanie Polski.

Zygmunt Kallenbach żył dla Kraju, który wybrali jego przodkowie. Chwilami wydaje mi się, że całe życie niósł ze sobą kościuszkowską szablę, z którą Melchior Kallenbach poszedł z Rheinfelden do Polski.

Krystyna MAREK

Józef Łobodowski

Zanim ukaże się moje wspomnienie-biografia, odnotować wypada fakty, na co Józef Łobodowski, po odejściu od nas, zasłużył. Kim był i co wniósł do historii i literatury polskiej, wykażą przysięte prace naukowe, jednak już dziś możemy powiedzieć, że jego działalność, zapowiadająca w okresie dwudziestolecia wybitny talent literacki, dzięki wewnętrznej zuchwałości politycznej i chęci walki ze złem, jakie niósł komunizm, nabrała na emigracji zdecydowanych form: pisarz-poeta i Polak-antykomunista. Co w nim przeważało i która strona była ważniejsza? Myślę że obie: siła jego słowa poetyckiego i argumentu politycznego.

Życiorys Łobodowskiego nie jest przeciętny i możemy powtórzyć go tu za zmarłym Pisarzem, bo został przez Niego spisany.

W związku z wydaniem w Toronto jego wierszy poświęconych poetce Ginczance, zwróciłem się w styczniu 1987 roku do Łobodowskiego o jego życiorys, który chcieliśmy zamieścić w mającym się ukazać tomiku. A oto jego reakcja:

Kochany Wacku!

Po powrocie z Londynu nie było mnie przez kilka dni w Madrycie, więc odpisuję z dużym opóźnieniem. Posyłam na wszelki wypadek moje dane osobiste, ale przypuszczam, że przyjdą już za późno. Żadna szkoda! W maju, po jury Nagrody, na którym podobno będziesz, mam mieć wieczór autorski. Liczę na to, że „Sulamita” ukaże się do tego czasu.

Sciskam Cię serdecznie

J. Łobodowski

Madryt, 27 lutego 1987 roku

Józef Łobodowski (tak zaczął swój życiorys zmarły Poeta), urodził się 19 marca 1909 roku w Purwiskach, gmina Wiejsieje, powiat Sejny (historyczna Auksztota). Przed pierwszą wojną światową w Lublinie, od roku 1914 do 1917 w Moskwie, następnie aż do roku 1922 w Jejsku, na Ziemi Wojska Kubańskiego. Studia szkolne i początek uniwersyteckich w Lublinie. W roku 1927 redagował pismo szkolne, w roku 1932 miesięcznik *Trybunę* i dziennik *Kurier Lubelski*, następnie dwa miesięczniki, *Barykady* i *Dźwigary*. Debiut książkowy w Lublinie, w roku 1929. Trzecia z kolei książka wierszy, „O czerwonej krwi”, uległa konfiskacie i spowodowała serię procesów. W roku 1938 otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za tom poetycki „Demon nocy”. Służba wojskowa w Szkole Podchorążych w Równem, 1933-1934. W latach 1937-1938 redaguje tygodnik *Wołyń* w Łucku. Zmobilizowany do piechoty na kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej, od 5 września 1939 roku w 10-tym pułku strzelców konnych w brygadzie kawalerii zmotoryzowanej pułkownika Maczka. Na Węgrzech kolejno w obozach Topolce, Nagy Kanizsa, Murakeresztur. Od 10 listopada w Paryżu. Od lutego do września 1940 w więzieniu francuskim. Zwolniony do obozu demobilizujących się wojskowych polskich w Notre-Dame-de-Livron, wydaje tam miesięcznik *Wrócimy*. W sierpniu 1941 wyprawa do Hiszpanii. Aż do lutego 1943 roku więzienie w Figueras. Od tam stały pobyt w Madrycie, przerywany częstymi wyjazdami do Anglii i Francji. Także sporadycznie do Szwajcarii, Włoch, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Od stycznia 1949 do grudnia 1975 ściśle współpraca z polską stacją radiową w Madrycie. Podczas wojny wydał książkę „Z dymem pożarów” w oficynie nicejskiej Samuela Tyszkiewicza, a po wojnie osiem tomów poetyckich, siedem powieści i dwie książki w języku hiszpańskim.

J.E.

Tyle Łobodowski o sobie. Dorobek emigracyjny Łobodowskiego jest chyba wszystkim znany. W Kraju *Kurier Lubelski* chyba pierwszy piórem Józefa Zięby uczcił śmierć Łobodowskiego, wspominając, iż zmarły Poeta był przed wojną redaktorem tego pisma.

Zygmunt Lichniak w *Kierunkach* z dnia 1 maja 1988 roku zamieścił dłuższe omówienie twórczości Łobodowskiego pt. „Łobodowski znany i nieznany” i w następnym numerze *Kierunków* dalszy ciąg: „Jeszcze o Łobodowskim, ale nie tylko”. W tychże *Kierunkach* z dnia 11 września br. ukazała się dłuższa rozmowa z Poetą, przeprowadzona w Madrycie przez Romana Samsela, wykładowcę literatury polskiej na uniwersytecie w Limie. Rozmowa odbyła się wiosną 1988 roku, fragmenty jej usłyszeli zebrani w Klubie Literatów „Kraąg” dnia 6 kwietnia, gdzie Samsel omówił również twórczość literacką Poety. Na tymże zebraniu Irena Szypowska opowiedziała o swoich corocznych odwiedzinach u Łobodowskiego w Madrycie, o nagranych z nim rozmowach, które ukazą się wraz z jej esejem o twórczości Łobodowskiego. Złożyła ona w PIW-ie, za zgodą Poety, propozycję wydania tomu jego wierszy.

Bronisław Mamóń w *Tygodniku Powszechnym* z dnia 8 maja 1988 roku omówił twórczość Łobodowskiego, zamieszczając przy artykule „Józef Łobodowski nie żyje” wiersz „List do Matki”, który autor „Modlitwy na wojnę” napisał w 1945 roku.

Emigracyjne pisma raczej skromnie pożegnały odejście Łobodowskiego, a był on właściwie naszym emigracyjnym lardem.

Stefania Kossowska w „Środzie Literackiej” omówiła jego wielostronną twórczość, dodając wiersz „Tryptyk zamiast testamentu”, który Poeta przysłał do redakcji *Wiadomości* w 1979 roku z notatką: „Czytelnik może łatwo dojść do wniosku, że zamierzam lada chwilę przenieść się na tak zwaną 'księżą oborę'. Mam nadzieję, że to nie nastąpi w najbliższych tygodniach, czy miesiącach, ale właśnie kończę pierwsze 70 lat (19 marca 1979), a w tym wieku nigdy nic nie wiadomo. Więc najlepiej, uprzedzając ewentualne wypadki, pozostawić testament, bo w ostatniej chwili może być za późno”.

Ostatnia chwila przysłała, ale w dziesięć prawie lat potem.

Wacław IWANIUK

Kronika kulturalna

"Jedna, wielka opowieść"

ROZMOWA Z KORNELEM FILIPOWICZEM

MIKOŁAJ RUSZKOWSKI: — *W zyciorysie Twoim uderzają pewne antynomie. Urodziłeś się na Kresach i tam spędziłeś dzieciństwo, ale gimnazjum ukończyłeś w Cieszynie. Studiowałeś biologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, nie biologią jednak stała się Twoim zawodem. W potowie lat trzydziestych należałeś do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, teraz od kilkunastu już lat należysz do opozycji demokratycznej w kraju, w którym rządzą komuniści, mianujący się spadkobiercami przedwojennej lewicy. Czy na Twoje ówczesne przekonania miała wpływ tradycja rodzinna, sytuacja polityczna czy też po prostu moda na lewicowość?*

KORNEŁ FILIPOWICZ: — Na pewno wszystko razem. Ojciec mój uważał się na socjalistę i w sposób taktowny i dyskretny, aby nie obudzić czujności i nie spowodować sprzeciwów mojej matki i babki, starał się kształtować mój światopogląd, chroniąc mnie przed tendencjami nacjonalistycznymi, coraz wyraźniej obecnymi w latach dwudziestych i trzydziestych w polskim życiu politycznym. Jeśli chodzi o antysemityzm, zjawisko towarzyszące nacjonalizmowi, to pod tym względem rodzice byli zgodni, że jest to po prostu objaw złego wychowania. Czy lewicowość była modą? O modzie na lewicowość w tamtych czasach można by mówić raczej w odniesieniu do bogatszych społeczeństw zachodnich. U nas miała podłoże bardziej społeczno-polityczne i emocjonalne, zwłaszcza w kręgach literacko-artystycznych, a głównie wśród młodych. Każda młodość musi karmić się nadzieją, że przyszłość będzie lepsza i ciekawsza od teraźniejszości i że stanie się to za przyczyną ustroju bardziej sprawiedliwego, który spełni ich ma-

rzenia i zadowoli ich aspiracje. Socjalizm wydawał się być tym ustrojem. Nie zapominajmy też o pewnych świeżych jeszcze wtedy resentymentach: przecież prawie cały piłsudczykowski obóz rządzący wywodził się z PPS. Dla niektórych umysłów bardziej jeszcze ponętnym wydawał się komunizm, gdyż proponował rozwiązania szybsze i bardziej radykalne. A początkujący literaci i malarze w czasach mojej młodości — to była bida z nędzą. Zwłaszcza malarze. Sprzedawali swoje obrazy po cenach niemal kosztów własnych, to znaczy wydatków na płótno i farby. Mecenate państwowy prawie nie istniał. Nieliczni, przeważnie grubsi właściciele ziemscy, których było na to stać, użyczali schronienia i wikt chudym malarzom i poetom. Czasem udało się naciągnąć jakiegoś przemysłowca albo dobrze zarabiającego lekarza na kupno obrazu.

Konserwatywizm poglądów nie jest cechą młodych serc i umysłów. Czymś pociągającym jest tylko radykalizm. Mając lat dwa-dzieścia, mogłem być radykalny tylko w lewo albo w prawo. Nie miałem predylekcji charakteru ani tradycji rodzinnych, aby być faszystą. Więc byłem lewicowcem.

M.R.: — *Podczas okupacji związany byłeś z grupą polityczną nazwaną Polska Ludowa, zorganizowaną przez znanego działacza lewicy socjalistycznej Ignacego Fika, historyka literatury i krytyka, który w ocenie dzieł literackich stosował jednoznacznie ideologicznie kryteria.*

K.F.: — Związany raczej luźno, bo w roku 1942, kiedy prawie cała organizacja wchłonięta została przez PPR, ja do PPR nie wstąpiłem.

M.R.: — *Czy Fik, Ty i inni koledzy, już w latach trzydziestych, kiedy drukowałeś na łamach lewicowego pisma krakowskiego Nasz Wyraz, byliście pod wpływem wiejącego od wschodu socrealizmu?*

K.F.: — Do grupy literackiej skupionej wokół *Naszego Wyrazu* należeli ludzie o różnych przekonaniach. Poza Fikiem, mną, socjalistą, należały dwie „obszarniczki”, poza tym katolik i ludowiec — trudno więc mówić o jakiejś skonsolidowanej grupie politycznej. Pod koniec, na rok przed wojną, przystał do nas Michał Chmielowiec, późniejszy redaktor londyńskich *Wiadomości Literackich*. W latach, o których mówisz, byliśmy socrealizmowi absolutnie przeciwni. To, co nam proponował socrealizm — pod pozorem służby społecznej tzw. „masom” — było nie do przyjęcia. Zwłaszcza w środowisku artystycznym Krakowa, kolebce awangardy poetyckiej, wśród malarzy związanych z „Klubem Paryskim”, zaprzątniętych walką ze szmirą i pompierstwem. Jakież

mogli akceptować coś, czemu się przeciwstawiali? „Grupa Krakowska”, formacja wprawdzie lewicowa, ale zafascynowana kubizmem, konstruktywizmem, abstrakcją — też nie była podatna na socrealizm. A jeszcze, na dodatek, socrealizm zaczął w sposób podejrzany przypominać model sztuki i literatury, obowiązujący w Niemczech po roku 1933! Oczywiście, zdawaliśmy już sobie wtedy sprawę z wpływów KPP na lewicowe tendencje w kulturze polskiej, ale nie nazywaliśmy tego tak, jak dzisiaj należałoby to określić: infiltracją, instrumentalizacją, stosowaniem — zwłaszcza wobec socjalistów — czegoś, co można by teraz nazwać fałszywym kodem genetycznym. Bliskość ideologii socjalistycznej i komunistycznej, kryzys gospodarczy, bezrobocie — ułatwiały penetrację. Ale nie zapominajmy też, że pod koniec lat trzydziestych, od roku 1936 począwszy, rozpoczęły się tzw. procesy moskiewskie, które zniechęciły wielu sympatyków Rosji Sowieckiej, spowodowały rozłamy w partiach komunistycznych, a jeśli o mnie chodzi, powstrzymały od bardziej zdecydowanego odejścia na lewo. Byłem wtedy jeszcze zbyt młody, aby rozumieć całą złowrogą wymowę polityczną i historyczną tych wydarzeń, ale powiało od wschodu grozą, która i mnie się udzieliła. Ogarnęły mnie wątpliwości, przeżywałem nawet chwile niewiary w sens i celowość walki o ustrój socjalistyczny, a potem, po tak zwanym wyzwoleniu, dręczyła mnie obawa o losy kraju rządzonego przez komunistów. Ale wyszedłem przecież z piekła obozu koncentracyjnego i każda rzeczywistość wydawała mi się sielanką w porównaniu z tym, co przeżyłem. Nie chciałem jeszcze tracić nadziei na możliwość odzyskania suwerenności, wydawało mi się, że zdołamy się jakoś przystosować do nowej sytuacji politycznej — w którą zresztą, zdawaliśmy sobie z tego sprawę, wepchnięto nas, pozostawiwszy Polskę w tzw. strefie wpływów ZSSR. Miałem też, lub lepiej powiedziałem, chciałem mieć nadzieję, że wschodni komunizm jakoś się jednak oswoi z naszą innością historyczną i kulturową. Ale po roku 1948 przestałem mieć jakiegokolwiek jeszcze nadzieje i złudzenia.

M.R.: — *W roku 1948 odbył się tzw. zjazd zjednoczeniowy, na którym doszło do połączenia dwóch partii, a właściwie do likwidacji PPS. Należałeś chyba wtedy do PPS?*

K.F.: — Nie, nigdy po wojnie nie należałem do żadnej partii...

M.R.: — *Ach, nie należałeś! Wydawało mi się, że byłeś członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej.*

K.F.: — Tak, ale przed wojną. Czasem mi się wydaje, że socjalistą jeszcze jestem. No cóż, czym skorupka za młodu nasiąknie...

Przepraszam Cię, ale przypominałem sobie jeszcze coś, co było wcześniej, jeszcze w latach 30-tych, a co obudziło moją pierwszą nieufność do komunistów i także zapobiegło dalszej ewolucji w lewo, choć nie przeszkodziło moim późniejszym przyjaźniom towarzyskim z komunistami. Gdzieś pod koniec 1932 roku lub na samym początku 1933, w każdym razie tuż przed zdobyciem przez Hitlera w Niemczech pełnej władzy, na niemieckim Górnym Śląsku, blisko granicy polskiej, odbyło się spotkanie przedstawicieli KPP i KPD, na którym uchwalono rezolucję domagającą się obalenia traktatu wersalskiego, krzywdzącego Niemcy; i powrotu polskiego Górnego Śląska do Niemiec. Niewiarygodne? Ale ja na własne oczy widziałem dwujęzyczną, polskoniemiecką ulotkę wydaną z okazji tego spotkania. Czy mogła to być, jakbyśmy to dzisiaj nazwali, „fałszywka”? Mało prawdopodobne. Była to po prostu antycypacja tego, co się stało siedem lat później, gdy Mołotow miał nareszcie sposobność nazwać Polskę „bękartem traktatu wersalskiego”. Ale sześć lat później wracamy na nasze prastare ziemie piastowskie, komunista Gomułka jest ministrem ziem odzyskanych itd., itd., to już znamy, więc wróćmy do lat trzydziestych. Jesteśmy młodzi lub bardzo młodzi, większość z nas nie pamięta zaborów lub tylko przez mgłę, bawimy się więc dosyć beztrudnie, czasem uprawiamy gry nawet niebezpieczne. Mamy niepodległość, której nie wydaje się nic zagrażać. Katastrofizm w literaturze i plastyce miał swoje źródła w sferze irracjonalnej. Mimo wszystko, mimo napięć, preludium hiszpańskiego, grózb i szczęku oręża — możliwość wybuchu wojny światowej nie wydawała się realna. Przynajmniej dla mnie. Nawet gdy byłem już w wojsku, na parę dni przed 1 września. Ciągłe zdawało mi się, że Hitler blefuje. Ale przypominam sobie ostatnią rozmowę z moim ojcem, kiedy był już bardzo chory. Powiedział mi, że wolałby już drugiej wojny nie dożyć. Powiedziałem ojcu, że moim zdaniem wojny nie będzie. A dlaczegoż to? — spytał ojciec. — Bo z rachunku, to znaczy z rachunku produkcji stali i ropy naftowej wynika, że Niemcy tej wojny wygrać nie mogą — oznajmiłem z powagą, która przystała mojemu młodemu wiekowi. Ojciec uśmiechnął się i powiedział, że nie zawsze wojny zaczynają ci, którzy mają przewagę. — Wojny zaczynają przeważnie ci, którzy ich po prostu chcą. — Ale nie zawsze je wygrywają? — Nie. Czasem wygrywają, czasem przegrywają.

M.R.: — *Jesteśmy więc jeszcze w latach trzydziestych. Czołową postacią literatury lewicowej był wówczas Leon Kruczkowski, potem stawiany na świeczniku polskiej kultury, w najbardziej groźnych czasach przez ZLP...*

K.F.: — Ano właśnie! Konsekwencje postaw niektórych osób o lewicowych przekonaniach bywały brzemienne w skutki. Mało kto chyba wie, że Kruczkowski podpisał protest intelektualistów przeciw procesom moskiewskim. Zrobił to, o ile dobrze pamiętyam, na łamach *Robotnika* i *Kwiera Porannego*. Wydaje mi się, że nie tylko określiło to jego ówczesną postawę, ale rzutowało na jego dalsze, powojenne losy, kiedy wrócił do kraju z otlagu.

M.R.: — *Masz na myśli wywieraną na niego presję?*

K.F.: — Tak, uzależnienie Polski od Związku Sowieckiego nie ulegało już wtedy wątpliwości, a nawet pogłębiało się wyraźnie. Ludzie lewicy, którzy mieli w przeszłości tzw. haka, znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Szantażowani, nieraz ulegali presji i działalność swą podporządkowywali komunistycznej władzy. Tak się stało z Kruczkowskim.

M.R.: — *Ale Twoje polityczne zaangażowanie było przecież mniej żarliwe, że tak powiem, od zaangażowania niektórych pisarzy z tego pokolenia, np. Brandysów czy nawet Breży? W tych szalonych czasach kierowałeś się czymś, co można by chyba nazwać zdrowym rozsądkiem. I wydaje mi się, że to nie Październik miał decydujący wpływ na ewolucję Twojego krytycznego stosunku do komunistycznej rzeczywistości w Polsce.*

K.F.: — Nie operujmy nazwiskami, było ich zbyt wiele. Nie chcę też nikogo sądzić, tak jak to robią teraz niektórzy. Często surowo sądzą innych ci, którzy sami nie mają zbyt czystego sumienia. Myślę, że zaangażowanie polityczne wielu pisarzy polskich po stronie komunizmu nie zawsze było takie proste, nie polegało tylko na mistyfikacji i samozakłamaniu. Przypominam jeszcze raz to, co już raz powiedziałem wcześniej: wielu osobistym decyzjom politycznym towarzyszyło wtedy — otwarcie nie wypowiedziane, ale głębokie i powszechne — poczucie osamotnienia, opuszczenia nas przez Zachód. Przypomina mi się też rozmowa z Adamem Polewką, działaczem komunistycznym z lat pięćdziesiątych, kiedy zatrzymano mi dwie książki. — Co robisz? — A, nic, łowię ryby. — Nie piszesz? — Nie. — Dlaczego? — Bo cenzurze nie podoba się to, co piszę. — To pisz tak, żeby się cenzurze podobało. — Kiedy nie mogę tak pisać. — To nie pisz. Będziemy tłumaczyć książki z rosyjskiego... W takich okolicznościach i takiej atmosferze odbywał się „przełom” ideologiczny. Dla wielu pisarzy był skomplikowanym procesem psychologicznym i moralnym. Nie wystarczyło powiedzieć, że się uwierzyło i zasiąść do pisania takiego, aby się podobało cenzurze. Trzeba było uruchomić w sobie coś, co — przepraszam, że cytuję sam siebie,

użyłem już tego sformułowania gdzie indziej — pozwoliłoby „uwierzyć, że się wierzy”. To nie to samo, co uwierzyć. „Uwierzyć, że się wierzy” — to zabieg bardziej niszczący i pustoszący osobowość. Trzeba przyznać, że najbardziej odporni na komunistyczną indoktrynację w tamtych latach okazali się pisarze katolicy — chociaż też nie wszyscy.

M.R.: — *A jak sam sobie radziłeś z tą ponurą rzeczywistością lat 50-tych?*

K.F.: — Wspomniałem już, że rozczarowanie do Związku Sowieckiego uchroniło mnie od „pogrążenia” się w lewicowości. Ale żyć jakoś trzeba było. Uprawiałem zawodowo pisarstwo, a więc byt mój i mojej rodziny uzależniony był od dziedziny, która stała się szczególnym terenem komunistycznej penetracji. Po roku 1949 kultura była bezpośrednio kontrolowana przez partię. Koło mnie żyła istota bardzo mi bliska, żona moja, Maria Jaremińska, malarka. Bardziej niż ja zaangażowana politycznie. Dwa razy byłem świadkiem straszliwej tragedii w jej życiu. Oto jest jesień 1948 roku, po latach wojny nareszcie wolność twórcza, namiętne gorączkowe pracy i przygotowań — i pierwsza wystawa malarstwa współczesnego w krakowskim Pałacu Sztuki. Ale nie żadna manifestacja jakiegos jednego kierunku, tylko pierwsza wspólna prezentacja wielu sposobów widzenia świata. Pierwsza pośpieszna próba nadrobienia czasu straconego i nawiązania do tego, co się działo w sztuce europejskiej. Tłumy na wystawie. Artykuły, publikacje. Plany. Dyskusje. Ale oto jest grudzień 1948. W Domu Kultury odbywa się wielka dyskusja o wystawie. Przemawiają krytycy, malarze i literaci. Nagle otwierają się boczne drzwi i następuje wejście. Wiesz, wejście trzech ludzi, którzy wiedzą wszystko. Wiedzieli to już znacznie wcześniej. Ci trzej, którzy weszli, to byli dwaj sekretarze partyjni, a w środku między nimi nasz kolega, literat. Kolega partyjni prosi o głos i wygłasza krótkie, ale stanowcze przemówienie. Wystawa sztuki nowoczesnej jest jedną, wielką, obrażającą partię i wszystkich ludzi pracy, prowokacyjną demonstracją wrogich postaw antyhumanistycznych. Pamiętam między innymi słowo „amorfizm”, które zostało użyte na określenie tej sztuki. Tak, ci trzej wiedzieli już to, czego moja żona i inni, pełni zapału, ale naiwni, jeszcze nie wiedzieli: że za parę tygodni upadnie Gomułka i Spychalski, że niebawem zwołane zostaną zjazdy literatów i plastyków. I zaciągnie się na siedem lat. Maria z partii wtedy nie wystąpiła, malowała dalej to, co chciała i jak chciała, ale nie wystawiała. Sale wystawowe opanował socrealizm. Byli tacy malarze, którzy nie czuli się zbyt zagrożeni wymogami socrealizmu. Dla nich była to tylko kwestia zmiany rekwizytów. Niczym więcej. Po-

tem, w roku 1956, byłem świadkiem jak Maria, po powrocie z zebrania podstawowej komórki partyjnej, na której odczytano przemówienie Chruszczowa — darła na strzępy legitymację partyjną. Legitymacja miała okładki z dosyć mocnego płótna i potęgowała jej rozpaczliwą wściekłość. Przed tym my wszyscy, jeśli nawet nie znaleźliśmy rozmiarów zbrodni Stalina, to jednak podejrzewaliśmy coś i domyślaliśmy się czegoś. Ale dopiero zbrodnia ujawniona i udowodniona — jest zbrodnią wiarygodną.

Niektóre z moich książek zostały zatrzymane, oskarżano mnie o „formalizm”. *Profile moich przyjaciół* na przykład cztery lata tułały się po wydawnictwach, zanim dopiero w 1955 roku ukazały się w Wydawnictwie Literackim. W takiej sytuacji postanowiłem wykonać coś, co w walce bokserskiej nazywa się unikami. Unikając ciosu przeciwnika... zacząłem pisać *Ulicę Gołębią*.

M.R.: — *Pierwsze publiczne Twoje wystąpienie, które miało charakter opozycyjny, związane było z tzw. listem pięćdziesięciu dziewięciu, adresowanym do Sejmu PRL, w sprawie „poprawek” do Konstytucji.*

K.F.: — Złożyłem podpis pod tym listem z przekonaniem, ale i trochę z przekory. Otóż od pewnego czasu zacząłem być obiektem zainteresowania tzw. oficjalności. Dostałem jakąś nagrodę, odznaczenie, więcej mnie wydawano... A takiego zainteresowania to ja po prostu nie lubię.

M.R.: — *List ten w połowie lat 70-tych podpisało wielu wybitnych intelektualistów. Z Krakowa m.in. Wisława Szymborska, Jerzy Turowicz, Jan Józef Szczepański, Kazimierz Wyka. To był zasadniczy przełom w stosunkach między komunistyczną władzą a intelektualną opozycją, coraz silniej zaznaczającą swoją obecność w życiu społeczeństwa. Od tego czasu zaczęły w kulturze, w środowiskach masowego przekazu funkcjonować tzw. zapisy na nazwiska. Twoje nazwisko też znalazło się na indeksie. Ale dla większości polskich intelektualistów największym wstrząsem moralnym był marzec 1968 roku.*

K.F.: Owszem, niektórzy z nich wystąpili nawet wtedy z partii. W środowisku literacko-artystycznym zaczęła się krystalizować opozycja. Na terenie Krakowa bojkotowano np. *Życie Literackie* ze względu na ogłaszane tam artykuły Machejka, Nawrockiego, Krasickiego, Walichnowskiego. To już był otwarty, wulgarny antysemityzm.

M.R.: — *Ci ludzie należą do najbardziej giętkich publicystów, piszą jak wiatr zawieje. Dalej więc dobrze prosperują, szkodząc polskiej kulturze.*

K.F.: — Do czego może prowadzić antysemickie szaleństwo, inspirowane z góry, odczułem na własnej skórze. Nie bardzo lubię powoływać się na własne udręki, ale to, co uczyniono z moją książką, zasługuje na opowiedzenie. W roku 1968 ukazało się w Wydawnictwie Literackim II wydanie wyboru opowiadań, które miało być dokładnym powtórzeniem wydania I z roku 1966. W ostatniej chwili, tuż przed drukiem, bez porozumienia się z autorem, usunięto jedno z najważniejszych moich opowiadań — *Krajobraz, który przeżył śmierć*. Jest to historia rozstrzelania Żydów w okolicy Lwowa. Ale przecież, na Boga, rozstrzelania przez Niemców! Byłem wściekły. Dziwię się, że mnie wtedy szlag nie trafił ze złości.

M.R.: — *To nie tylko bardzo ważne, to również jedno z Twoich najlepszych, najbardziej wstrząsających opowiadań. Czytałem je niedawno, po raz któryś, gdy przypominałem sobie wojenne opowiadania, zebrane ostatnio w tomie pod tym samym właśnie tytułem — Krajobraz, który przeżył śmierć. Opowiadanie zadeptykowałś Jonaszowi S., bohaterowi tego opowiadania, czyli Sternowi, wybitnemu malarzowi, Żydowi z pochodzenia. Być może to też było powodem usunięcia tego tekstu. To rzeczywiście sprawa kuriozalna i można by z niej żartować, gdyby nie jej złowrogi wydźwięk moralny.*

Sierpień nie był dla Ciebie zaskoczeniem i chyba nie był zaskoczeniem stan wojenny, czy jednak zaskoczyły Cię jego konsekwencje w dziedzinie kultury, m.in. rozwiązanie związków twórczych?

K.F.: — Stan wojenny nie był dla mnie zaskoczeniem, ponieważ spodziewałem się, że ku czemuś takiemu historia zmierza, że my w tym momencie jeszcze się nie przebijemy i że musi nastąpić w takiej czy innej formie interwencja w nasze sprawy. Wątpiłem jednak, by Rosjanie chcieli powtórzyć coś takiego, jak inwazja w Afganistanie i wkroczyć do Polski. Natomiast niewątpliwie zaskoczyło mnie rozwiązanie związków twórczych, a zwłaszcza ZLP...

M.B.: — *Była to rzecz bez precedensu...*

K.F.: — Nawet w czasach stalinowskich istniał Związek Literatów Polskich. Wydaje mi się, że główne powody rozwiązania ZLP — a także zniszczenia krakowskiego miesięcznika *Pismo* — były nie polityczne, ale personalne. Podobno niektórzy partyjni uważają rozwiązanie ZLP za grubą błąd, ale już nie do naprawienia.

M.R.: — *A czy uważasz za możliwe reaktywowanie ZLP w jego dawnej postaci?*

K.F.: — Nie, ponieważ zbyt poważne już nastąpiły między nami a pisarzami reżimowymi podziały.

M.R.: — *Słyszałeś o inicjatywie klubów literackich?*

K.F.: — Może jest to jakieś wyjście, ale chyba prowizoryczne. Osobiście jestem przeciwny rozdrabnianiu. ZLP, to prawdziwe ZLP, może wznowić swą działalność, ale tylko w zdecydowanie zmienionej sytuacji politycznej.

M.R.: — *Mówiliśmy już, że twórczość Twoja nigdy nie była bezpośrednio związana z polityką, nawet wtedy, gdy spełniając w jakimś stopniu oficjalne zapotrzebowanie, napisałeś Księzyc nad Nidą oraz Błękitny zeszyt, a także wspomnianą Ulicę Gołębią, zawierającą elementy autobiograficzne, i jej drugą część zatytułowaną Jutro znów wojna. Opowiadałeś kiedyś, że w związku z maszynopisem pierwszej z wymienionych powieści używano Cię nawet do KC PZPR...*

K.F.: — Tak, w wydziale kultury KC, w obecności mojego znajomego, usiłowano wpłynąć na mnie, żebym zmienił proporcje w tej okupacyjnej powieści, opisującej działania polskiej partyzantki, na niekorzyść AK. Wydarzenia w tej książce opisane zostały z pozycji wystarczająco radykalnych i wcale nie zamierzałem mojego punktu widzenia przesunąć jeszcze bardziej w lewo. Ale dla nich to było za mało. Chcieli powieści programowo zafałszowanej. Sugerowano mi więc, abym pokazał AL jako organizację bojową, która miała większy wpływ w społeczeństwie, a Bataliony Chłopskie jako bardziej lewicowe, niż wynikało to z mojej powieści. A najlepiej, gdyby z BCh zrobić po prostu Armię Ludową, a ideologię akowską przyrównać z NSZ...

M.R.: — *Książka została wydana, więc zgodziłeś się z tymi sugestiami?*

K.F.: — Na żadne przerabianie nie zgodziłem się, usunięto więc tylko część rozdziału, w którym przedstawiłem rozmowę dowódców BCh i AL na temat zasad współpracy, które miały obowiązywać również po wojnie. Takie umowy rzeczywiście były zawierane, sam miałem w ręku podobny dokument. Godziłem się, oczywiście niechętnie, na usuwanie, a nie na... dopisywanie. Nie dawałem się więc inspirować, ukierunkowywać, a taka właśnie tendencja w polityce kulturalnej owych lat była powszechna.

M.R.: — *W wypowiedziach o swojej twórczości, nielicznych zresztą, podkreślasz zainteresowanie dla formy w dziele literackim. Czy mógłbyś określić, co rozumiesz przez formę?*

K.F.: — Formę rozumiem podobnie jak w plastyce, muzyce, jako świadomy i celowy układ elementów, z których buduje się dzieło. Elementy w moich utworach są realistyczne, ale ich kompozycja rządzi się prawami formy. Nie eksperymentuję jednak w języku, staram się nie niszczyć gramatycznej struktury zdania, dlatego proza moja może być uważana za spokrewnioną z literaturą XIX wieku. Według mnie nieśluszenie — nowoczesności nie należy bowiem utożsamiać z eksperymentowaniem. Często myśl o formie determinuje tematykę moich opowiadań, a trudności w formalnym rozwiązaniu utworu przesądzają czasem nawet o jego niedokończeniu.

M.R.: — *Ulubionym Twoim gatunkiem literackim jest opowiadanie. Czy wynika to z pewnych właściwości Twojej wyobraźni, czy też podyktowane jest filozoficzną refleksją na temat literatury, jej możliwości i jej zadań?*

K.F.: — Tak. Nowela, krótkie opowiadanie, może jeszcze mikropowieść — to rodzaje prozy, w których czuję się najlepiej. Zwłaszcza krótkie opowiadanie jest tą formą, która odpowiada mi najbardziej. Znosi większe obciążenie niż nowela, ale jest wystarczająco krótkie, aby rozpoczynając pisanie widzieć początek i dosyć wyraźnie koniec utworu. Pisząc, czuje się bliską radość spełnienia tego, co się zamierzyło. A wreszcie satysfakcję podobną trochę do tej, jaka się przeżywa po rozwiązaniu zadania matematycznego. A jeśli o metodę chodzi — to wbrew temu, co sądzą niektórzy krytycy i mimo pozorów, że uprawiam prozę psychologiczną, nie dowierzam introspekcji. Uważam ją za trud niemal daremny. Przekonałem się, że mechanizm życia wewnętrznego człowieka jest prawie niepoznawalny. Poprzestaję na metodzie porównawczej: staram się docierać do wnętrza człowieka przy pomocy relacjonowania związków między ludźmi a ludźmi, ludźmi a zwierzętami i rzeczami, a nawet rzeczami a rzeczami. Moje kolejne zbiory opowiadań — może tylko z wyjątkiem pierwszego, monotematycznego, wojennego tomu *Krajobraz niewzruszony* i dziecinnych opowiadań zawartych w *Białym ptaku* — to pozostałe kilkanaście tomów nie ma żadnej wewnętrznej jedności tematycznej. Są w nich opowiadania odnoszące się do różnych, nieraz bardzo odległych miejsc i czasów. Jeśli je coś łączy, to tylko wspólna — zresztą zmieniająca się w ciągu lat — stylistyka. Ale ten chaos tematyczny i chronologiczny jest tylko pozorny. W isto-

cie bowiem dążyłem zawsze do pewnej całości, czyli do jednej, wielkiej opowieści. Opowieść ta ma jakby kształt kopuły okrywającej całe moje życie świadome, od dzieciństwa po czas ostatni, i podobna jest trochę do mozaiki. W obrazie całości jest jeszcze wiele miejsc pustych i czasem wydaje mi się, że, niby malarz kończący swoje dzieło, wiem dobrze, gdzie są te miejsca puste albo słabe. Kiedy indziej staję wobec tego, co napisałem bezradny, nie wiem nic, nie wiem, co jeszcze miałbym powiedzieć, w jaki sposób mógłbym to, co już napisałem, ulepszyć, jak i czym puste pola wypełnić — tą samą oczywiście materia, nie suplementami i komentarzem, bo byłby to już koniec. Więc poprzestaśmy na tym. Mówić jeszcze więcej — byłoby już zabijaniem swojej twórczości własnymi rękami.

M.R.: — *Zgadzam się z Tobą, pozwól jednak, że zadam Ci jeszcze jedno, ostatnie już pytanie. Należysz do pisarzy o niezwykle silnie rozwiniętym poczuciu obowiązku wobec rzeczywistości, którą należy opisywać w celu jej poznania i zrozumienia, bo gdy będziemy się starali zrozumieć świat nas otaczający, łatwiej zrozumiemy też siebie. Od kilku lat tempo wydarzeń w naszym kraju nabrało przyspieszenia, a na czoło aktualnych spraw wysuwają się problemy polityczne i kwestie moralne. To jest chyba głównym powodem, że zacząłeś pisywać wiersze, które szybko zdobyły Ci popularność wśród czytelników i uznanie krytyki. Wiersz jest jeszcze szybszą reakcją na rzeczywistość niż opowiadanie. I są to przeważnie wiersze polityczne, dlatego jesteś zmuszony drukować je w drugim obiegu.*

K.F.: — Tych krótkich utworów, które teraz od czasu do czasu pisuję, nie ośmielałbym się nazywać wierszami. Są to po prostu małe, zwarte teksty prozatorskie, ukształtowane w formie wierszy i bardziej niż proza epicka wewnętrznie zrytmizowane. To upodabnia je do poezji, ale w moim przekonaniu poezją nie są. Uprawiałem takie formy dawniej, ale rzadziej. Zacząłem je uprawiać częściej po roku 1981, jakby w przekonaniu, że przy ich pomocy będę mógł reagować szybciej i skuteczniej na to, co się wokół mnie dzieje.

Rozmawiał Mikołaj RUSZKOWSKI

Kornel Filipowicz obchodzi obecnie 75-lecie swoich urodzin. Jest to nie tylko wybitny pisarz, ale również wielki autorytet moralny (Red.).

Kolekcjoner na granicy światów

Książka Krzysztofa Pomiana pt. *Collectionneurs, amateurs et curieux. Paris, Venise: XVI-XVIII^e siècles* (Kolekcjonerzy, amatorzy i miłośnicy. Paryż, Wenecja: XVI-XVIII wiek)* jest wynikiem dwudziestoletnich studiów nad dziejami tajemniczego rodzaju ludzkiej aktywności — gromadzenia przedmiotów szczególnego typu. Książka ta nie jest opisem gustów właścicieli galerii, gabinetów osobliwości lub muzeów; nie jest też inwentarzem precjozów skwapliwie gromadzonych przez paryżan i weneccjan w ciągu stuleci. Książka Krzysztofa Pomiana jest dziełem historyka i filozofa, który w historii kolekcjonerstwa dostrzega dzieje kultury europejskiej między średniowieczem i rewolucją francuską. Więcej nawet: studia Krzysztofa Pomiana dotyczą przemian w relacjach ludzi i przedmiotów łączących świat widzialny i niewidzialny od epoki kamienia łupanego do dzisiaj. Jeszcze inaczej: studia o kolekcjach są historią nadawania przez ludzi szczególnego znaczenia przedmiotom w szczególnych okolicznościach.

Kolekcje traktowane są przez Pomiana jako instytucje towarzyszące człowiekowi w czasie i przestrzeni. Głównym zadaniem kolekcji — napisał autor w *Słowie wstępnym* — jest utrzymanie więzi świata niewidzialnego z widzialnym. O kolekcjach można mówić w aspekcie geograficznym, społecznym: kolekcje są dostępne publiczności wybieranej według określonych kryteriów; jednym z nich jest pozycja społeczna samego kolekcjonera. Można też analizować ekonomiczny aspekt kolekcjonerstwa: dary i kradzieże, sprzedawanie i kupowanie dzieł lub cennych przedmiotów — wokół kolekcjonerów zawsze kręca się handlarze, złodzieje i antykwariusze.

* Krzysztof Pomian, *Collectionneurs, amateurs et curieux. Paris, Venise: XVI-XVIII^e siècles*, Paris 1987, Editions Gallimard, Bibliothèque des Histories, str. 367.

W eseju teoretycznym, zatytułowanym: *Entre l'invisible et le visible: la collection* (Między niewidzialnym i widzialnym: kolekcja) Krzysztof Pomian sformułował definicję kolekcji: „To zbiór przedmiotów naturalnych lub sztucznych, wyłączonych czasowo lub na stałe ze zwykłej wymiany rynkowej, chronionych w zamkniętym i specjalnie do tego celu przystosowanym miejscu oraz dostępnych czyjemuś spojrzeniu”.

Jakich przedmiotów? Co wyróżnia przedmioty gromadzone w kolekcjach? O czyje spojrzenie chodzi?

Analizując zwyczaj składania ofiar zmarłym (w różnych kulturach i rozmaitych epokach), przedmiotów zamykanych razem z mumią, trumną lub truchłem w grobowcu, Krzysztof Pomian napisał: „Te przedmioty zgromadzono dla mieszkańców niebios; widzą je nawet wtedy, gdy ziemia dostrzec ich nie mogą. Czy należy zatem wykluczyć spojrzenie nie-ludzkie i ograniczyć kolekcje do zbioru przedmiotów dostępnych jedynie ludzkiemu wzrokowi? (...) Wydaje się, że mamy prawo uznać przedmioty grobowe i ofiary dla zmarłych za kolekcje, ponieważ z naszego punktu widzenia ważne jest nie to, iż są przeznaczone dla zmarłych, ale to, że zakładają obecność potencjalnych widzów w innej czasoprzestrzeni (...). Wielu autorów od Herodota, przez Pauzaniasa aż do Pliniusza Starszego wspomina o przedmiotach towarzyszących zmarłym jako łączniku między ziemią i zaświatami, *profanum* i *sacrum*”. Przedmioty te stoją na granicy światów: życia i śmierci, widzialnego i niewidzialnego.

Przedmioty tworzące kolekcje mogą być bardzo różne pod każdym względem. Łączy je wszakże pewna wspólna cecha, spełniają podobną funkcję — strzegą tajemnicy przejścia. Dzieje się tak zarówno w kulturze Zachodu, jak i w kulturach zwanych prymitywnymi. Opozycja między widzialnym i niewidzialnym ma swój odpowiednik w różnicy między rzeczą i słowem: zjawiskiem dostępnym spojrzeniu i zjawiskiem, o którym można tylko coś powiedzieć. Samo użycie języka prowadzi do podziału na widzialne i niewidzialne: język przeciwstawia, ale też łączy te dwie sfery. Od wieków mitologie, religie, filozofia i nauka przypisują światu niewidzialnemu większą wartość. To, co niewidzialne jest nie tylko tajemnicze i groźne, ale również życiodajne — stamtąd biorą się wszelkie zjawiska i tam powracają. W owej podróży dwa momenty są szczególnie ważne: chwila pojawienia się i zniknięcia, powrotu „na drugą stronę”. Nic więc dziwnego, że przedmioty związane w jakikolwiek sposób z „tamtą stroną” dzięki swej rzadkości, niezwykłości, osobliwości, nieznanemu pochodzeniu nabierają wyjątkowego znaczenia.

Pierwsi w historii świata kolekcjonerzy zamieszkiwali grotę Hyène w epoce paleolitu. Zgromadzili w niej przedmioty, które reprezentowały niewidzialne — stworzyli kolekcję. To przełom w dziejach ludzkości, może najważniejsze wydarzenie od czasu oswojenia ognia — napisał Krzysztof Pomian — ponieważ gromadzenie i wytwarzanie przedmiotów łączących oba światy oznacza powstanie kultury we właściwym sensie tego słowa. To, co się wówczas zdarzyło ma wartość przekroczenia. Życie ludzkie

ograniczało się dotąd do sfery widzialnej. Nie istniał pomost między widzialnym i niewidzialnym. Powstanie pierwszych kolekcji świadczy o potrzebie reprezentacji niewidzialnego za pośrednictwem swoistych przedmiotów: dziwnych tworów przyrody oraz rzeczy namalowanych, wyrzeźbionych, wyciętych, wydrapanych, ciosanych, lepionych itd., itd.

W ten sposób w świecie przedmiotów nastąpił podział na dwie kategorie, na rzeczy użytkowe i semiofory.

Przedmioty użytkowe służą zapewnieniu środków do życia, chronią przed dokuczliwością natury. Są używane, więc się zużywają. Ale właśnie w okresie późnego paleolitu pojawiły się przedmioty poza wszelką użytecznością, reprezentujące świat niewidzialny i dostępne cudzemu spojrzeniu: widoczne i znaczące, przedmioty o szczególnej znacznosci — eksponaty, semiofory.

Człowiek rozwinął swoją działalność w dwóch kierunkach: doskonalił albo użyteczność rzeczy, albo poziom znaczenia semioforów. Każdy przedmiot, żeby posiadać jakąś wartość, musi spełniać jeden, konieczny i wystarczający warunek: być albo użyteczny, albo znaczący. Jeśli go nie spełnia, nie jest przedmiotem lecz odpadkiem. [Warto jednak zauważyć, że Krzysztof Pomian w rozdziale pt. *Les collections particulières et les musées* (Zbiory prywatne i muzea) opisał w jakich sytuacjach odpadki stają się semioforami].

Kolekcjonerzy nie gromadzą zatem rzeczy, ale eksponaty — semiofory. Przedmioty „wyższe”, pozostające w łączności z tym, co niewidzialne. Podobnie jest z hierarchią ludzkich zajęć. Najwyższe miejsce zajmują w niej ci, którzy reprezentują niewidzialne: królowie, cesarze, pomazańcy bozi.

W XV stuleciu stosunek do niewidzialnego uległ w Europie zmianie. Świadczy o tym pojawienie się nowej grupy semioforów, rzeczy użytkowych przywiezionych z zamorskich wypraw: szat, tkanin, korzeni, okazów fauny i flory. W Europie straciły one jednak wartość użytkową i stały się eksponatami. Ze względu na ich związek z tym, co niewidzialne. W tym samym stuleciu jeszcze jedna grupa przedmiotów została zaliczona do semioforów: obrazy i wszelkie dzieła sztuki współczesnej. Była to jedna z konsekwencji toczonych wówczas sporów o stosunek sztuki do natury. Uznano wtedy, niezależnie od wszelkich różnic w sprawach innego rodzaju, że sztuka utrwała ulotność, czyli to, co stanie się niewidzialne. Obraz pozostanie — artysta chwytą „moment wieczny”. Tworzy zatem semiofory. Dlatego niezbędny jest księciu, marzaczemu zarówno o wiecznej chwale jak i sławie ziemskiej. Mądry książę musi popierać sztukę: staje się mecenasem i kolekcjonerem. Obliguje go do tego miejsce zajmowane w społecznej hierarchii, musi otoczyć się artystami, obrazami i założyć kolekcję.

W eseju pt. *La culture de la curiosité* (Kultura osobliwości) Krzysztof Pomian dokonał analizy przemian zachodzących w stosunku Europejczyków do przedmiotów rzadkich. Porównał m.in. brzmienie hasła „*curiosité*” w dwóch słownikach, dykcyonarzy Antoine Furetière'a z 1620 roku oraz Słownika Akademii Fran-

cuskiej z roku 1694. W obu księgach ciekawość nazwano żądzą i pasją oglądania, wiedzy, posiadania rzeczy osobliwych, nowych, tajemniczych, wyjątkowych. Wiemy już, że nie chodzi o rzeczy, lecz semiofory, zajmujące uprzywilejowane miejsce w czasie i przestrzeni. Łączą świat widzialny z kosmosem, są sienią prowadzącą do całości świata. Również gabinet osobliwości jest przedśmionkiem kosmosu, odwzorowaniem *universum*, „małym światkiem”.

Ciekawość jest zatem żądzą całości. I dlatego na tak wielu XVI- i XVII-wiecznych płótnach przedstawiających gabinety osobliwości i pracownie artystów pojawia się Wenus lub półnaga nimfa w towarzystwie Amora. Ciekawość jest jednak dwuznaczna: oscyluje między miłośnictwem i wścibstwem. Furetiere akcentował pierwszą możliwość, Akademia — drugą. Pierwsza jest cnotą, druga grzechem. W drugiej połowie XVII wieku rolę miłośników i zbieraczy osobliwości zaczęły przejmować akademie i placówki naukowe. Jednak ciekawość (rozumiana jako miłośnictwo) „wcielana w formy *Kunst- und Wunderkammer*, biblioteki, laboratorium alchemika uprawiającego filozofię hermetyczną lub fizyka, dla którego zjawiska optyczne pozostają cudownie tajemnicze; ciekawość żywiołowa, nieskrępowana, bezładna, nieraz sprzeczna, 'rozdwojona w sobie' — królowała w zastępstwie nauki po abdykacji teologii”.

W połowie XVIII wieku stosunek do miłośnika i amatora, czyli kogoś, kto zajmuje się „niepróżnującym próżnowaniem”, stał się jednoznacznie negatywny. Krzysztof Pomian przedstawił kulturowe skutki tej przemiany na podstawie analizy odpowiednich haseł z Encyklopedii. Estetyka Diderota nie zostawiała dla miłośnika żadnego miejsca, ponieważ nie był on znawcą. Znawcą jest filozof, który winien nauczyć artystów prawdziwych wartości w sztuce. Dla Diderota zbieractwo nie było niewinną manią, ale — w gruncie rzeczy — żądzą władzy nad duszami. Zdawał on sobie sprawę, że kolekcjoner, zbierając przedmioty łączące widzialne i niewidzialne, jest osobnikiem na granicy światów.

Spośród bogactwa analiz, materiałów i wątków obecnych w pasjonującej książce Krzysztofa Pomiana wybrałem tylko jeden, by pokazać, w jaki sposób jego studia z historii sztuki łączą się z filozofią przedmiotu i antropologią wiedzy w panoramiczne eseje o dziejach kultury europejskiej.

Krzysztof RUTKOWSKI

Niebo Josepha Rotha

U wylotu rue de Tournon, kilka kroków od Pałacu Luksemburskiego, w starej kamieniczce pod numerem osiemnastym

znajduje się skromny hotel, jakich wiele w Paryżu. Na tablicy wmurowanej nad oknami pierwszego piętra można odczytać: „Od 1937 do 1939 roku mieszkał tu wielki pisarz austriacki Joseph Roth. W hołdzie — przyjaciele austriaccy”. Paryż ma wiele tablic ku czci, ale tę warto zapamiętać. Rue de Tournon, przebita na początku XVI wieku na obszarze sąsiadującym z opactwem Saint-Germain, w nowszych czasach była tradycyjnie ulicą pisarzy, artystów, księgarzy. W Hôtel de Chatillon pod numerem drugim mieszkał przez trzy lata Balzac; kilkadziesiąt lat później wprowadził się tam akademik Victor la Prade. Pod siódmym mieszkał Alphonse Daudet po przeprowadzce z Prowansji do Paryża. W domu pod piątym umarł Charles Cros, wynalazca fonografu i poeta. Naprzeciwko, pod czwartym, miał za sąsiada Lamartine'a. Tu założył swoją „Księgarnię Luxemburską” Władysław Mickiewicz, w odległości kilku minut spacerem od domu na rue Guénégaud. Na rue de Tournon mieszkał Rainer Maria Rilke w czasach, gdy sekretarzował Augustowi Rodin. Mieszkał tu również obłąkany Radiguet, autor miłosnej powieści, która wiele lat po jego tragicznej śmierci została sfilmowana jako „Diable au corps”. Tu wreszcie cały Paryż pierwszej połowy XIX wieku schodził się na konsultacje do słynnej wróżki, Madame Lenormand. Przepowiadała one przyszłość z fusów od kawy i roztopionego ołowiu, stłuczonych luster, popiołu i kart tarota takim postaciom jak Robespierre, Saint-Just, David, cesarzowa Józefina.

„Cały obszar między Odeonem a Pałacem Luksemburskim uważaliśmy za udzielne księstwo Rotha. Tam zapewne krąży do dziś jego duch i laszczką przewraca Niemców” — napisał o przyjacielu Józef Wittlin. Właśnie Roth zaprosił autora „Soli ziemi” po raz pierwszy do Paryża na początku lat trzydziestych i był jego przewodnikiem.

Na parterze hotelu de Tournon pod osiemnastym znajduje się bar, zamknięty w dżdżyste letnie popołudnie. Przez witrynę można dostrzec w ciemnym wnętrzu ładę obitą błachą cynkową i krzesła ustawione na stołach. W takiej dokładnie scenerii odbywa się finał ostatniej powieści Rotha, „Spowiedź mordercy”, napisanej na rue de Tournon w 1937 roku. Niewykluczone, że w tym barze jej autor przesiedział całą noc, słuchając wyznań rosyjskiego emigranta nazwiskiem Gołubczik. O ile oczywiście istniał pierwowzór Gołubczika, któremu przypadła rola Kaina, wedle odwiecznego prawa odrzucenia, zranienia, zemsty. Roth pisał tę powieść pośpiesznie, w ciągu kilku miesięcy. Jej treścią jest czynienie zła, ale jej przesłanie jest zastanawiająco ewangeliczne. Młody Gołubczik wcześniej dowiaduje się, że jest bękartem — skutkiem chwilowej pasji księcia Kropotkina do urodzajnej poddanej, którą następnie poślubia zwabiony posagiem leśnik. Ich związek pozostaje białym małżeństwem i gdy leśnik szuka pociechy u dziewczyny z sąsiedztwa, zostaje zabity przez ojca zhańbionej. Scena morderstwa, przyjętego fatalistycznie przez wszystkie osoby dramatu, jest niezrównana w lakonicznym, pełnym napięcia opisie. Młody Gołubczik wyrusza następnie w poszukiwa-

niu biologicznego ojca. Oczekuje od niego ojcowskiego pocałunku, znaku uczuciowego uznania, ale dostaje drogie cacko — złotą tabakierę. Taki sam upominek otrzymuje legion innych nieślubnych synów księcia. Z powodu tej tabakiery staje się ofiarą intrygi ze strony wrogów Kropotkina. Złowrodcy emisariusze obcych sił chcą u Gołubczika wywołać mordercze pragnienie zemsty. Wskazaną mu ofiarą ma zostać jedyny legalny syn księcia, przypuszczalnie także bękart. Tak oto z gruntu prawy Gołubczik staje się narzędziem w rękach manipulatorów. Nieświadomy, podlega tresurze, w której kluczową rolę gra podstępna kobieta, kochanka i jego, i utytułowanego półbrata. Gołubczik odznacza się intensywnością bohaterów Dostojewskiego, a krótka powieść Rotha, studium rozpętywania zła, wydaje się odległym nawiązaniem do „Biesów”. Jej finał jest nieoczekiwany, a przesłanie pozostawia nadzieję, bo choć Gołubczik ciężko zranił dwoje ludzi, nie jest jednak ich zabójcą, jak sam sądził. Nadto jego ofiary wybaczą mu ów czyn, a zatem w imię miłości bliźniego wstrzymują się od powtarzania wzoru zemsty. W tym akcie tkwi ocalenie — zdaje się nam mówić Roth.

Można tę powieść odczytać jako symboliczną reprezentację Rosji w XX wieku, ale i Europy w przededniu nowej rzezi. Odstąpienie od zemsty za zbrodnie popełnione lub przypisywane mogłoby uratować świat od bratobójczej walki, ale głosy proroków ginęły we wrzasku wydobywającym się z megafonów. Roth był kolejnym wcieleniem Kassandry, której Apollo — jak wiadomo — dał dar wieszczenia, ale odebrał słuch tym, których ostrzegała. Może dlatego należał do tych artystów, którzy spalają się szybko i nawet przyspieszają swoją śmierć. Rozpacz próbował znieczulić alkoholem. W ciągu niespełna pięćdziesięcioletniego życia doświadczył wielu kataklizmów historycznych i osobistych. Chciał bez skutku uleczyć swoją żonę Friedl ze schizofrenii. Woził ją do świątobliwych cadyków i z nadzieją witał chwilowe oznaki uzdrowienia. Nie uratował ani żony, ani siebie, ani Europy, ani narodu żydowskiego, którego bronił żarliwie w eseju „Żydzi-tułacz”. Zatem pił, być może z poczucia bezradności. Trudno byłoby odgadnąć na podstawie jego książek, że trawił go autodestrukcyjny nałóg. Proza Rotha — krystalicznie czysta, oszczędna, z cienką kreską ironii, za którą kryje się litość do ludzi, nie zdradza najmniejszego zakłócenia świadomości. Może tylko ostatnie jego opowiadanie, „Saga o świętym pijaku” jest zakamuflowanym wyznaniem. Jest to opowieść o paryskim włóczędze — Polaku imieniem Andreas, który próbuje, ale nie potrafi dotrzymać przysięgi i odwdziżyć się Opatrzności za niespodziewane dary. Narrator, jak się wydaje, silnie identyfikuje się z tym niedoskonałym i grzesznym człowiekiem, niegdyś bezrobotnym górnikiem, a następnie skazańcem za zabójstwo w afekcie, nieszczęśliwym kochankiem wyrzuconym na bruk. Tuż przed śmiercią Andreas dostrzega w barze młodziankę dziewczynę w niebieskiej sukni i bierze ją za świętą Teresę z Lisieux. To spotkanie jest dla niego znakiem przebaczenia. Umiera na koniec w zakrytej kościeła, do którego zawsze miał dojść, ale ciągle coś mu stawało na dro-

dze. „Niech Bóg ześle nam, wszystkim innym pijakom, śmierć równie słodką i równie piękną” — tą modlitwą kończy się ostatnie opowiadanie Josepha Rotha. Trzy tygodnie później jego autor już nie żył.

Wizja Teresy z Lisieux, wcielonego dobra i niewinności, nie powinna dziwić czytelników wcześniejszych dzieł Rotha. Pisarz przypuszczalnie przeszedł w ostatnich latach życia na katolicyzm, jeśli nie formalnie, to duchowo. Podobnie jak Aleksander Wat, który przełożył jego „Fałszywą wagę”, w koncepcji judeochrześcijaństwa nie widział żadnej sprzeczności. Dlatego też pozostał wierny swojemu dziedzictwu — judaizmowi. We wspomnianym eseju „Żydzi-tułacze”, napisanym w 1927 roku, oraz w siedem lat późniejszym poemacie prozą „Antychryst” pisarz bronił śmiertelnie zagrożonej społeczności żydowskiej i wszystkich ludzi przed furiami nienawiści. Przede wszystkim przestrzegał przed skutkami niepobożności. W stylu zbliżonym do języka świętych ksiąg stara się na pięć lat przed wybuchem drugiej wojny wstrzymać podsyćanie nienawiści narodowościowych i rasowych. Przypomina — nadaremno — że Bóg jest Wszystkim, a więc ma twarz każdego z nas, bez względu na kształt nosa i zabarwienie skóry. Gdy przyjrzeć się bliżej tekstowi „Antychrysta”, odczytać w nim można zapis kolejnych doświadczeń autora: stopniowe odbieranie mu głosu, wygnanie, zmuszenie do zamknięcia. Bo Joseph Roth ma bardzo dwudziestowieczną biografię: znajduje się ciągle w drodze.

Urodził się wedle jednych źródeł w 1894, a innych — w 1896 roku w Brodach, zaledwie o kilkanaście kilometrów od miejsca urodzenia Wittlina. Przyjaźń obu pisarzy, zapoczątkowana w 1915 roku na wydziale filozofii Uniwersytetu Wiedeńskiego, trwała ćwierć wieku i ze wszelkim miar zasługuje na odnotowanie. Zostały po niej listy, które złożyłyby się na tom korespondencji. Tak oto zapamiętał autor „Soli ziemi” młodego Rotha:

„Był bardzo chudy, schludny, dobrze ubrany. Jasne włosy rozczesywał przedziałkiem przez sam środek głowy: były zawsze gładko ulizane jakąś brylantyną. Wydawał się Roth typowym wiedeńskim lowelasem ze sfer urzędniczych, tak zwanym 'Gigerl'. W swym pięknym, niebieskim oku, o spojrzeniu raczej ironicznym, nosił monokl. Ten monokl drażnił mnie. Dziś trudno powiedzieć, czy Roth nosił monokl po to, aby jeszcze lepiej widzieć świat, który wówczas wydawał mu się piękny i pełen czaru, czy też wstydził się swojej miłości do świata i monokle, nadającym surowy wyraz twarzy, maskował zachwyt w oczach. W każdym razie monokl nadawał jego spiczastej fizjonomii lekki grymas arogancji”.

Choć krajanie, pisarze wypowiadali się w innych językach. Roth wybrał niemiecki, czy też sprawił to los pod postacią słynnego Liceum Niemieckiego w Brodach, do którego przedtem uczęszczał ojciec i stryjowie Wittlina, ale nie on sam. W 1916 roku obaj młodzi poeci zgłosili się na ochotnika do armii austriackiej. W najgłębszych przekonaniach byli i pozostali pacyfistami, ale

zle się czuli w roli bezstronnych świadków katastrofy europejskiej. Szkolenie w 21-ym batalionie feldjegrów stało się dla nich lekcją poniżenia i pogardy. Następnie przyjaciół rozdzielono. Ponownie spotkali się pod sam koniec wojny we Lwowie, u wiele od siebie starszej przyjaciółki, którą obaj traktowali jak matkę.

Wittlin pierwszy zaznajomił czytelnika polskiego z twórczością Rotha: Już w latach dwudziestych uważał przyjaciela za jednego z najwybitniejszych autorów współczesnej powieści europejskiej. Przełożył między innymi „Ucieczkę bez kresu”, „Zippera i jego ojca”, „Hioba”. W swoim krótkim życiu, bez stałego miejsca zamieszkania, Joseph Roth napisał trzynaście powieści, liczne opowiadania, szkice, reportaże. Do czasu dojścia Hitlera do władzy był korespondentem dziennika berlińskiego i w tej roli podróżował do Rosji sowieckiej, Polski i do innych państw. W styczniu 1933 roku opuścił Niemcy na zawsze; przeniósł się wtedy do Paryża. Widział świat trzeźwo i w odróżnieniu od wielu ówczesnych pisarzy liberalnych, nie myślał o ustroju sowieckim jako o nowej receptce na sprawiedliwość społeczną. Jeśli miał jakieś złudzenia, to może wobec Francji. Paryż przedstawiony w szkicu „Żydzitulaże” wydaje mu się miastem nie zatratnym rasizmem, umiającym radować się życiem. Gdyby przeżył we Francji wojnę, przypuszczalnie zmieniłby zdanie. Dwa miejsca na świecie Roth idealizował: Francję i Stany Zjednoczone. Paryż staje się na koniec chwilowym portem bohatera „Ucieczki bez kresu”, powieści o pewnych rysach autobiograficznych. Jej bohater nazwiskiem Tunda jest poniekąd Musilowskim człowiekiem bez właściwości, puszczonym w ruch przez siły historii. Poznajemy go jako jeńca wojennego na Syberii. Gdy chce wrócić do Wiednia — trafia w sam środek walk rewolucyjnych w Rosji. Zaatakowany przez Białych, zostaje uratowany przez bolszewików. Przystaje do ich oddziału i staje się kochankiem dziewczyny-dowódcy. Za NEP-u zostaje pomniejszym funkcjonariuszem. Gdy po latach spotyka trójkę turystów francuskich, dekadentów z wyższych stef, postanawia uciec z Rosji. W Wiedniu, który już niczym nie przypomina stolicy *ancien régime*'u, żyje z zasiłków dobroczynności. Stamtąd jedzie do brata-kompozytora w Niemczech. Jest wszędzie obcy. Wobec tytułów, dóbr i utopijnych złudzeń społecznych zachowuje ironiczną dystans. Paryż pozwala mu na pozostanie tym, kim jest najgłębiej: człowiekiem bez przynależności, bez nazwiska, bez kraju rodzinnego. Jedynym bliskim mu człowiekiem jest polski zesłaniec na Syberii, który zaprasza Tundę z powrotem na bezludzie.

Sporo podobnych rysów ma bohater długiego opowiadania „Hotel Savoy”, Gabriel Dan. I on jest byłym jeńcem wojennym internowanym na Syberii, znajdującym się ciągle w drodze, wszędzie obcym. W jednym ze szkiców poświęconych Rothowi Wittlin pisze, że wymodelował on w tym opowiadaniu miasto na wzór Łodzi, a tytułowy „Savoy” ma wiele wspólnych cech z łódzkim „Savoyem”. W ujęciu Rotha jest to jednak symboliczny obraz współczesnego miasta na wschodzie Europy — połączy zrytej czołgami, wstrząsanej ruchami nacjonalistycznymi i separatystycznymi

mi, zamieszkałej przez ludność wyzyskiwaną i na ogół bezrobotną.

Miasto w „Hotelu Savoy” jest chwilowym postojem tysięcy uciekinierów z obozów rosyjskich, terenem ciągłych strajków, cmentarzyskiem biedaków. Wszyscy tu czekają na cud, licząc na przybycie zbawcy w postaci żydowskiego milionera z Ameryki, Bloomfielda. Majętny emigrant regularnie przyjeżdża do miasta z pielgrzymką na grób rodziców. Staje wtedy w Savoy, gdzie rządzi Ignac, z pozoru portier, a w rzeczywistości właściciel, który niewypłacalnym rezydentom odbiera resztki dobytku. Ale Bloomfield pospiesznie ucieka z miasta, w którego zbawienie nie wierzy. Na koniec hotel Savoy, symbol upadającej Europy, sztywnej hierarchii, cynizmu, hipokryzji, zostaje podpalony przez strajkujących nędzarzy. A Gabriel Dan ma jeszcze jedną szansę przed sobą: wyjazd do Ameryki na zaproszenie Bloomfielda. Roth, jak pisze o nim Wittlin, jest „jednym z najbardziej czynnych i nieubłaganych wrogów czasów przedwojennych, wojny i całej chaotycznej powojenności. (...) Ten wolny i bezinteresowny sędzia równie surowo traktuje wszelkie prawice jak i lewice zdziczalej i nieszczęśliwej ludzkości”.

Joseph Roth był świadom tego, że pisze epos ginącemu światu. Jak dowodzi „Marsz Radetzky'ego”, najśłynniejsza jego powieść, nie idealizował przeszłości i dostrzegał w niej zarodki zła. Pokazywał, jak cechy uważane za zalety — posłuszeństwo wobec władzy, zamiłowanie do porządku, wojskowa dyscyplina, poczucie hierarchii — mogą równie dobrze służyć złowrogim celom. Jak szlachetny u podstaw ruch nacjonalistyczny z połowy XIX wieku zamienić się może w szowinizm i ksenofobię, jak patriotyzm można wykorzystać do niszczących celów. Przypuszczalnie dlatego bohaterowie powieści i opowiadań Josepha Rotha są — jeśli się tak można wyrazić — mieszańcami ras i pochodzenia. Roth obawiał się realizacji państwa żydowskiego i dlatego zapewne podkreślił w przedmowie z 1937 roku do drugiego wydania „Żydów-tułaczy”, że w jego pojęciu ruch syjonistyczny jest tylko częściowym i niedoskonałym rozwiązaniem losu Żydów europejskich. Bohaterowie Rotha nie mają ojczyzny terytorialnej, z całym nieuniknionym aparatem kontroli i nacisku, biurokracją, przypisaniem do miejsca, papierami. Ojczyzna jego — tu jeszcze raz zacytuje Wittlina — „nie leży w ogóle w przestrzeni, lecz w czasie”. Jest to ojczyzna, jak objaśnia autor „Soli ziemi”, „znajdująca się w ustawicznym ruchu, nie wieczna jednak, lecz przemijająca wraz z życiem każdego z jej synów”.

Sam Roth o pojęciu ojczyzny pisze nieco inaczej w „Antychryście”. Ostrzegając ludzi przed wiarą w Boga żelaza, odwołując się do więzów ludzkiej wspólnoty, pisze, że ojczyzną ludzi jest niebo.

W Paryżu szukał Roth choćby odbicia tego nieba. Sycylijski pisarz Leonardo Sciascia w szkicu poświęconym Paryżowi cytuje końcowy ustęp z „Ucieczki bez kresu” Rotha ze zmysłowym i malarskim opisem ulicy, budzącej się rano do życia. Twierdzi

przy tym, że Joseph Roth był jednym z najbardziej wnikliwych piewców „ludzkiego wymiaru” Paryża.

Jego książki są teraz wznawiane we Francji, w Niemczech, w Polsce. Przed wojną krytyka francuska i niemiecka porównywała Rotha ze Stendhalem; dziś należy umieścić go w sąsiedztwie Kafki i Schulza, jako jednego z największych literackich wizjonerów Europy środkowej. W Stanach Zjednoczonych, gdzie dopiero niedawno ukazał się przekład „Hotelu Savoy” i „Hioba”, dzięki oficynie wydawniczej specjalizującej się niemal wyłącznie w upowszechnianiu książek Rotha, jest on dziś uważany za jeden z najdonioślejszych głosów w literaturze XX wieku.

Renata GORCZYŃSKA

Rafał Marceli Blüth

Choć mało kto o nim słyszał, Rafał Marceli Blüth był jednym z najbardziej interesujących krytyków literackich, publicystów i historyków literatury dwudziestolecia międzywojennego. Nie opublikował żadnej książki, pracował nad pięcioma. Z pierwszej — sylwetki rosyjskich działaczy politycznych i pisarzy, którzy przeszli na katolicyzm — opublikował tylko wstęp i trzy portrety: Mikołaja Lumina, Włodzimierza Pieczerina i Zinajdy Wołkońskiej. Pierwszy z nich znalazł się w *Pismach*¹. Druga książka miała nosić tytuł *Mickiewicz w Rosji*; Blüth napisał parę szkiców, ale nie znalazł na nie wydawcy. Nad trzecią pracował podczas pobytu na stypendium w Paryżu. Miała to być biograficzna opowieść o polskiej młodości Conrada. Z nieznanых powodów Blüth nigdy jej nie opublikował, ogłaszając tylko przed samym wybuchem wojny część wstępną, zatytułowaną *Dwie rodziny kresowe*. Z *kroniki rodzinnej Josepha Conrada*. Zaplanowanej monografii III cz. *Dziadów* poniechał. Materiały do piątej książki, o Dostojewskim, uległy zniszczeniu podczas wojny. Tak więc *Pisma literackie* — za które chwala katolickiemu wydawnictwu *Znak* — stały się pierwszą książkową publikacją Blütha.

Książka została idealnie zredagowana od strony bibliograficznej i edytorskiej. Musiała to być mrówcza praca, zważywszy że Blüth znany był z braku systematyczności i jego teksty, szczególnie historyczno-literackie, roją się od pomyłek w datach, przekreślonych cytatach i nazwisk. W części biograficznej razi eżopowa mowa, którą wydawcy posługują się pisząc o udziale Blütha w wojnie polsko-bolszewickiej i jego pracy w polskim wywiadzie

1. Rafał Marceli Blüth, *Pisma literackie*. Opracował Piotr Nowaczyński. Znak, Kraków 1987. Str. 366. *Nota bene* książkę oddano do składania latem 1984, podpisano do druku jesienią 1986.

wojskowym. W życiorysie znalazłam semantyczny dziwoląg: „ateista wychowany w judaizmie”. Blüth zaprezentowany został w *Pismach* głównie jako badacz Mickiewicza, Conrada i literatury rosyjskiej, a także jako autor brawurowych, polemicznych recenzji. Zabrakło w wyborze publicystyki społeczno-politycznej z lat narastającego faszystwu w Niemczech i stalinizmu w Rosji. Mogłaby z nich powstać druga, niemiłej ciekawa książka.

Blüth urodził się w roku 1891 w rodzinie żydowskiej. Aleksander Hertz, jeden z jego najbliższych przyjaciół, pisze w *Wyznaniach starego człowieka*: „Rafał wyszedł z rodziny mieszczańskiej, wyraźnie zasymilowanej, i związki jego z żydostwem były znikome”. Wbrew swoim humanistycznym zainteresowaniom Blüth zaczął studiować chemię na Politechnice Lwowskiej, uczęszczając jednocześnie jako wolny słuchacz na zajęcia polonistyczne Juliusza Kleinera. Później, w Warszawie, studiował na wydziale matematyczno-przyrodniczym, po czym przeniósł się na filozofię. W roku 1915 wstąpił do POW, następnie jako ochotnik do Wojska. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej odznaczony został krzyżem *Virtuti Militari*.

Przechrzcił się w roku 1921. Był to okres renesansu — szczególnie we Francji, ale także w Polsce — intelektualnego katolicyzmu. Blüth był jednym z wielu młodych konwertytów skupionych w tzw. „Kółku” wokół księdza Władysława Kornikowicza, osobowości wybitnej, obdarzonej siłą oddziaływania. „Kółko” wydawało kwartalnik *Verbum*, jedno z najlepszych wtedy czasopism kulturalnych. Od roku 1929 do 1931 przebywał na stypendium w Paryżu. Po powrocie do Polski rozpoczął stałą współpracę z czasopisem *Droga*, gdzie publikował sprawozdania z życia politycznego i społecznego w Rosji i w Niemczech.

W roku 1933 — przekroczył już był wtedy czterdziestkę — uzyskał doktorat z ruscystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Praca doktorska składała się z sześciu wcześniej opublikowanych rozpraw, z których dwie znalazły się w *Pismach*: *Mickiewicz i Rylejew pod pomnikiem Piotra Wielkiego* i obszerna, drobiazgowy wstęp do historii wpływu Boëhmergo na *Dziadów* cz. III. Został aresztowany przez gestapo podczas sprawdzania trasy przejazdu Hitlera. Istnieją trzy wersje co do formalnej podstawy aresztowania: za posiadanie broni, za „rabunek” (wspomina o tym Hertz) i... praca nad przekładem dramatu E. Kalkowskiej pt. *Josef*, zakazanego przez władze hitlerowskie. Wraz z grupą innych Blüth został rozstrzelany w Natonlinie w listopadzie 1939 roku.

W *Pismach* o kwestii żydowskiej wypowiada się tylko raz, w kontekście artykułu *Konstantynopolińska tragedia*, gdzie opisując starania Mickiewicza o stworzenie żydowskiego legionu, używa zgrzytającego dziś w uszach terminu „chrześcijański syjonizm”. Blüth nie należał jednak do fanatycznych neofitów. Jeśli w pracach Blüthą wyczuwa się pewną dewocję, jest to dewocja natury intelektualno-etycznej: pryncypialność w szukaniu wyższego związku między życiem a dziełem, między postawą filozo-

ficzną twórców — w tym ich postawą religijną — a perypetiami bohaterów ich dzieł.

Kim był jako człowiek? Aleksander Hertz tak go opisuje: „Rafał z całej swej konstrukcji myślowej, z całej swej postawy emocjonalnej był humanistą pierwszej klasy. Miał wizję filozoficzną. I miał głębokie odczucie religijne, które u niego wiązało się w jednolitą całość z jego postawą humanistyczną i filozoficzną. Nie oznaczało to, by była to całość harmonijna. Rafał (...) był pełen sprzeczności, pełen wątpliwości, był stale wypełniony przez walkę wewnętrzną”. Tyle bliski przyjaciel. A Wacław Lednicki, człowiek niechętny Blüthowi, w owych latach najwybitniejszy obok Mariana Zdziechowskiego rusycysta w Polsce: „Ten 'błądzący Żyd' szukał przez całe życie azylu i przystani dla swej niespokojnej duszy i wiecznie głodnej myśli. Dostarczyły mu ich — Polska i katolicyzm. Gdyby Niemcy nie zamordowali go, byłby polskim Gierszenonem” (Żyd rosyjski, wybitny badacz literatury i myśli społeczno-religijnej XIX wieku).

Kim był jako badacz literatury i krytyk literacki? Blüth wprowadza w swoją metodę, psychogenezę i psychografię, które określał także jako „genezę od zewnątrz” i „genezę od wewnątrz” od razu w pierwszej publikacji pomieszczonej w *Pismach*. Jest to jedna z pięciu tu prac poświęconych Mickiewiczowi. Nosi tytuł *Psychogeneza „Snu w Dreźnie”*, dotyczy wiersza Mickiewicza znanego lepiej pod tytułem *Śniła się zima...* Psychoanaliza Blütha nacechowana jest etycznie i religijnie. Blüth krytykował Freuda, a szczególnie jego zbyt fanatycznych uczniów, za biologiczno-materialistyczną interpretację podświadomości. Zarzucał szkole freudowskiej ograniczoność i amoralizm. Pisał: „Niespełnione pragnienia ludzi normalnych, a co ważniejsze geniuszy twórczych, nie mogły przecież zawierać tylko marzenia o akcie płciowym”. Przejmując metody psychoanalizy, Blüth wzbogacał ją, a zarazem wysubtelniał. W swoich poprawkach wnoszonych do Freuda opierał się na Abramowskim, niemniej był na gruncie polskim jednym z pierwszych i na pewno najpoważniejszych reprezentantów freudyzmu w badaniach literackich. Przeprowadzał je w swoisty sposób, kombinując tradycyjne, historyczno-literackie metody z bardziej awangardowymi — zwróćmy tu uwagę na ryzyko, wręcz drastyczność łączenia freudyzmu z etyką chrześcijańską — i przykładając własne etyczne miary do dzieła literackiego, które traktował jako „obrazy zastępcze”. Jako wielowarstwową sublimację świadomości i podświadomości.

Podstawą analizy wiersza Mickiewicza jest teza, że śnimy także po to, aby „oczyścić duszę”. Badając przyczyny i intencje snu, który Mickiewicz przełożył na wiersz, interpretując ciemne, głęboko zasymbolizowane obrazy, posługuje się Blüth — jak czynili to zawsze historycy literatury — listami poety z tego okresu do przyjaciół (szczególnie tymi, w których Mickiewicz daje wyraz wyrzutom sumienia, że nie wyjechał z Poznańskiego, aby wziąć udział w Powstaniu Listopadowym), szczegółami z życia, innymi utworami. „Myślą przewodnią *Snu w Dreźnie* — pisze — jest rachunek sumienia z grzechów: narodowych i osobistych”.

Blüth traktuje wiersz Mickiewicza *Śniła się zima...* jako spowiedź generalną poety. Dopełnia analizowany utwór późniejszym wierszem *Polały się tzy me czyste, rześiste...*, i konkluduje: „Sen, który przecież był wyraźnym zabiegiem psychoanalitycznym, ukończił, katartycznie rozbroił duszę poety. Niepokoję, wyrzuty sumienia — spłynęły rześistymi łzami”.

Z dalszych tekstów najczystszy, najswobodniej pisany wydaje się artykuł *Tragikomedia snobizmu w życiu i twórczości Mikołaja Gogola*.

Bohaterem tragedii w tym znakomitym, choć pełnym sprzeczności studium, jest sam Gogol. Jego wady charakteru: snobizm, zarozumiałość, głupota. Ale najwartościowsze okazują się analizy utworów. Teza Blütha brzmi: „Gogol nie narzuca subiektywne śmieszności światu, lecz ją w świecie obiektywnie widzi”. I ta teza stoi w sprzeczności z głównym punktem oskarżenia, iż Gogol zdolny był tylko do intuicyjnego odgadywania rzeczywistości. (Gogol pod koniec życia mylił się co do własnych możliwości i rodzaju talentu, rzeczywistość rosyjską znał świetnie). Blüth analizuje *Rawizora* — i to jest najciekawsza część studium — jako dramat „podludzi”; nie wielkich grzeszników, łapowników, lecz istot żyjących poniżej „progę moralności”, „ludzi-pierwotniaków”. Akcja sztuki, pisze, toczy się na pograniczu „podbytu” i samej świadomości. Podkreśla fikcyjność bohaterów i ich antagonistów, mówi o typach ludzkich; nie o charakterach, lecz o udanych „eksperymentach psychologicznych”. „Gogol — pisze Blüth — wyczuł świetnie, że komedia jest zawsze wstępem do zetknięcia się z rzeczywistością”.

Cykl artykułów poświęconych Conradowi — którego Blüth ładnie nazywa „rycerskim ateistą” — nacechowany jest tymi samymi zaletami i wadami, co wszystkie jego prace. Najlepsze są drobiazgowo analizy motywacji postępowania bohaterów Conrada. Ze wszystkich tez najbardziej interesująca wydaje się teza o instynktownej samoobronie Conrada przed wpływem Dostojewskiego, o nigdy nieujawnionej „wewnętrznej polemice”, którą autor *Lorda Jima*, „zachodni racjonalista z własnego wyboru”, toczył z autorem *Zbrodni i kary*, „krańcowo wschodnim intuicjonistą”.

Czytałam *Pisma* Blütha na zmianę z piękną książką Aleksandra Hertza *Wyznania starego człowieka*. Hertz pochodził z rodziny żydowskiej, od wielu pokoleń zasymilowanej. Przez jakiś czas zastanawiał się — nie bez wpływu Blütha — czy nie przejść na katolicyzm. Kulturą żydowską zaczął interesować się pod wpływem Stanisława Vincenza. Solidarności z Żydami nauczył go narastający w latach trzydziestych antysemityzm. Czytając *Wyznania...* myślałam o Warszawie z tamtych lat. O tym, jak odmienni i jak podobni do siebie ludzie spacerowali po niej: Baschevis Singer, Hertz, Blüth... Nie ma w tym żadnej puenty, czy morału. Ot, obraz, który ze zbyt wielu przyczyn napawa melancholią.

Nadesłane nowości wydawnicze

- KOLAKOWSKI (Leszek).** *Główne nurty marksizmu. Powstanie — rozwój — rozkład.* Wydanie drugie poprawione. Str. 1223 i 5 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £29,50, \$ US 59).
- KARPIŃSKI (Wojciech).** *Książki zbójcekie.* Str. 256 i 8 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1988).
- RAINA (Peter).** *Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego.* Str. 88 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1988).
- JAKUBOWICZ (Szymon).** *Bitwa o samorząd 1980-1981.* Str. 200 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 5, \$ US 11).
- WANDYCZ (Piotr).** *Z dziejów dyplomacji.* Str. 154 i 6 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1988).
- BRZOZA (Jan).** *Polski rok 1919.* Str. 300 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1988).
- JASTRUN (Tomasz).** *Fast zweihundert Jahre schon / Od prawie dwustu lat.* Wiersze, wydanie dwujęzyczne, przeł. Wanja Ronge, str. 75 i 5 nlb. (Wyd. Veto Verlag, Berlin Zachodni 1988).
- PILCH (Jerzy).** *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej.* Str. 90 i 4 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1988).
- Katyń. Wybór publicystyki 1943-1988 i „Lista Katyńska”.** Str. 190 i 190 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1988).
- PROROK (Leszek).** *Smutne pół rycerzy żywych. Wspomnienia.* Str. 121 i 7 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1988).
- GORZELANY (Józef, ks.).** *Gdy nadszedł czas budowy Arki. Dzieje budowy kościoła w Nowej Hucie.* Str. 311 i 1 nlb. (Wyd. Editions dn Dialogue, Paryż 1988).
- 10-lecie Funduszu.** Str. nlb. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1988).
- POLESKI (Maciej).** *Mały jawniak.* Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1988).
- GOMBROWICZ (Rita).** *Gombrowicz en Europe 1963-1969.* Str. 376 i 6 nlb. (Wyd. Denoël, Paryż 1988, cena F.145).
- KANDEL (Felix).** *Le rez-de-chaussée.* Traduit du russe par Maya Minoustchine. Str. 277 i 3 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher — Szwajcaria 1988).
- BAFOIL (François).** *Le cas „M”. La crise des relations professionnelles dans une entreprise polonaise d'aujourd'hui.* Str. 167 i 9 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1988).
- L'évolution des modèles familiaux dans les pays de l'Est européen et en URSS. Travaux publiés sous la direction de Basile Kerblay.* Str. 226 i 4 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1988).
- WOJCIECHOWSKI (Piotr).** *Un crâne dans un crâne. Roman.* Traduit du polonais par Jean-Yves Erhel. Str. 309 i 3 nlb. (Wyd. Editions l'Age d'Homme, Lozanna 1988).
- ZOCHTCHENKO (Mikhail).** *Contes de la vie de tous les jours. Nouvelles satiriques-soviétiques des années 1920.* Przekł. z rosyjskiego Michel Davidenkoff. Str. 145 i 3 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher — Szwajcaria 1988).
- RAZUMOVSKY (Maria).** *Marina Tsvietajewa, myślenie et réalité.* Z rosyjskiego przeł. Alexandra Pletnioff-Boutin. Str. 478 i 2 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher — Szwajcaria 1988).
- SHARGORODSKY (Alexandre et Lev).** *Le Bal des Bouffons. Roman satirique.* Z rosyjskiego przeł. Maya Minoustchine. Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher — Szwajcaria 1988).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

23-9-88

Premier PRL Mieczysław Rakowski zaproponował stanowisko wicepremiera profesorowi Witoldowi Trzeciakowskiemu, ministra pracy i spraw socjalnych Wacławowi Auleytnerowi, ministra bez teki Andrzejowi Miecowskiemu, wiceministra budownictwa Aleksandrowi Paszyńskiemu. Wszyscy oni odpowiedzieli odmownie. ■ Konsorcjum bankowe RFN ma udzielić ZSSR kredytu w wysokości 3 miliardów marek. Kredyt ma być wykorzystany dla modernizacji około 300 sowieckich przedsiębiorstw przemysłu lekkiego i spożywczego.

6-10-88

Zmarł w Warszawie w wieku 82 lat Adam Galis, poeta i tłumacz literatury rosyjskiej.

11-10-88

Przewodniczący Rady Państwa, zwierzchnik sił zbrojnych PRL, generał armii Wojciech Jaruzelski wręczył akty nominacyjne na stopień generała brygady m.in. Janowi Dobraczyńskiemu, Henrykowi Jabłońskiemu, Robertowi Satańskiemu oraz Włodzimierzowi Sokorskiemu. Znamienne, że gen. Wojciech Jaruzelski, objąwszy resort obrony w kwietniu 1968, już w listopadzie tego roku awansował znanych pisarzy — Romana Bratnego, Bohdana Czeszkę, Jana Dobraczyńskiego i Wojciecha Żukrowskiego — do stopni majorów rezerwy. Z jednej strony to wyraz uznania „za zasługi”, z drugiej — przejaw spektakularnej militaryzacji kultury, tak widocznej w pierwszych umundurowanych miesiącach stanu wojennego.

15-10-88

Polski PEN-Club wznowił działalność po cofnięciu zakazu władz PRL. Na walnym zebraniu dokonano wyboru nowych władz. W skład zarządu weszli: Juliusz Żuławski — prezes; Artur Międzyrzecki i Egon Naganowski — wiceprezysi; Anna Trzeciakowska — sekretarz; Andrzej Szczypiorski — skarbnik; członkowie zarządu: Jacek Bocheński — przewodniczący komisji rewizyjnej, Władysław Bartoszewski, Marian Bizer, Marian Brandys, Andrzej Braun, Jerzy Ficowski, Paweł Hertz, Urszula Koziół, Marcin Król, Zygmunt Kubiak, Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz, Wiktor Wołoszyński, Jan Józef Szczepański.

18-10-88

Władze PRL zgodziły się na rejestrację Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie. Do Towarzystwa Gospodarczego będą mogli zapisywać się mieszkańcy całego kraju, natomiast działalność gospodarczą będzie ono mogło prowadzić tylko w Warszawie.

24-10-88

Polskie Radio w Warszawie rozpoczęło serię rozmów z Wacławem Jędrzejewiczem, ostatnim żyjącym ministrem II Rzeczypospolitej. Cykl radiowy nosi tytuł: Wacław Jędrzejewicz — kroniki życia.

25-10-88

Zmarł w Warszawie Jan Śpiewak. W 1983 roku zorganizował redakcję miesięcznika katolickiego *Powściągliwość i praca* i był zastępcą redaktora naczelnego aż do swojej śmierci. Ponadto był współzałożycielem władz Towarzystwa Przyjaciół Powściągliwości i Pracy. Był bratem Pawła Śpiewaka, znanego eseisty i tłumacza.

5-11-88

W najbliższym czasie ukaże się w Estonii przekład „Zniewolonego umysłu” Czesława Miłosza. Został już opublikowany pierwszy rozdział tej książki pt. „Bałtowie”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

31-7-88

Zmarł w Arizonie (USA) w wieku lat 82 Wiktor B. Kwast, inżynier elektryk, dziennikarz i sportowiec. Był on przez szereg lat przedstawicielem *Kultury*.

16-9-88

Zmarł w Rapallo (Włochy) w wieku 79 lat Kazimierz Wierzbiański, przed wojną *attaché* prasowy poselstwa RP w Pradze, w czasie wojny szef biura informacji ambasady RP w Kairze, później redaktor *Gazety polskiej* w Jerolimie. Po wojnie K. Wierzbiański był kierownikiem działu informacji polskiego programu Radia Wolna Europa w Monachium. ■ Zmarł w Liège (Belgia) prof. Kazimierz Gamski. Był kierownikiem katedry kompozytorów i reologii Uniwersytetu w Liège, twórcą Laboratoire des Matériaux Composites i sekretarzem generalnym organizacji Intercontinental Club for Plastics Use in Building and Engineering (ICO). Prof. Gamski był autorem ponad stu publikacji naukowych. Przed wojną był odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* przez Marszałka Piłsudskiego.

6-10-88

Zmarł w Paryżu w wieku 73 lat ks. Adolf Stopa. W czasie ostatniej wojny był kapłanem Dywizjonu 307 w Anglii, a po wojnie wieloletnim misjonarzem w Tasmanii, w Austrii, dwukrotnie w Australii, a ostatnio we Francji. Był zaprzyjaźniony z Redakcją *Kultury*.

12-10-88

W Rzymie odbył się w sali Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych odczyt prof. Andrzeja Ruskowskiego z Uniwersytetu Saint-Paul w Ottawie na temat „Polacy w Kanadzie — nadzieje i rozczarowania”.

18-10-88

School of Slavonic and East European Studies University of London zorganizowała w semestrze jesienno-zimowym 1988 roku cykl seminariów polonistycznych, prowadzonych w języku angielskim. Program jest następujący: 18. 10. 1988 — gościnny wykład prof. Ajnenkiela; 16. 10. 1988 — J. Macieszewski (Warszawa) — „Białe plamy w historii stosunków polsko-sowietkich” (po polsku); 2. 11. 1988 — S. Curtis (QMC, Londyn) — „Geograficzne aspekty zdrowotności i opieki zdrowotnej w Polsce”; 9. 11. 1988 — J. Woźniakowski (KUL, Lublin) — „Kościół i katolicy we współczesnej kulturze polskiej”; 16. 11. 1988 — T. Kuzio (Londyn) — „Kwestia ukraińska w polskiej prasie podziemnej 1981-1987”; 23. 11. 1988 — Z. S. Siemaszko (Londyn) — „Polacy w ZSSR 1939-1957”; 30. 11. 88 — P. Bell (Liverpool) — „Cenzura, propaganda i opinia publiczna w Wielkiej Brytanii na przykładzie sprawy Katynia, 1943”; 7. 12. 1988 — G. Gömöri (Londyn) — „Polscy i węgierscy poci o zagładzie Żydów”.

26-10-88

Fondation pour la Liberté de la Presse przyznała Jerzemu Turowiczowi, dyrektorowi *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie, Prix de la Presse Libre. Ta

sama nagroda została przyznana *Tygodnikowi Mazowsze* w Warszawie, który ukazuje się w podziemiu regularnie od czasu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce.

1-11-88

Stowarzyszenie „Kontakt” w Paryżu rozpoczyna wydawanie książek. W tej chwili w przygotowaniu są książki: Zbigniewa Herberta „Barbarzyńca w ogrodzie”, Edmunda Osmańczyka „Polska i Izrael”, Jacka Fedorowicza „Felietyony i dialogi”. Ukazą się one do końca br., a w przyszłym roku ukazą się: Leopolda Tyrmanda „Zapiski dyletanta”, Władimira Wojnowicza „Antyradziecki Związek Radziecki”. Redaktorem wydawnictwa jest Jacek Biezin.

4-11-88

Francja przeżywa bardzo ostry kryzys powołań kapłańskich (w bież. roku wyświęcono tylko 100 księży). Jan-Maria Lustiger, kardynał i arcybiskup Paryża, na konferencji biskupów w Lourdes zaproponował sprowadzanie do Francji księży z Afryki i z Azji.

11-11-88

Staraniem Delegatury we Francji Rządu R.P. na Uchodźstwie odbył się w Domu Kombatanta Polskiego w Paryżu odczyt dr. Jerzego Zdrady na temat „Niepodległość wczoraj i dzisiaj”. Jerzy Zdrada był w latach 1984-1988 przewodniczącym tajnego RKS „Solidarności” Regionu Małopolska, a obecnie jest członkiem jawnej Komisji Wykonawczej „Solidarności” w Małopolsce.

30-11-88

Staraniem Association Solidarité France-Pologne oraz *l'Événement du Jeudi* odbył się odczyt Stefana Bratkowskiego pt. „La Pologne à l'heure de Gorbatchev”.

KRONIKA AUSTRIACKA

We wrześniu br. bawił z wizytą w Austrii Jerzy Urban, jeszcze jako rzecznik prasowy upadłego już wówczas rządu premiera Messnera. Rzecznik wyraził przekonanie, iż sytuacja w Polsce rozwijać się będzie ewolucyjnie, a nie rewolucyjnie. „Okragły stół” ma — jego zdaniem — dopomóc do wypracowania nowej formuły rozszerzającej obecny ruch związkowy. ■ Coraz trudniej o azyl polityczny w Austrii. Tryb przyspieszony stosowany od maja br. w stosunku do Polaków i Węgrów został w sierpniu rozciągnięty również na Jugosłowian. Tuż za bramą obozu dla uchodźców w Traiskirchen władze ustawiły barak, w którym przyjmowane są wnioski o azyl. Jeśli petent nie potrafi dostatecznie przekonywująco umotywić swej decyzji, nie jest wpuszczany na teren obozu, lecz poleca mu się ponowne zgłoszenie po dwu, trzech tygodniach. Spowodowało to, iż przez całe lato przed obozem koczowali bezdomni uciekinierzy w oczekiwaniu na swoją kolejkę. Dotyczy to nie tylko Polaków i Węgrów, ale i osób z innych krajów, nawet obywateli Rumunii, Czechosłowacji czy Iranu. Z pomocą pospieszyła parafia ewangelicka, udostępniając im sąsiadujący z obozem kościół jako miejsce tymczasowego noclegu. Dopiero to skłoniło ministerstwo spraw wewnętrznych do przeznaczenia jednego z obozowych budynków dla tych ludzi. *Amnesty International* zwróciła uwagę na bezprawność praktyki pozostawiania osób ubiegających się o azyl własnemu losowi przy międzynarodowych zobowiązaniach Austrii (Konwencja Genewska o uchodźcach z 1951), które mówią, iż władze zobowiązane są do opieki nad nimi co najmniej do momentu

zakończenia postępowania azylowego (łącznie z ewentualnym odwołaniem od decyzji pierwszej instancji). Ponadto w ostatnim czasie zaczęły się mnożyć wieści o brutalnym postępowaniu niektórych żandarmów pełniących służbę w obozie Traiskirchen. W dwu przypadkach pobicia, poświadczonych zeznaniami świadków i obdukcjami lekarskimi, ministerstwo spraw wewnętrznych wszczęło postępowanie karne po interwencji *Amnesty International*. Jednego z żandarmów wycofano z obozu. ■ Do końca sierpnia br. poprosiły o azyl w Austrii 11.334 osoby, do końca roku liczba wnioskodawców powinna osiągnąć 17 tysięcy. O „potopie” nie może więc być mowy. Wśród osób zgłaszających się do obozu nadal przeważają Polacy, choć ich liczba wyraźnie spada. Z ubiegania się o azyl w Austrii zrezygnowali natomiast najwyraźniej Węgrzy. Zarówno oni, jak i Polacy mają małe szanse na jego uzyskanie. Ułatwienia w tej dziedzinie mają rzekomo dotyczyć osób przybywających z Rumunii. „Przypadek Radulescu”, który pod koniec października obiegł austriacką prasę, zdaje się jednak temu zaprzeczać. Rodzinę Radulescu, która przybyła do Austrii via Budapeszt i poprosiła o azyl, władze austriackie chciały skłonić do powrotu na Węgry i zwrócenia się w austriackiej ambasadzie w Budapeszcie o wizę! Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, iż między Austrią i Rumunią nie istnieje obowiązek wizowy!!! ■ Projekt wyburzenia tysięcy wiosek w Rumunii spotkał się z protestami również i w Austrii. Był on tematem jednego z posiedzeń parlamentu, gdzie deputowani wypowiadali się przeciw decyzjom Ceausescu, ale i przeciw sankcjom wobec Rumunii („nie stosowaliśmy ich także wobec Polski...”). W Wiedniu zorganizowana została wystawa *Siedmiogród, zagrożona ojczyzna w Europie*, poświęcona Szeklerom, węgierskiej mniejszości w Rumunii, oraz wyburzonym wsiom. Odbyły się też demonstracje pod ambasadą rumuńską. Jednocześnie zbierane były podpisy pod petycją do rządu austriackiego domagającą się zgłoszenia przez Austrię rezolucji w sprawie likwidacji wsi w Rumunii na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, zwołania posiedzenia Rady Bezpieczeństwa na ten temat oraz powołania komisji kontrolnej Narodów Zjednoczonych i wysłania jej do Rumunii, w celu zbadania zgodności postępowania władz tego kraju z prawem międzynarodowym. ■ 16 września br. na forum wiedeńskiej konferencji pohelskiej KBWE ambasadorowie USA, Wielkiej Brytanii i Kanady zażądali od Związku Sowieckiego wyjaśnienia losu Raoula Wallenberga, szwedzkiego dyplomaty, który w czasie drugiej wojny światowej przyczynił się do uratowania życia tysięcy węgierskich Żydów, a po wyzwoleniu został aresztowany przez NKWD i od tej pory ślad po nim zaginął. ■ Znaczenie wymiany handlowej z RWPG maleje wobec ekspansywnego rozwoju eksportu do innych krajów. Obecnie jedynie 8,2% eksportu z Austrii kierowane jest za żelazną kurtynę. ■ Kanclerz Austrii Franz Vranitzky ostrzegł podczas sympozjum z okazji 15-lecia istnienia wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych przed niekontrolowanym wzrostem kredytów dla krajów RWPG, których łączne zadłużenie na Zachodzie osiągnęło z końcem 1987 roku 125 miliardów dolarów amerykańskich. Warunkiem dalszej pomocy miałyby być, zdaniem kanclerza, zaowocowanie zapowiadanych reform, a zwłaszcza wzrost wydajności przemysłu w tych krajach. ■ Wspomniany wyżej instytut opublikował dane dotyczące gospodarki krajów RWPG w pierwszym półroczu 1988. Jeśli o Polskę chodzi, to instytut zanotował wzrost eksportu do drugiego obszaru płatniczego, co pozwoliło również na zwiększenie importu z Zachodu. Nieznacznie pogorszył się bilans płatniczy PRL, wzrosła natomiast o 6,3% (mimo majowych strajków!) produkcja przemysłowa (przed rokiem 3,1%, przed dwoma 4,7%). Inflacja wyniosła 50%. Spośród wschodnioeuropejskich krajów jedynie Jugostawia zanotowała „lepszy” rezultat (156%). ■ Po raz trzydziesty piąty PRL wystawiała swe towary na Targach Wiedeńskich. Mimo dość obszernej palety prezentowanych wyrobów austriacy kupcy najwyraźniej nie są przekonani

o ich jakości, skoro w wiedeńskich sklepach z polskich wyrobów natrafić można jedynie na *zubrówkę* i *wyborową*, krówki i lizaki, kminek, gęsi i pieczarki, torf i drewniane zabawki, z bardziej zaś skomplikowanych wyrobów czarno-białe telewizory *Vela* nie noszące jednakże znaku *made in Poland*. Austria importuje ponadto polski koks i węgiel oraz energię elektryczną. ■ Za polski prąd Austria płaci 0,33 szylinga za 1 kWh (1 dolar USA = 13 szylingów), sprzedając zaś własny prąd do NRD pobiera 0,77 szylinga za tę samą ilość energii elektrycznej. Prosty rachunek: na tej transakcji PRL i NRD tracą po równo 22 austriackie grosze na każdej kilowatogodzinie. ■ W wiedeńskim *Konzerthausie* koncertował dziewięćdziesięcioletni polski pianista Mieczysław Horszowski i zebrał brawa za wykonanie *Partity c-moll* Bacha i *Sonaty d-dur* Mozarta oraz wybranych utworów Schuberta i Chopina. Horszowski występował w Wiedniu po raz pierwszy rzekomo już w 1900 roku! ■ Wanda Rutkiewicz, która przed 10 laty jako trzecia kobieta — pierwsza Europejka i pierwsza w ogóle osoba z Polski — zdobyła Mt. Everest, wygłosiła 20 października w *Auditorium Maximum* Uniwersytetu Wiedeńskiego ilustrowany odczyt poświęcony jej karierze alpejskiej i himalajskiej. Wanda Rutkiewicz zdobyła do tej pory cztery szczyty powyżej 8.000 metrów: oprócz Everestu drugi szczyt Ziemi K2 (jako pierwsza kobieta i jako pierwsza osoba z Polski), Nanga Parbat oraz Shisha Pangma, plasując się tym samym na pierwszej pozycji wśród najlepszych himalaistek. W grudniu pani Rutkiewicz wyjeżdża ponownie w Himalaje wraz z wyprawą z Wrocławia i zamierza atakować piąty już swój ośmiotysięcznik, Yalungkang w grani trzeciej góry Ziemi, Kangchenjungi. Jeśli się to powiedzie jej lub jej partnerce Ewie Panejko-Pankiewicz, będzie to pierwsze zimowe wejście kobiece na szczyt ośmiotysięczny.

(amp)

W Wiedniu, 1 listopada 1988

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
 w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Listy do Redakcji

Naperville, USA, 6 października 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. A. R. Gawrońskiego, opublikowanym w nrze 9/492 *Kultury*, nprzejmie proszę o wydrukowanie poniższej odpowiedzi/sprostowania.

Kopia wiersza, jak się okazuje p. Gawrońskiego, wpadła mi w ręce zupełnie przypadkowo, chyba jakieś 5-6 miesięcy temu podczas jednego z licznych spotkań koleżeńskich w Chicago. Ponieważ kopia ta (xerox) nie miała ani tytułu, ani podpisu lub nazwiska autora, po prostu uznałem/przyjąłem ten wiersz jako jeden z wielu krążących po Chicago humorystyczno-satyrycznych dokumentów o stosunkach i bycie polskiej emigracji chicagowskiej.

Myśląc, że dobrze by było, gdyby to satyryczne spojrzenie na nasze życie emigracyjne w Chicago dotarło również do Polski, przesałem tę kopię tak jak ją otrzymałem, tzn. bez podpisu lub nazwiska autora lub innych oznak autorstwa, względnie autentyczności, a tylko z krótką notatką, do p. redaktora Broniarka w Waszyngtonie. Robiąc to szybko, w notatce mojej albo niezbyt wyraźnie albo i może zupełnie nie podkreśliłem faktu, że nie jestem autorem tego wiersza. Redaktor Broniarek, jak wynikało z rozmowy telefonicznej z nim, założył że autorem tego wiersza jestem ja i bez jakiegokolwiek złej intencji wysłał go do redakcji *Szpilki* z adnotacją, która spowodowała słuszną ripostę p. Gawrońskiego.

Chciałbym tu jeszcze podkreślić, że najwidoczniej poprzedni czytelnicy wiersza p. Gawrońskiego w Chicago zmienili już układ dwóch linii, dodając kolorytu chicagowskiego zamiast oryginalnego australijskiego!

Kończąc, wyrażam z jednej strony żal, że przez moje niedopatrzenie doszło do publikacji wiersza p. Gawrońskiego w *Szpilkach*, a zwłaszcza że notatka o moim autorstwie spowodowała silną reakcję w liście autora do redakcji *Kultury*, a z drugiej strony dużą radość, że *primo* — już teraz wszyscy wiemy, kto jest właściwym autorem tej przemiłej satyry, a *secundo* — że nasi rodacy w Polsce również mogli się tym wierszem, jak i my tutaj na obczyźnie, nacieszyć.

Będę wdzięczny, jeśli zechce Pan Redaktor treść tego listu przekazać, wraz z moimi przeprosinami, bezpośrednio na ręce p. Gawrońskiego, w Melbourne.

Z poważaniem

M. DOBROWOLSKI

Täby, Szwecja, 27 października 1988.

Wielce szanowny Panie Redaktorze,

W październikowym numerze *Kultury* Adam Kruczek pisze o — jak się wyraża — dobrym pośmiertnym opowiadaniu Władimira Tendriakowa, że jest to opowiadanie o pracy czekistów w Moskwie.

Adam Kruczek nie wymienia tytułu opowiadania Tendriakowa (brzmi ono „Polowanie”, po rosyjsku „Ochota”), ale z tekstu wynika jednoznacznie, że chodzi o to właśnie opowiadanie, które zostało ogłoszone w czasopiśmie sowieckim *Znania* z września 1988.

Wbrew temu co pisze Adam Kruczek, nie jest to jednak opowiadanie o pracy czekistów w Moskwie. Jest to opowiadanie o polowaniu na Żydów-kosmopolitów w Moskwie. Poza Żydami występuje tu również Aleksander Fadijew i autor poświęca wiele uwagi samobójstwu Fadijewa. Żadna z postaci, wymienionych w opowiadaniu nie jest czekistą.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Jerzy KOWALEWSKI

Cooma, 18 października 1988.

Drogi Panie Redaktorze!

Nie jestem religijny, ale powiem: dzięki Bogu za to, że wciąż ukazuje się *Kultura*, w której można znaleźć takie perełki intelektualne jak esej Antoniego Pospieszalskiego pt. „Będziecie jako bogowie” (Nr 10/493).

Po tak częstych ostatnio, ponurych i niekiedy naprawdę przerażających relacjach z Kraju, artykuł Pospieszalskiego działa jak odświeżający podmuch, nie zgnącony złowrobną polityką.

Jednak przyjemnie jest stwierdzić, że i takie opracowania ukazują się w naszej prasie emigracyjnej; że jeszcze nie nastąpiła coraz częściej maskowana wielosłownością — choć trudno zaprzeczyć, iż zbliża się ona milowymi krokami.

Może wolno mi będzie w tym miejscu — bez narażenia się na złośliwe uwagi — publicznie podziękować redakcji i autorowi za nie tak częstą w obecnych czasach umysłową przyjemność tego rodzaju.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI



HASKOBA Ltd.

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO
BONY DOLAROWE -
KONTA „A” DEWIZOWE
 Zwykłe i Telegraficzne
LEKARSTWA - SAMOCHODY -
ŻYWNOSĆ - TELEWIZORY - VIDEO
EMERYTURY - SPADKI -
REPATRIACJE

42 LATA DOŚWIADCZENIA

81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex Lon lon 23919

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 438 — MICHAŁ HELLER

MASZYNA I ŚRUBKI

Michał Heller, dobrze znany czytelnikom z artykułów i przeglądów prasy sowieckiej w *Kulturze*, współautor (z Aleksandrem Niekriczem) historii ZSSR *Utopia u władzy*, jednej z najpoczytniejszych książek w drugim obiegu wydawniczym w Kraju, przeprowadził w swojej nowej książce drobiazgową i bogato udokumentowaną analizę systemu sowieckiego. W siedemdziesiąt rocznicę Rewolucji Październikowej, u progu „nowej ery” Gorbaczowa, czytelnik znajdzie w *Maszynie i śrubkach* odpowiedź na wiele nurtujących go pytań. Czy istnieje szansa „przebudowy” systemu sowieckiego? Czy wolno mówić o definitywnym ukształtowaniu „człowieka sowieckiego”? Lektura nieodzowna dla lepszego poznania naszego wschodniego sąsiada.

Str. 288.

Cena F. 120,00.

TOM 445 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SZÓSTY

zawiera opracowania: Jan Ciechanowski: *Plk Janusz Bokszczanin o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim*; Aleksandra Ziółkowska: *Proces Melchiora Wańkiewicza w 1964 roku*; Gen. Sir Adrian Carton de Wiart: *Wspomnienia*; Mieczysław Rybczyński: *Wypadki majorów 1926 roku*; Anatol Wertheim: *Zydowska partyzantka na Białorusi*; Jerzy Stepien: *Sprawa biskupa Czesława Kaczmarcha*; Jan Ciechanowski: *Brytyjska pomoc dla Warszawy*; Lucjan Krawiec; Tadeusz Wyrwa: *Nowa inicjatywa wydawnicza Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Gerhard von Jordan: *Powstanie i kapitulacja Warszawy*; Marek Zieliński: *Bez kompromisu*; Alina Kowalczykowa: *Na marginesie „Listów z Rosji” Custine’a*; Tadeusz Wyrwa: *Najnowsze dzieje Polski w komunistycznym wydaniu*; Piotr Wandycz: *ZSSR a Polacy*; Henryk Kozłowski: *„Zaraz po wojnie”*; Jacques Maritain *o Polsce 1945 roku* oraz działy RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 80,00.

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultury" za rok 1988

Spis autorów

ABRAMOWICZ Marek, AKUŁA Kastuś, A.M.P. (wzgl. amp),
ANDRZEJEWSKI Piotr, az. — BACZKO Bronisław, BARABO-
LAK Mykoła, BAKOWSKI Adam, BEAUVOIS Daniel, BETLEY
Jan Andrzej, B.H., BIEREZIN Jacek, BOCHEŃSKI J. M., O.P.,
BRANDYS Kazimierz, BRONSKI M., BRZESKI Andrzej, BYR-
SKI Zbigniew. — CHABROWSKI Tadeusz, CHARŁAMP Witold,
CHILECKI Andrzej J., CHYLIŃSKA Kamila, CIESIELCZYK
Marek, CONQUEST Robert, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERUC-
KI Władysław. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DARSKI
Józef, DEMSZKY Gabor, DOBROWOLSKI M., D.T., DZIE-
WIĘCKA Małgorzata. — EJSNER Helena. — FELDHUZEN
Maciej, FRAJLICH Anna. — GARLIŃSKI Józef, GAWLIKOW-
SKI Krzysztof, GAWROŃSKI Andrzej, GIEŁŻYŃSKI Wojciech,
GIL Mieczysław, GŁOWACKI Janusz, GOMUŁKA Stanisław,
GORCZYŃSKA Renata, GÓRNICKI Wiesław, GROCHOLSKI
Tomasz, GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy, GROTOWICZ Wiktor,
GRUPIŃSKI Rafał, GRUSZCZYŃSKI Krzysztof. — HAUKE-
LIGOWSKI Aleksander, O.P., HANDZLIK Stanisław, HELLER
Michał, HERNANDEZ PALUCH Maria D., HERLING-GRU-
DZIŃSKI Gustaw, HERBERT Zbigniew, HERTZ Zofia, HEY-
DENKORN Benedykt, HYLA Krzysztof. — IVASK Ivar, IWA-
NIUK Wacław. — (ja), JABŁOŃSKA B., JANOUCZ František,
JASIŃSKI Mirosław, JASTRZĘBSKI Jerzy, J.B., J.D.J., JERZ
Tomasz, JURYŚ Julia. — KALETA Marian, KARREN-ZAGÓR-
SKA Tamara, KARWOWSKI Adam, KATZ HEWETSON Janina,
KEPSKI Juliusz, KLEMPSKI Tymoteusz, KLINCZ Jan, KOŁA-
KOWSKI Leszek, KOŁODZIEJ Andrzej, KONOPKA Tadeusz, KO-
RAB Marek, KOSTRZEWA Robert, KOWALEWSKI Jerzy, KRU-
CZEK Adam, KUCZYŃSKA Halina, KUCZYŃSKA Teresa, KU-

CZYŃSKI Waldemar, KULERSKI Wiktor. — LAMENTOWICZ Wojciech, LASKOWICZ Krystyna, LASOTA J. P., LEOPOLITA, LEWANDOWSKI Józef, LIPSKA Ewa, LISIŃSKI Michał, LITYŃSKI Jan, LIZAKOWSKI Adam. — ŁATYŃSKI Marek, ŁOBODOWSKI Józef, ŁOMŻA Tomasz, ŁUKOMSKI Kazimierz. — MACA Dariusz, MACEDONSKI Adam, MACHALICA Andrzej, MAKSYMOW Władimir, MARCZEWSKI Jan, MAREK Krystyna, MAZIARSKI Wojciech, MICEWSKI Andrzej, MIKA Elżbieta, MILWID Franciszek, MIŁOSZ Czesław, MIRSKI Józef, MORGA Paweł, MORŻOŁ Ilona, mr. — NADZIEJA Andrzej, NASIELSKI Adam, NAWROCKI Grzegorz, NEWERLY Igor, NIEMIEC Maciej, NOWAK Jan, NOWAKOWSKI Marek, NOWICKI Stanisław. — ODOJEWSKI Włodzimierz, OGÓREK Michał, ORLIŃSKI Jan. — PACZOWSKI Bohdan, PEAR Robert, PELIKAN, PĘDZIWIŁ Aureliusz Marek, PIŁSUDSKI Józef, PIPES Richard, POLANOWSKI Tadeusz, POLESKI Maciej, POMIAN Krzysztof, POSPIESZALSKI Antoni, PROMIŃSKI Wit. — RAWSKI Jan, REDAKCJA, REDAKCJA „DIALOGÓW”, REDAKCJA MIESIĘCZNIKA MAŁOPOLSKIEGO, REDAKTOR, ROMASZEWSKI Zbigniew, ROSTOW Eugen V., RUSZKOWSKI Mikołaj, RUSZKOWSKI Z., RUTKOWSKI Krzysztof, RYBIŃSKI Maciej. — SABER Jan, SĘDZIWIY Stanisław, SICIŃSKI Michał, SIEKIERSKI Maciej, SIEMASZKO Z. S., SKRZYPEK Stanisław, SKALMOWSKI Wojciech, SPYCHAŁSKI Mirosław, STANKIEWICZ Zygmunt, STARSZAWY INŻYNIER Z KRAJU, STASIKOWSKI Bohdan, SZARUGA Leszek, SZENDRYK Aleksander, SZRETT Józef, SZUKALSKI Wiesław, SZUMOWSKI Maciej. — SWIDERSKA Hanna, ŚWIEYKOWSKI Aleksander. — TITKOW Andrzej, T.J., TOMASZEWSKI Marek, TOPER St., TUROWICZ Bolesław, TUROWSKI Krzysztof, TYLKO Kazimierz. — UNGER Leopold, URJEWICZ Charles. — VINCENZ Andrzej. — W. ELISABETH, WIERNIKOWSKA Maria, WIERZBIANSKI Bolesław, WOLICKI Krzysztof, WOSLEŃSKI Michał, WRÓŃSKI Henryk, WYGODZKI Stanisław, WYRWA Tadeusz. — ZBYDNIOWSKI Stanisław, ZBYSZEWSKI Wacław A., ZDRADA Jerzy, ZIELIŃSKI Marek, ZIĘBA Andrzej A., ZNAWCA P., ZYCHOWICZ Czesław. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

(amp): *Kronika austriacka* (3/486, 5./488, 7/490-8/491, 10/493, 12/495).

B.H.: *Kronika kanadyjska* (5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494).

— *Notatki z Kanady* (1/484-2/485).

BOCHENSKI Innocenty M.: *O nieprawych tyranach* (1/484-2/485).

BYRSKI Zbigniew: *Amerykańskie rozważania przedwyborcze* (6/489).

— *Trzeba zmuszać komunistów do mówienia prawdy* (9/492).

- CHYLIŃSKA Kamila: *Komplikacje niemiecko-niemieckie* (10/493).
 — *Lęk Niemców i lęk o Niemców* (1/484-2/485).
- CZAYKOWSKI Bogdan: *Lwowska szkoła inżynierii dusz* (4/487).
- FELDHUZEN Maciej: *Ameryka Południowa — zagrożony konty-
 nent* (3/486).
- GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (15) (3/486).
 — *List z Londynu* (16) (6/489).
 — *List z Londynu* (17) (10/493).
- GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Burma na trudnej drodze do demo-
 kracji* (11/494).
- GORCZYŃSKA Renata: *Archipelag New York* (3/486).
- GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowoze-
 landzka* (9/492).
- GRUPIŃSKI Rafał: *Ci wspaniali mężczyźni od podstawowych
 wartości* (9/492).
- HELLER Michał: *Podskórne wrzenie* (3/486), przeł. z rosyjskiego
 Julia Juryś.
„Humor krajowy” — wywiad z ppłk. red. Wiesławem Górnickim
 (6/489).
- HEYDENKORN Benedykt: *Kronika kanadyjska* (3/486).
- JANOUCZ František: *Druga podróż do Moskwy* (7/490-8/491)
 przekład z angielskiego.
 — *Podróż na Syberię i spotkanie z Sacharowem* (1987 r.)
 (3/486) przekład z angielskiego.
- JASTRZEBOWSKI Jerzy: *Kamień na kamieniu* (5/488).
 — *Zmierzch polskiej futurologii* (1/484-2/485).
- JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Michał Heller.
- KLEMPSKI Tymoteusz: *Zdaniem laika* (5/488).
- KUCZYŃSKI Waldemar: *Kłopoty z socjalizmem* (6/489).
- LITYŃSKI Jan: *Po odwiedzinach przyjaciela* (9/492).
- MAZIARSKI Wojciech: *Po łapach* (6/489).
- MIKA Elżbieta: *Wakacje* (9/492).
- MIRSKI Józef: *Polacy w Kazachstanie* (6/489).
- MORGA Paweł: *O przemianach i niezmienności* (4/487).
- NADZIEJA Andrzej: *Sprawy polsko-holenderskie* (4/487).
- ORLIŃSKI Jan: *O poszukiwaniu wyjść z sytuacji bez wyjścia*
 (7/490-8/491).
- Oświadczenie sekretariatu Episkopatu Polski* (12/495).
Papież o ostatnich wydarzeniach w Kraju (12/495).
- REDAKCJA: *Obserwatorium* (6/489, 10/493, 11/494, 12/495).
- REDAKCJA „MIESIĘCZNIKA MAŁOPOLSKIEGO”: *Trzy wolności
 czyli o progach kompromisu* (dyskusja z udziałem ośmiu
 osób wymienionych na początku artykułu) (12/495).
- UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli*:
 — *Ile jest szwedzkich oper na świecie* (10/493).
 — *Krzysztof Reagan czy Ronald Skrzetuski?* (7/490-8/491).
 — *Niektóre rzeki płyną w górę* (5/488).
 — *Proszę pamiętać, że ja byłem przeciw* (1/484-2/485).
 — *Soldaty! Dwadzieścia trzy wieki na was patrzą!!!* (3/486).

- URJEWICZ Charles: *Armenia* (7/490-8/491) przekład z francuskiego.
- W. ELISABETH: *Dialog polsko-niemiecki* (4/487).
- Wydarzenia miesiąca (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).
- Wywiad Prymasa Józefa Glempa dla agencji „Nowosti” (12/495).
- ZNAWCA P.: *Diagnozy i prognozy* (5/488).
- *Fakty, domysły, oczekiwania* (6/489).
- *Pytania, problemy, zagrożenia* (1/484-2/485).
- ZIELIŃSKI Marek: *Nazywajmy rzeczy po imieniu* (12/495).
- ZABA Norbert: *Kronika szwedzka* (1/484-2/485, 3/486, 9/492).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/484-2/485, 3/486, 6/489, 12/495).
- MIŁOSZ Czesław: *W Henrykowie u przeoryszy* (10/493).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BRANDYS Kazimierz: *Kilka stron zakończenia* (11/494).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Kamień filozoficzny* (11/494).
- *Oko Opatrzności* (4/487).
- *Parma* (7/490-8/491).
- NEWERLY Igor: *Droga przez tajgę — kiedy doszli do bieguna* (1/484-2/485).
- NOWAKOWSKI Marek: *Pod gwiazdami* (1/484-2/485).
- NOWICKI Stanisław: *Jajo węża* (7/490-8/491).
- ODOJEWSKI Włodzimierz: *Jedźmy, wracajmy* (9/492, 10/493).
- PIŁSUDSKI Józef: *Listy do żony* (11/494).

Utwory poetyckie

- BAKOWSKI Adam: *Potęga złego smaku* (5/488).
- BIEREZIN Jacek: *Bezsennaść, jawa, sen* (10/493).
- *San Esteban, Salamanca* (10/493).
- CHABROWSKI Tadeusz: *Mówią, że* (12/495).
- *Psalm 84* (12/495).
- GRUPIŃSKI Rafał: *Poeci końca wieku* (12/495).
- GRUSZCZYŃSKI Krzysztof: *Kiedyś jeszcze* (5/488).
- HERBERT Zbigniew: *Elegia na odejście pióra atramentu lampy* (11/494).
- IVASK Ivar: *Elegie bałtyckie* (7/490-8/491) z angielskiego przełożył Czesław Miłosz.

- IWANIUK Waclaw: *Trzy wiersze o śmierci*:
 — *Łobodowski* (10/493).
 — *Moje obłędanie* (10/493).
 — *Śmierć w Paryżu* (10/493).
- LIPSKA Ewa: *Młody Niemiec na spotkaniu autorskim* (12/495).
 — *Tej nocy byłem mordercą* (12/495).
 — *Tu pracuję* (12/495).
 — *Zwierzenia racjonalisty* (12/495).
 — *Zyciorys* (12/495).
- LIZAKOWSKI Adam: *Autobus 38 Geary* (3/486).
 — *O czym myślałem w sobotę* (3/486).
 — *Samotność* (3/486).
- MŁOSZ Czesław (tłumacz) ob. Ivar Ivask.
- NIEMIEC Maciej: *List* (3/486).
 — *... Tak bardzo nieokreślone* (9/492).
 — *Znów płomień tylko* (9/492).
- SPYCHAŁSKI Mirosław: *Moje palce wędrują* (5/488).
- TITKOW Andrzej: *Zapis z dwudziestego piątego maja 1986 roku* (9/492).

Sprawy krajowe

- az: *List z kraju* (3/486).
Budowa internatu w Białym Borze (9/492).
- CHARŁAMP Witold: *Dziennik zewnętrzny* (3/486, 6/489, 9/492, 11/494).
- GIEŁŻYŃSKI Wojciech: *Strajk w stoczni* (7/490-8/491).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Paskudna historia* (9/492).
- HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (1/484-2/485, 11/494).
Informacja o działaniu zespołu Oświaty Niezależnej (1/484-2/485).
 (ja): *Notatki z Polski* (1/484-2/485, 3/486).
- J.B.: *Najboleśniejsza „biała plama”* (4/487).
- JERZ Tomasz: *Młody Wrocław* (9/492).
 — *Pacyfikacja* (7/490-8/491).
 — *Pomarańczowa Alternatywa* (3/486).
 — *Poroniona generacja* (1/484-2/485).
- KLINCZ Jan: *Co kwartał 5000 stron* (6/489).
- KŁYŚ Wincenty: *List do Redakcji* (11/494).
Komunikat Funduszu Wydawnictw Niezależnych (1/484-2/485).
Komunikat NOW-iej (3/486).
Komunikat Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych (3/486, 4/487).
- Konkurs na plakat z okazji 70-tej rocznicy odzyskania niepodległości* (4/487).
- KUCZYŃSKI Waldemar: *Nomenklatura i bezpartyjni* (9/492, 10/493).
- LEOPOLITA: *O czym informuje przemilczenie?* (3/486).
- MARCZEWSKI Jan: *Ustrój gospodarczy Polski wyzwolonej* (1/484-2/485).

- MORŻOŁ Irena i OGÓREK Michał: *Wymiana poglądów* (10/493).
 mr: *Galicyjska debata* (10/493).
 NAWROCKI Grzegorz: *Wodowanie stoczni* (5/488).
 PELIKAN: *Pornografia* (10/493).
 POLESKI Maciej: *Gąby...* (9/492).
 — *Program gospodarczy* (10/493).
Posiedzenie Komitetu Helsińskiego w Polsce (9/492).
 PROMIŃSKI Wit: *W potrzasku* (10/493).
Rozliczenie Komitetu Kultury Niezależnej (7/490-8/491).
 SZRETT Józef: *Sprawy KUL-inarne* (4/487).
 ŚWIEYKOWSKI Aleksander: *Czym żyje wieś?* (3/486, 4/487).
Tłok w stopkach i sensacja z Poronina (1/484-2/485).
 TUROWSKI Krzysztof: *Opozycja — myśl — polityka* (3/486).
Urząd Celny a książki (10/493).
 WIERNIKOWSKA Maria: *Mafia im. 50-lecia PRL* (12/495).

Sąsiedzi

- (amp): *Kronika czeska i słowacka* (6/489, 9/492, 11/494, 12/495).
Białoruskie Zrzeszenie Studentów (9/492).
 CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 11/494, 12/495).
 DARSKI Józef: *Kronika białoruska* (7/490-8/491, 9/492, 12/495).
 — *Kronika ukraińska* (4/487, 5/488, 12/495).
 HYL A Krzysztof i RYBIŃSKI Maciej: *Kronika niemiecka* (10/493).
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).
 MACEDOŃSKI Adam: *20-ta rocznica najazdu na Czechosłowację* (10/493).
 MIRSKI Józef: *Historyczne spotkanie* (3/486).
Oświadczenie z okazji Chrztu Rusi Kijowskiej (7/490-8/491).
 PĘDZIWOŁ Aureliusz Marek: *Czechosłowacki ośrodek dokumentacji literatury niezależnej* (4/487).
 VINCENTZ Andrzej: *Millenium Rusi-Ukrainy w Rawennie i w Rzymie* (7/490-8/491).
 ŻAGIELL E.: *Kronika litewska* (6/489, 11/494, 12/495).

O religii bez namaszczenia

- BOCHEŃSKI J. M.: *W sprawie bożycy* (3/486).
 FELDHUZEN Maciej: *Biskup na ławie oskarżonych* (12/495).
 LAMENTOWICZ Wojciech: *Katolicyzm w kulturze politycznej Polski* (4/487).
List biskupów wrocławskich (3/486).
List pasterski Synodu biskupów polskiego autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (4/487).
 POSPIESZAŁSKI Antoni: *„Będziecie jako bogowie”* (10/493).
 — *Jezus Kazantzakisa i Scorsese* (11/494).

- ZBYDNIOWSKI Stanisław: *Pod rozważę* (3/486).
 ZIELIŃSKI Marek: *Czas najwyższy* (Rozmowa z dominikaninem Aleksandrem Hauke-Ligowskim, O.P.) (7/490-8/491).
Z posiedzenia Prezydium Zarządu KiK (Protokół nr 25) (3/486).

Wywiady «Kultury»

- CIEŚIELCZYK Marek: *Głosność, pieriestrojka, uskoriecie* — Wywiad z Michałem Woslenskim (11/494).
 J.D.J. (tłumacz) ob. Rozmowa z Gaborem Demszky'm.
 KORAB Marek: *Wywiad ze Stanisławem Gomułką* (12/495).
 KOSTRZEWA Robert: *Rozmowa z Eugenem V. Rostowem* (1/484-2/485).
 — *Rozmowa z Richardem Pipesem* (5/488).
 LASKOWICZ Krystyna: *Wypędzony* — Wywiad z Andrzejem Machalicą (7/490-8/491).
 REDAKCJA: *Rozmowa z Marianem Kaletą* (1/484-2/485).
Rozmowa z Gaborem Demszky'm (5/488) — przekład z węgierskiego J.D.J.
 SZUKALSKI Wiesław: *Nie tylko hasło* — Rozmowa z Mirosławem Jasińskim (9/492).
 T.J.: *Rozmowa z Wojciechem Gieżyńskim* (11/494).

Polemiki — Wolna Trybuna

- KOŁODZIEJ Andrzej: *Współzrządzić czy konspirować?* (9/492).
 KULERSKI Wiktor: *W uzupełnieniu „odpowiedzi” Jana Sabera* (3/486).
O Komitecie Kultury Niezależnej piszą: J. P. LASOTA, Jan RAW-SKI i Bohdan STASIKOWSKI (1/484-2/485).
 ROMASZEWSKI Zbigniew: *Odrodzenie ruchu związkowego — kasy samoobrony* (7/490-8/491).
 SABER Jan: *Odpowiedź na anonimowy donos* (3/486).
 STASIKOWSKI Bohdan: *Moim zdaniem* (3/486).
 WOLICKI Krzysztof: *W zatrzaśniętej pułapce* (5/488).

Sprawy i troski

- Ankieta „Kultury”: Dlaczego jestem na Zachodzie?* (4/487).
 CZERUCKI Władysław: *Praktyka lekarska we Francji* (12/495).
 D.T.: *Dwa listy z Iraku* (6/489).
 DZIEWIĘCKA Małgorzata: *Emigranci* (9/492).
 GROTOVICZ Wiktor: *Cudzoziemcy w RFN* (11/494).
 — *Falszywi Niemcy z Polski* (6/489).
Konfiskata „Słowa ojczystego” (4/487).
 MACA Dariusz: *Heim* (11/494).
Monachijski klub im. Juliusza Mieroszewskiego (4/487).

- PEAR Robert: *Stary Zjednoczone pomagają polskiej opozycji finansowo i technicznie* (9/492).
 REDAKTOR: *Jawność* (9/492).
Skonfiskowane oświadczenie (6/489).
 SZARUGA Leszek: *Wstydlivy temat* (6/489).
 ZBYSZEWSKI Wacław A.: *Radio i radioci* (5/488).

Ci, co odeszli

- BACZKO Bronisław: *Odszedł historyk* (4/487).
 BEAUVOIS Daniel: *Ambroise Jobert historyk i przyjaciel Polski* (9/492) przekład z francuskiego.
 FRAJLICH Anna: *Roman Karst* (5/488).
 GAWROŃSKI Andrzej: *Dziesiąta rocznica śmierci Andrzeja Chciuka* (7/490-8/491).
Henryk Szeryng (7/490-8/491).
 IWANIUK Wacław: *Józef Łobodowski* (12/495).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Długi Janek* (11/494).
 KONOPKA Tadeusz: *Wspomnienie o doktorze Józefie Lichtenie* (3/486).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Utas Samczuk i Jurij Ławrynenko* (5/488).
 ŁUKOMSKI Kazimierz i Bolesław WIERZBIANSKI: *Alojzy Mazewski* (9/492).
 MAREK Krystyna: *Na odejście Zygmunta Kallenbacha* (12/495).
 WRÓŃSKI Henryk: *Stulecie urodzin prof. Edwarda Lipińskiego* (11/494).

Kronika kulturalna

- BOCHENSKI J. M.: *O nawrocie w filozofii* (11/494).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Leningradzki „Czarnobyl” kulturalny* (5/488).
Doroczne nagrody „Kultury”: Renata Gorczyńska — nagroda literacka im. Zygmunta Hertza; Jakub Karpiński — nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego; Jan Chodakowski — nagroda przyjaźni i współpracy (1/484-2/485).
 GŁOWACKI Janusz: *Dookoła Gombrowicza* (7/490-8/491).
 GORCZYŃSKA Renata: *Furia słów Mariana Pankowskiego* (7/490-8/491). — *Kota Jeleńskiego portret z pamięci* — rozmowa z Mary McCarthy (5/488).
 — *Nieśmiertelna Rodziewiczówna* (10/493).
 JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Władimir Maksimow.
 KUCZYŃSKA Teresa: *Czy warto oplakiwać związki twórcze* (1/484-2/485).
 ŁOMŻA Tomasz: *Bez łez i bez złudzeń* (5/488).
 MAKSIMOW Władimir: *Cud naszego istnienia* (1/484-2/485), przeł. z rosyjskiego Julia Juryś.
 MIŁOSZ Czesław: *Jakby na opak* (6/489).
 SKALMOWSKI Wojciech: *Dziwaczny pomysł* (10/493).
 ZIELIŃSKI Marek: *Granice sprzeciwu* (1/484-2/485).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BRONSKI M.:** *Nihilizm po amerykańsku* (4/487).
 — *Papoaustraliana* (12/494).
 — *Przedstawiania ciąg dalszy* (6/489).
- BRZESKI Andrzej:** *W błędnym kole* (9/492).
- GORCZYŃSKA Renata:** *Niebo Josepha Rotha* (12/495).
- HELLER Michał:** *Jaka droga? Do jakiej świątyni?* (7/490-8/491),
 przeł. z rosyjskiego Julia Juryś.
- JURYŚ Julia** (tłumacz) ob. Heller Michał.
- KATZ HEWETSON Janina:** *Ballada o zaginionym plemienu*
 7/490-8/491).
 — *Nuda powagi i nuda zabawy* (6/489).
 — *Polka w Danii: historia kariery* (9/492).
 — *Rafał Marceli Blüth* (12/495).
 — *Szukanie równowagi* (10/493).
- KOŁAKOWSKI Leszek:** *Niezwykła kariera głosu* (9/492).
Nadestane nowości wydawnicze (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488,
 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).
- Nowe zasady w sprawie prohibitorów* (11/494).
- PACZOWSKI Bohdan:** *„Cały naród buduje stolicę”* (6/489).
- POSPIESZAŁSKI Antoni:** *Aaron Lutetiae* (7/490-8/491).
 — *Obecność religii* (5/488).
 — *Reformizm ks. Hansa Künga* (1/484-2-485).
- RUSZKOWSKI Mikołaj:** *Nowości literatury krajowej* (4/487, 9/492,
 11/494).
- RUTKOWSKI Krzysztof:** *Kolekcjoner na granicy światów* (12/495).
 — *Na Kresach czyli w domu* (10/493).
 — *Tadeusz Konwicki: Szósta pieczęć* (7/490-8/491).
 — *Tomasz Burek — kartograf dziwnych podróży* (6/489).
 — *Twórczość Włodzimierza Paźniewskiego* (9/492).
- SZARUGA Leszek:** *Nowy gniewny* (6/489).
 — *Pokolenie 68* (5/488).
 — *Ważna bibliografia* (9/492).
- ŚWIDERSKA Hanna:** *Miasto polskich dzieci* (3/486).
- WYRWA Tadeusz:** *Diana — powieść o polskim losie* (1/484-2/485).
- ZIELIŃSKI Marek:** *Nieudana monografia* (10/493).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- IVASK Ivar:** *Elegie bałtyckie* (7/490-8/491) przeł. Czesław Miłosz.
- JANOUCZ František:** *Druga podróż do Moskwy* (7/490-8/491).
 — *Podróż na Syberię i spotkanie z Sacharowem* (3/486).

Z języka francuskiego

- BEAUVOIS Daniel: *Ambroise Jobert — historyk i przyjaciel Polski* (9/492).
URJEWICZ Charles: *Armenia* (7/490-8/491).

Z języka rosyjskiego

- HELLER Michał: *Podskórne wrzenie* (3/486), przeł. Julia Juryś.
— *Jaka droga? Do jakiej świątyni?* (7/490-8/491), przeł. Julia Juryś.
MAKSIMOW Władimir: *Cud naszego istnienia* (1/484-2/485), przeł. Julia Juryś.

Z języka węgierskiego

- Rozmowa z Gaborem Demszky'm* (5/488), przeł. J.D.J.

Noty biograficzne

- IVASK Ivar (7/490-8/491).
JANOUCZ František (3/486).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1988 (12/495).

Listy do Redakcji

- ABRAMOWICZ Marek (1/484-2/485). AKUŁA Kastuś (3/486). BARABOLAK Mykoła (7/490-8/491). BETLEY Jan Andrzej (7/490-8/491). BOCHENSKI J. M. (3/486). CHILECKI Andrzej J. (4/487, 5/488). DARSKI Józef (3/486). DOBROWOLSKI M. (12/495). EJSNER Helena (3/492). GARLIŃSKI Józef (9/492). GAWROŃSKI A. R. (9/492). GŁOWACKI Janusz (10/493). GORCZYŃSKA Renata (3/486). HERNANDEZ PALUCH Maria D. (1/484-2/485). JABŁOŃSKA B. (4/487). JASTRZĘBOWSKI Jerzy (9/492). KAREN-ZAGÓRSKA Tamara (9/492). KARWOWSKI Adam (9/492). KEPSKI Juliusz (9/492). KLINCZ Jan (4/487). KOWALEWSKI Jerzy (12/495). KUCZYŃSKA Halina (5/488). LASOTA J. P. (3/486). LEWANDOWSKI Józef (9/492, 10/493). LISIŃSKI Michał (3/486). ŁATYŃSKI Marek (7/490-8/491). MICEWSKI Andrzej (4/487). MIRSKI Józef (6/489). MIŁOSZ Czesław: *Wyjaśnienie* (9/492). NASIELSKI Adam (12/495). NEWERLY Igor (1/484-2/485). NOWAK Jan (7/490-8/491, 9/492). POLANOWSKI Tadeusz (10/492). REDAKCJA „DIALOGÓW” (1/484-2/485). RUSZKOWSKI Z. (3/486). SĘDZIWIY Stanisław (10/493). SICIŃSKI

Michał (1/484-2/485). SIEKIERSKI Maciej (3/486). SIEMASZKO Z. S. (5/488). SKRZYPEK Stanisław (6/489). STANKIEWICZ Zygmunt (11/494). STARSZAWY INŻYNIER Z KRAJU (1/484-2/485). SZENDRYK Aleksander (9/492). TOMASZEWSKI Marek (1/484-2/485). TOPER St. (11/494). TUROWICZ Bolesław (1/484-2/485). TYLKO Kazimierz (9/492). WYGODZKI Stanisław (4/487). WYRWA Tadeusz (1/484-2/485). ZIĘBA Andrzej A. (9/492). ZYCHOWICZ Czesław (6/489).

Odpowiedzi Redakcji (1/484-2/485, 4/487, 9/492, 10/493).

Różne

Fundusz Interwencyjny (9/492, 10/493).

Fundusz S.O.S. pomocy chorym w Polsce (9/492).

Komunikat POL-CUL Foundation (3/486, 9/492).

REDAKCJA „DIALOGÓW”: *List do Redakcji „Tygodnia Polskiego”* (1/484-2/485).

REDAKCJA „KULTURY”: *Komunikat o Ankiecie* (9/492).

— *Sprostowania* (3/486).

REDAKTOR: *Do naszych autorów w Kraju* (10/493).

— *Wyjaśnienie* (11/494).

Wpłaty na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego (1/484-2/485, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493).

Wpłaty na Fundusz Interwencyjny (10/493, 12/495).

Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).

Wpłaty na Fundusz NSZZ „Solidarność” (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).

Wpłaty na pomoc dla walczących w Kraju „żeby Polska była Polską” (1/484-2/485, 3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 7/490-8/491, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).

Wpłaty na „Solidarność Walczącą” (3/486, 4/487, 5/488, 6/489, 9/492, 10/493, 11/494, 12/495).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki «Kultury» w roku 1988

Tom 435 — Jarosław Marek Rymkiewicz: *Umschlagplatz*. Str. 223.

Tom 436 — Janusz Anderman: *Kraj świata*. Str. 75.

Tom 437 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 83-ci). Str. 240.

Tom 438 — Michał Heller: *Maszyna i śrubki*. Str. 286.

Tom 439 — Jerzy R. Krzyżanowski: *Banff*. Str. 155.

Tom 440 — Jakub Karpiński: *Taternictwo nizinne*. Str. 123.

Tom 441 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 84-ty). Str. 240.

Tom 442 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 85-ty). Str. 240.

Tom 443 — Witold Dowoyna Sylwestrowicz: *Listy niewysłane*. Str. 160.

Tom 444 — Marek Nowakowski: *Karnawał i post*. Str. 190.

Tom 445 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 86-ty). Str. 240.



Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1988 roku.

Zeszyt 83-ci — Michał Heller: *Kamienie milowe 70-letniej historii Związku Sowieckiego*; *Droga przez mgłę. Z prof. Marią Turlejską rozmowa*; R. Socha; Adina Blady-Szwajger: *Szpital w gacie (1939-1943) oraz Po aryjskiej stronie*; Andrzej Suchcitz: *Dziennik mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego z sierpnia 1944 roku (Lotnicze wsparcie Powstania Warszawskiego)*; Zbigniew Gołąb: *List otwarty w sprawie artykułu J. P. Horzelskiego „Przygodne uwagi o monii. O Wandach, Krakach i Lachach” (Kultura nr 7-8/1987)*; Jerry P. Horzelski: *Odpowiedź na list otwarty Z. Gołąba; Jak montowano Rapd Jedności Narodowej w Moskwie w 1945 roku; Relacja Antoniego Kołodzieja nagrana w ZHP w dn. 15. IX. 1961, Uzupełnienie relacji Antoniego Kołodzieja nagrane w CA KC PZPR 29. X. 1974 r., Relacja Stanisława Szwalbego nagrana w CA KC PZPR 29. X. 1974, Rozmowa prezesa Stanisława Mikołajczyka z gen. Wł. Anderssem w dniu 24. II. 1945 r., Rozmowa z Mikołajczykiem (sprawozdanie generała Andersa), Dokumenty z Public Record Office; Tadeusz Wyrwa (opr.): *Francuzi o Stanisławie Kocie, ambasadorze PRL w Rzymie; Tadeusz Wyrwa (opr.): Starania gen. Józefa Jaklicza o przerzucenie w 1942 roku Żydów-kombatantów z Francji do Szwajcarii.**

Zeszyt 84-ty — Z. S. Siemaszko: *Biskup wileński (1918-1925) Matulewicz na tle ówczesnych stosunków polsko-litewsko-białoruskich*; Andrzej Suchcitz: *Komandor Swirski i sanacja Marynarki Wojennej w 1925 roku*; Benedykt Heydenkorn: *50-dniowa republika sowiecka*; Jerzy Drobnik: *Diariusz. Berlin, 19 marca 1932 - 5 sierpnia 1934*; Józef Hlebowicz: *Wspomnienia z Ostaszkowa*; Vincenzo Mario Palmieri: *Rezultaty dochodzenia w lesie katyńskim; Dąb-Biernacki, gen. dyw.: List do gen. Władysława Sikorskiego; J. Łukasiewicz: List do prezydenta Raczkiewicza; Anna M. Cienciala: Wspomnienie o Domaniu Rogoyskim; Z. S. Siemaszko: O kampanii wrześniowej*; Michał Heller: *Geneza Rosji*; Jacek Kubiak: *O porachunkach polsko-niemieckich*; J. Ciechanowski: *Korzenie i popioły (Uwagi i refleksje nad historią Polski Adama Zamoyskiego)*; Z. S. Siemaszko: *O okupacjach Wilna inozej*; E. Halicz: *Polska XIX wieku*; Jan Dierick: *Leleweł wytrwały*; Piotr Wandycz: *Telegram ambasadora Steinhardta*; Marszałek Śmigły-Rydz: *Instrukcja dla rozmów z francuskim Sztabem Generalnym*; Tadeusz Wyrwa: *Generał Anders i demobilizacja Wojska Polskiego na Zachodzie w raportach dyplomatów francuskich*; Tadeusz Wyrwa: *Przedstawiciel „Wolnej Francji” w Hiszpanii o zmianach w poselstwie polskim w Madrycie w 1944 r.*; Jan Ciechanowski: *Notatka z rozmowy z płk. dypl. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim, szefem Oddziału II KG AK w latach 1943-1944*; Tadeusz Wyrwa: *Dzieje Polski na ekranie.*

Zeszyt 85-ty — S.N.: *Anielstwo i imperializm. Rozmowa z prof. Danielem Beauvois*; Jacek Trznadel: *Powstanie Warszawskie. Hamlet w historii*; Emanuel Halicz: *Aleksander II — Michaił Gorbaczow*; S.W.R.: *Najboleńsza „biała plama” — Uzupełnienie*; Kajetan Bieniecki: *Jak*

rzeczywiście wyglądała pomoc z Zachodu dla Warszawy w pierwszych dniach powstania; Tadeusz Wyrwa: Ze wspomnień generała Louisa Faury, szefa wojskowej misji francuskiej w Polsce w 1939 roku; Aleksander Hryniewicz: Dziennik adiutanta Marszałka Józefa Piłsudskiego; E. Żagiełł: Gawędy o Polakach na Kowieńszczyźnie; Rozmowa z Mieczysławem Rakowskim; Zbigniew Błazyński: Dwudziestolecie zmagani; Piotr Łossowski: O decyzji opuszczenia Wilna w 1939 roku; Jerzy Jastrzębowski: Paradoks polskiego pacyfizmu; Z. S. Siemaszko: Generałowie polscy w rękach sowieckich; J.B.: Rzeczpospolita kurpiowska; Katyń w XVII wieku.

Zeszyt 86-ty — Jan Ciechanowski: Płk Janusz Bokszczanin o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim; Aleksandra Ziółkowska: Proces Melchiora Wańkowicza w 1964 roku; Gen. Sir Adrian Carton de Wiart: Wspomnienia; Mieczysław Rybczyński: Wypadki majowe 1926 roku; Anatol Wertheim: Żydowska partyzantka na Białorusi; Jerzy Stępień: Sprawa biskupa Czesława Kaczmarska; Jan Ciechanowski: Brytyjska pomoc dla Warszawy; Lucjan Krawiec; Tadeusz Wyrwa: Nowa inicjatywa wydawnicza Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie; Piotr Wandycz: Nowe książki; Gerhard von Jordan: Powstanie i kapitulacja Warszawy; Marek Zieliński: Bez kompromisu; Alina Kowalczykova: Na marginesie „Listów z Rosji” Custine’a”; Tadeusz Wyrwa: Najnowsze dzieje Polski w komunistycznym wydaniu; Piotr Wandycz: ZSSR a Polacy; Henryk Kozłowski: „Zaraz po wojnie...”; Jacques Maritain o Polsce 1945 roku.

Wznowienia

- Tom 422 — Jacek Trznadel: *Hańba domowa*. Str. 320.
 Tom 332 — Czesław Miłosz: *Ogród nauk*. Str. 256.
 Tom 331 — Czesław Miłosz, *Widzenia nad zatoką San Francisco*. Str. 174.
 Tom 425 — Daniel Beauvois: *Polacy na Ukrainie 1831-1863 (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie)* Str. 296.

Wydania miniaturowe

Kultura — numery od grudnia 1987 do listopada 1988 roku włącznie.



Numery *Kultury* marcowy (3/486), wrześniowy (9/492) i grudniowy (12/495) miały po stron 176.

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

B.B.: New York, NY — \$ 30,00 F. 177,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL F. 200,00



Tadeusz Mączyński, Chicago, IL (USA):
— na Fundusz Kultury, po raz 13-ty — \$ 20,00 F. 118,00
— na „Solidarność Walcząca” — \$ 26,00 F. 153,40



Przyjaciele z Francji — zamiast kwiatów na grób Felicji Wolff-
Anny Neuman, pseudo „Ela”, „Ciotka”, „Zawadzka”, zmar-
łej w Warszawie 2 października 1988 r. w wieku 93 lat,
kurierki obu wojen, więźnia sowieckiego, sanitariuszki 2-go
Korpusu, więźnia безпеki, skazanej na śmierć i zwolnionej
w 1956 roku; odznaczonej Krzyżem Niepodległości, Virtuti
Militari, dwukrotnie Krzyżem Walczących, Krzyżem zasługi
z mieczami, Krzyżem Monte Cassino i Krzyżem A.K. —
na fundusz interwencyjny F. 300,00

Pogląd

Miesięcznik społeczno-
polityczny „Towarzystwa
Solidarność” e.V.
Ukazuje się
w Berlinie Zachodnim
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w FiFN DM6,-. Ceny prenumeraty w
poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”.
Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach
62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4° trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9372.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznica	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	*F. 480,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	§ A. 10,00	§ A. 60,00	§ A. 110,00
AUSTRIA : Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultura »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultura »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultura » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiast-kowlec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	§ can. 10,00 DM 14,00	§ can. 50,00 DM 80,00	§ can. 98,00 DM 150,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
NORWEGIA : Zb. Tyszek, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12-14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskårgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	§ US 7,50	§ US 40,00	§ US 78,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 68 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, 00163 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 440 — JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO NIZINNE

Autor czterech książek opublikowanych w „Kulturze” (pod nazwiskiem MAREK TARNIEWSKI) tym razem opisuje wydarzenia z powojennej historii Polski z perspektywy osobistej. Odpowiadając na pytanie, jak doszło do „sprawy taterników”, Jakub Karpinski opisuje szkołę w latach stalinowskich, październik 1956, Uniwersytet Warszawski, marzec 1968.

Str. 128.

Cena F. 55,00

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSŁANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przestroga; „Jubileuszowa”; „Kamieniołomy”; Sierota Europy; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.